

*Miranda Jarrett*

ZIEMIA KRWI,  
ZIEMIA MIŁOŚCI



*Harlequin*

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg  
Istambuł • Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia  
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa



*Londyn, rok 1704*

Dwadzieścia kroków do końca tureckiego ko-  
bierca, dwanaście wzdłuż kolorowego dywanu  
i dwadzieścia z powrotem do kominka...

Kit Sparhawk starał się nie przerywać liczenia. To najlepszy sposób zapanowania nad złością. Była już niemal dziewiąta, błądy zimowy księżyc tkwił uwięziony w oknie salonu sir Henry'ego Ashe'a. Obiecał bratu, że załatwi sprawę i tylko dlatego jeszcze czekał. Przebył dla Jonathana dziewięć tysięcy kilometrów. Podróż trwała dwa miesiące. Kilka godzin więcej nie powinno już robić dużej różnicy. To się Jonathanowi należało. A jednak Kit nie mógł zapanować nad irytacją, jaką budziła w nim konieczność czekania na sir Henry'ego. Wszystko jedno, szlachcic czy nie, ten tłusty, czerwony na twarzy łobuz, hochsztapler, któremu trudno było zaufać, budził w nim wyłącznie złość. Piekielny...

Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia i z powrotem... Zacisnął zęby i próbował skupić się na liczeniu kroków. Weksle leżały na biurku, czekając na podpis, na złożenie którego sir Henry dotąd nie znalazł czasu. Na wspomnienie wykre-

tów, do jakich uciekał się ten... żeby tylko nie zapłacić pieniędzy które był winien, Kit mimowolnie zacisnął pięści. I w koloniach nie brakowało łajdaków, to prawda, on sam nie był bez skazy. Ale kręactwa Amerykanów były niczym w porównaniu z tym, z czym spotkał się w ciągu trzech miesięcy spędzonych w Londynie.

Opadł na wyściełany jedwabiem fotel i zapatrzył się w płomienie. Bogu niech będą dzięki, już za dwa tygodnie znajdzie się na pokładzie i raz na zawsze zostawi za sobą wybrzeża Anglii. Jego myśli wybiegły naprzód do domu, do sióstr i Jonathana, do Plumstead.

Panującą w domu ciszę przerwał nieoczekiwane nabrzmiały lękiem kobiecy krzyk. Kit w mgnieniu oka zerwał się na nogi, skoczył do drzwi i wpadł do hallu. W ogromnym domu znów panowała cisza. Błękitne światełko lampy niesamowitym blaskiem oświetlało wiszące na ścianach portrety. Zatrzymał się u stóp schodów, usiłując złowić uchem jakiś odgłos. Nie miał pojęcia, skąd dobiegł głos i nie wiedział, dokąd iść.

Nagle jedne z dalszych drzwi otworzyły się z trzaskiem i do hallu wbiegła kobieta. Pędząc na oślep, wpadła na Kita, który odruchowo chwycił ją w ramiona.

- Proszę się uspokoić, przy mnie nic się pani nie stanie - powiedział łagodnie.

Przez burzę ciemnych włosów spojrzały na niego przerażone oczy osadzone w pięknej, choć w tej chwili śmiertelnie bladej, twarzy. Teraz dopiero przyjrzał się jej uważniej. Dziewczyna była

bosa i nie miała na sobie niczego, poza nocną koszulą.

- Za... zabiłam go - wyszeptała, dysząc ciężko. - Leży tam jak kłoda. Matko Boska, co ja zrobiłam? Co teraz będzie?

- Ćśśś, kochanie. Nie ma się czym przejmować. Taka kruszyna jak ty nie byłaby w stanie uśmiercić muchy, a co dopiero dorosłego mężczyzny.

Odgarnął włosy z jej twarzy. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Zadał sobie pytanie, kim była. Sir Henry nie miał córek, a dziewczyna, którą trzymał w ramionach, bez wątplenia nie była lady Frances. Nie mogła też być służącą, delikatność jej ciała świadczyła o przyzwyczajeniu do zamożności i wygod, a sposób w jaki mówiła, świadczył bez wątplenia, że była osobą wykształconą.

- Ależ przysięgam panu na wszystkie świętości, że go zabiłam!

Nieznajomą wstrząsnął szloch. Była tak przerażona, że wtuliła twarz w pierś Kita, jakby chcąc ukryć się przed światem. Nie pozostało mu nic innego, jak objąć jej drżące plecy i przytulić. Pomimo napięcia zarejestrował odruchowo miękkość skrytego pod gładkim jedwabiem ciała, pełne piersi i otaczający nieznajomą zapach lawendy. Wiedział, że powinien zaprowadzić ją do salonu i poszukać mężczyzny, którego podobno zamordowała, ale nie potrafił zdobyć się na to, by wypuścić ją z ramion. To delikatne, drżące ciało nasuwało mu myśl o przerażonym, rannym ptaku.

Nagle dziewczyna wyswobodziła się z jego objęć i spojrzała mu w oczy.

- Kim pan właściwie jest?

- Christopher Sparhawk, panienko, ale wszyscy mówią na mnie Kit.

Nawet w tym niepewnym świetle, jakie rzucała lampka, mógł dostrzec, że jego rozmówczyni ma rozdartą koszulę. Widocznie ktoś usiłował dostać się do wyraźnie zarysowanych pod cienkim jedwabiem piersi. Na szyi i ramionach dziewczyny widać było świeże ślady, które już zaczynały ciemnieć, powoli przemieniając się w sińce. Kit poczuł, jak wzbiera w nim gniew na mężczyznę, który tak brutalnie potraktował kobietę. Najwyraźniej musiała przyłapać jakiegoś rabusia, złodzieja, wkradającego się do domu przez okno. Jego dłoń odruchowo zacisnęła się na krawędzi długiego noża, z którym nigdy się nie rozstawał, nawet tu w Londynie. Tymczasem dziewczyna, zawstydzona jego dociekliwym spojrzeniem, ściągnęła poszarpane krawędzie koszuli, usiłując ukryć ramiona przed jego wzrokiem.

Była wyraźnie wystraszona, a jednak instynkt podpowiadał Kitowi, że oczekuje od niego pomocy. Powoli, tak by jej nie spłoszyć, wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

- Proszę się mnie nie bać. Niech mi pani powie, panienko, co się stało, a potem pójdziemy razem do sir Henry'ego.

- Pan jest jego przyjacielem? - spytała i cofnęła się jeszcze o krok. Znów zrobiła na nim wrażenie przerażonego, zaszczutego zwierzątka.  
- Zostań tam, gdzie stoisz! Mogłam się była domyślić, że nie wrócił sam. Słyszałam już, że zanim

zażyje przyjemności lubi, by inni robili to na jego oczach. W zeszłym miesiącu dał lokajowi gwineę, żeby zapewnić sobie jego milczenie na temat tego, co działo się pod nieobecność lady Frances! Tobie też zapłacił za udział w swoich rozwiązłych wybrykach?

Zmierzyła go wzrokiem. Dostrzegła kosztowny materiał surduta i koronki koszuli.

- Ależ nie, widzę, że jest pan dżentelmenem. Przyszedł pan więc z własnej woli, by się zabawić?

- Nie. Przybyłem tu wyłącznie w interesach - odpowiedział z trudem, zdając sobie sprawę, że ofiarą nieznanym padł najwyraźniej sir Henry.

Roześmiała się gorzko, a w jej pięknych oczach zabłyśły łzy.

- Interesy, ach tak? Czy miał pan zamiar kupić od niego moje ciało? Chciał pan wziąć mnie w jego kantorze, na biurku, na oczach wszystkich urzędników?

Teraz łzy już otwarcie płynęły po twarzy dziewczyny.

- Och, jaka szkoda, że to nie ja tam leżę!

- Nie, pani, nigdy nie należy sobie tego życzyć - odpowiedział poważnie Kit i zrobił krok w jej stronę.

Nie zdążył wyciągnąć ku niej ręki, gdy dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Obrócił się natychmiast, a spojrzenie dziewczyny podążyło za jego wzrokiem.

- Sparhawk! Wielkie nieba, cieszę się, że cię tutaj widzę! - wymamrotał wsparty ciężko o futry-

nę sir Henry. - Patrz uważnie na wszystko, co się tu dzieje, człowieku, i zapamiętaj sobie dobrze, żebyś mógł zeznawać w sądzie.

- Więc... więc ty żyjesz!

- I owszem, żyję. Ale nie masz się z czego cieszyć, łajdaczko - warknął baronet.

Spod przekrzywionej peruki wychylała się łysiną naznaczona czerwona przęga, z której na twarz i koszulę mężczyzny ściekały krople krwi.

- Uderzyłaś mnie kandelabrem i zostawiłaś, żebym zdechł jak pies!

- Przestraszyłaś mnie! Nie chciałaś słuchać...

- Nikczemna, po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem!

- Och, wiele dla mnie zrobiłaś! - krzyknęła z goryczą. - Odebrałaś wiarę, szacunek i niewinność i potraktowałaś je tak, jakby były warte tyle, co garstka śmiecia!

- Dość tych podłych kłamstw, krętaczko! - sir Henry uniósł zakrwawioną pięść, aby wymierzyć dziewczynie cios.

Zamknęła oczy i czekała z rezygnacją na chwilę, gdy zaciśnięty kułak spadnie na jej głowę.

Ale Kit chwycił baroneta za przegub z taką siłą, że sir Henry nie był w stanie powstrzymać jęku.

- Niech cię diabli, Sparhawk, puszczaj mnie! Jak śmiesz mieszać się w cudze sprawy?!

Kit puścił rękę sir Henry'ego, ale nie oderwał od niego oczu. Baronet cofał się, pocierając przegub i patrzył na niego wzrokiem pełnym nienawiści, podczas gdy dziewczyna przysunęła się bliżej i ukryła za jego plecami.

- Jeżeli bicie tej panienki nazywasz pan swoją osobistą sprawą...

- Panienki! - w głosie Ashe'a zabrzmiała pogarda. - Z tej łajdaczki taka panienka, jak i ze mnie! To krętaczka, oszustka i intrygantka, musiałbyś zupełnie oszaleć, żeby dać sobie wmówić, że jest inaczej.

- Uważaj, co mówisz, Ashe - Kit z trudem panował nad gniewem. Był rosnącym, silnym mężczyzną i w przeciwieństwie do nieznajomej mógłby zapewne jednym ciosem zabić nadętego jak żaba baroneta. - Zaczynam podejrzewać, że nie jesteś panie dżentelmenem w takiej mierze, w jakiej chciałbyś za niego uchodzić.

- Sam zważ, co mówisz - odciął się sir Henry - bo zażądam od ciebie satysfakcji!

- Nie kuś mnie, panie. Pistolet czy szpada, to dla mnie nie nowina.

Przez chwilę panowała cisza. Baronet przyłożył do rany chustkę i zamknął oczy.

- Masz zamiar jej bronić, Sparhawk? Chcesz zostać jej kawalerem? A może już jesteś jej kochankiem?

- Niech cię diabli! Nie wiem nawet, jak ta panienka się nazywa!

- Ach, pozwól więc, że ci przedstawię tę małą zmiję, za którą tak się ujmujesz. - Powoli okrążał ich oboje, aż znów znalazł się twarzą w twarz z dziewczyną. Ku zaskoczeniu Kita, i tym razem nie stawiała oporu i pozwoliła, by baronet przyciągnął ją do siebie. - Lady Dianno Grey, poznaj Christophera Sparhawk. Przybył tu do nas z ko-



lonii w Ameryce i bardziej przywykł do czerwonoskórych, niż do takich panienek jak ty, kochanieczko. Trudno mu przejrzeć twoją słodką twarzyczkę i zajrzeć w twoje czarne od jadu serduzsko - mówił szyderczym tonem.

Dziewczyna odwróciła twarz i spojrzała przez ramię na Kita.

- Niech pan odejdzie, panie Sparhawk. Nie ma powodu, żeby pan tego dalej słuchał. Sir Henry ma rację, to nie pańskie sprawy. Szlachetnie pan postąpił, ale w tym domu nie ma miejsca na szlachetność. Niech pan już idzie, błagam!

Zanim Kit zdołał cokolwiek odpowiedzieć, sir Henry odezwał się jadowitym głosem.

- Pójdę o zakład, że pan Sparhawk tak szybko cię nie opuści, Dianno. A właściwie, to co masz przeciw temu, żeby został twoim rycerzem? Czy powiedziałaś mu już, że cię uwiodłem? Czy odegrałaś już rolę biednej, skrzywdzonej sierotki, zranionego gołąbka?

Kit patrzył zdumiony, jak z twarzy dziewczyny odpływają wszelkie emocje. Była teraz podobna do drewnianej lalki. Czuł, że powinien wziąć ją w ramiona i zabrać z tego domu, ale widząc dziwaczne zachowanie Dianny, nie był już wcale pewny, czy byłoby to słuszne.

- A więc? Biedny mały wróbelek. O ile łatwiej odgrywać niewiniątko, niż przyznać się do prawdy - podjął sir Henry. Przeciagnał palcem po sonej przędze na policzku dziewczyny i Kit zobaczył, że Dianna drgnęła pod jego dotknięciem. - Ale może to rzeczywiście nie jest rycerz dla cie-

bie? Ty przecież lubisz mieszać rozkosz z bólem, prawda, Dianno? Całkiem tak, jak ja.

Kit nie chciał tego dłużej słuchać. Słyszał o mężczyznach, którym sprawiało przyjemność zadawanie bólu kobietom. Nigdy jednak nie spotkał kobiety, którą cieszyłoby takie traktowanie. Nigdy też nie przyszłoby mu do głowy, że siniejące pręgi na ramionach dziewczyny mogły być śladami miłosnych rozkoszy. A on myślał, że dzieje jej się krzywda! Przypomniał sobie, ile tkliwości wzbudziła w nim, kiedy drżała, ledwo okryta cieniuteńkim jedwabiem i poczuł złość. Boże, jakież z niego idiota! Prostoduszny idiota z puszczy Massachusetts, dokładnie tak, jak powiedział sir Henry. Było mu przykro i czuł się boleśnie rozczarowany.

- Ty jesteś całym spadkiem, jaki zostawił mi twój ojciec - ciągnął baronet. - Rzeczywiście, trudno byłoby mu, przy jego obyczajach, zostawić coś więcej. Biedny John Grey! W gruncie rzeczy to, że skręcił kark, było w końcu najszcześniejszym wyjściem z jego kłopotów.

Dziewczyna drgnęła, jakby ją uderzył.

- Zostaw mego ojca w spokoju! Był dobrym człowiekiem i zawsze mnie kochał!

- Oczywiście, że cię kochał. Tak jak teraz ja cię kocham, skarbie. Ale dzisiaj posunęłaś się już za daleko. - Palce baroneta zacisnęły się na twarzy dziewczyny, a jego głos stwardniał. - Nie wiele brakowało, żebyś mnie zabiła i nie mam zamiaru ci tego darować.

W tym momencie rozległ się niespodziewany

hałas i u szczytu schodów ukazała się opromieniona blaskiem świec lady Frances. Tuż za nią podążało dwóch lokajów z ciężkimi kandelabra-  
mi. Jeden z nich wpychał koszulę do spodni. Gdy znaleźli się na dole, lady Frances spojrzała uważnie na Kita, a dopiero potem przyjrzała się mężowi.

- Henry, ty jesteś ranny! - krzyknęła i podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami. - Co ci się stało?

- To długa historia, Fanny, i nie ma potrzeby, aby ją teraz opowiadać.

Baronet puścił dziewczynę, ale nawet podczas rozmowy z żoną nie spuszczał z niej wzroku.

- Ależ ty jesteś ranny, Henry! Ty krwawisz! - lady Frances czule objęła męża. - Wilson! - odwróciła się do jednego ze służących - pędź po doktora!

Sir Henry niecierpliwie uwolnił się z jej objęć.

- Moja droga, najpierw trzeba tu wezwać sędziego - powiedział lodowatym głosem. - Nasza siostrzenica usiłowała mnie zamordować.



Dianna siedziała skulona na szorstkiej drewnianej pryczy. Jesteś damą, powtarzała sobie w duchu, pamiętaj, nic tego nie zmieni. Jesteś damą i wśród przodków masz książąt i królów. Cokolwiek by się z tobą działo, nikt nie zdoła ci tego odebrać.

Była to jedyna pociecha, jaka została jej w lodowatej celi więzienia Bridewell. Otuliła się szczelniej podbitą futrem pelerynką. Pośrodku mrocznego pomieszczenia stał wprawdzie niewielki piecyk, ale Dianna bała się wcisnąć pomiędzy otaczające go skulone postaci w łachmanach. Nie miała pojęcia, jak przyjęłyby ją współtowarzyszki niedoli, pijaczki, złodziejki i ladacznice z portowych szynków. Nie tylko była jedyną wśród nich damą, lecz zarazem, jako jedyna, oskarżona była o naprawdę poważne przestępstwo - usiłowanie morderstwa.

Westchnęła. Ledwo przed tygodniem trafiła do więzienia, a czuła się tak, jakby od wieków już nie widziała świata i normalnych ludzi. A to był dopiero początek. Słuchając rozmów innych więźniarek zorientowała się, co właściwie oznacza zesłanie do kolonii. Gdy minie zima, zostaną zakute w łańcuchy i ku ucieście gawiedzi prze-

pędzone całą gromadą przez ulice miasta do portu. Potem, stłoczone w ciasnej, cuchnącej i ciemnej ładowni, odbędą podróż przez ocean, do Ameryki. Po kilku tygodniach żeglugi, gdy wylądują na miejscu, trafi na targ i jak jakaś nędzna czarnoskóra poganka zostanie sprzedana na plantację, na której będzie pracować do chwili, gdy wreszcie wyzionie ducha ze zmęczenia. I pomyśleć, jaką łaskawą minę robił ten nadęty sędzia mówiąc, że powinna się cieszyć, bo mogłaby trafić na szubienicę!

Wcale nie musiało tak się skończyć. Adwokat zapewniał ją, że nie grozi jej poważny wyrok. Sir Henry nie był ciężko ranny, sytuacja, w jakiej odniósł obrażenia była niejasna i wydawało się prawdopodobne, że sąd oddali oskarżenie. Tak naprawdę pogrożył ją dopiero Christopher Sparhawk, który zeznał pod przysięgą, że usiłowała zabić swego wuja. Kiedy to usłyszała, serce w niej zamarło. Gdzieś w głębi duszy cały czas pamiętała ten moment, gdy wydawało jej się, że Kit obroni ją i wyrwie z rąk sir Henry'ego. Wtedy w nocy ten złotowłosy olbrzym zdawał jej się przez chwilę dobrym księciem z bajki. Nie protestowała, słysząc kłamstwa wuja, bo doświadczenie nauczyło ją już, że i tak nikt jej nie wierzy. Poczwała tylko bolesne ukłucie w sercu, bo przecież coś jej mówiło, że ten mężczyzna nie jest taki, jak wszyscy. No cóż, myliła się. Zrozumiała to w pełni, gdy usłyszała, z jaką łatwością składał w sądzie zeznanie, które dla niej było wyrokiem śmierci!

Zacisnęła powieki, aby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Jak zwykle wracała myślami do swego ojca. Nie umiała sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek w życiu mogła kochać kogoś tak, jak jego. John Grey zachowywał się przez całe życie tak, jakby nie był najmłodszym, piątym synem markiza Haddonfield, lecz raczej pierworodnym, dziedzicem lwiej części majątku. Był przy tym dowcipnym i błyskotliwym kompanem oraz utalentowanym muzykiem. Ten ostatni dar Dianna odziedziczyła po ojcu, nic dziwnego więc, że oboje byli serdecznie witani zarówno na królewskim, jak i na każdym innym arystokratycznym dworze w Anglii. Wszystko było dobrze do dnia, gdy koń, na którym jechał sir John Grey, spłoszył się niespodziewanie, przejeżdżając strumień. Ojciec Dianny runął głową w dół na kamienie i zabił się na miejscu. Potem sprawy potoczyły się zdumiewająco szybko. Kiedy okazało się, że długi sir Johna przewyższały wartość pozostawionego przezeń majątku, eleganccy przyjaciele złożyli dziewczynie kwieciste kondolencje i zniknęli bez śladu.

Jedynym człowiekiem, który zainteresował się sierotą, był wuj. Sir Henry Ashe zaproponował jej mieszkanie, ale szybko okazało się, że za swoją życzliwość spodziewał się czegoś więcej, niż tylko wyrazów wdzięczności. Zanim Dianna zorientowała się, czego właściwie oczekuje od niej baronet, wszyscy wokół byli już przekonani, że jest kochanką starego rozpustnika. W końcu, szeptało dokoła, dziewczyna ma już dwadzieścia dwa

lata, jest biedna jak mysz kościelna i nie pozostaje jej nic lepszego, niż zdać się na swego protektora i spodziewać, że będzie o niej pamiętał, układając testament.

Myśli Dianny wróciły do wieczora, gdy dłonie wuja łapczywie sięgały do jej piersi, a łakome usta usiłowały zakosztować jej warg. Kiedy, głuchy na błagania i rozwścieczony oporem, uderzył ją raz i drugi, przerażona chwyciła pierwszy przedmiot, jaki wpadł jej w ręce, wymierzyła mu cios w głowę i...

Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzyknięciem i do celi zajrzał strażnik. Skupione wokół piecyka kobiety zerwały się na równe nogi.

- Czy może znów przyszedłeś, panie, do swojej słodkiej Jenny? - dopytywała się postawna ladcznica ze śladami ospy na twarzy i uniosła zachęcająco spódnicę. - Spójrzcie tylko, mój śliczny panie, co tu dla was mam za delicje.

Inne więźniarki powitały propozycję Jenny gwizdami i śmiechem, ale strażnik nie zwrócił na nią uwagi.

- Potrzebna mi jest Dianna Grey. Jest tu taka?

Wszystkie spojrzenia obróciły się w stronę pry- czy Strażnik odruchowo wyprężył się i zsalutował jej, jakby ciągle jeszcze była damą, a nie zdaną na jego łaskę i niełaskę więźniarką.

- Proszę iść za mną, pani. Pan Potter, naczelnik więzienia, chce z panią rozmawiać.

- Rozmawiać, rozmawiać! - wrzasnęła, zanosząc się śmiechem Jenny. Pociągnęła Dianę za rękaw. - Ciekawa jestem, do czego ci się, pańciu,

przyda twój języczek u starego Pottera. Z zadartą do góry kiecką nie będziesz się wiele różniła od żadnej z nas.

Dziewczyna poczuła, że policzki jej płoną. Idąc korytarzem, starała się nie myśleć o kpiących słowach Jenny. Kancelaria naczelnika była niewiele lepsza od celi, z której przyszła, płonął tu jednak ogień, a przez okno wpadało trochę światła. Potter siedział na wyplatany krześle, z nogami na biurku. W jednej ręce trzymał cynowy kufel z piwem, w drugiej jakiś papier, w który wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami. Mozolnie brnąc przez kolejne słowa, poruszał ustami. Przez kilka minut Dianna i strażnik stali w milczeniu. Wreszcie Potter skończył sylabizować i podniósł na nich oczy.

- Allyn, to jest ta... jak jej tam... Grey?

Dianna spróbowała nadać twarzy dumny wyraz.

- Nie jestem żadną „jak jej tam”. Jestem lady Dianna...

Rozdrażniony Potter gwałtownym ruchem odstawił kufel. Piwo chlusnęło na rozrzucone na stole papiery.

- Zamknij się, durna, bo każę cię wsadzić między chłopów! Szybko cię tam nauczą, kto ty jesteś. Albo sam sobie z tobą poradzę. Trochę jesteś za chuda, jak na mój gust, ale trudno, nigdy jeszcze nie miałem prawdziwej damy. - Zamachał ręką.

- No, szybko, ściągaj tę pelerynę.

Dianna poczuła takie przerażenie, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Potrząsnęła tylko w milczeniu głową.



- Lepiej rób, co mówię. Nie wyjdzie ci na zdrowie, jak Allyn będzie ją musiał z ciebie ściągnąć.

Sięgnął do stojącej obok krzesła skrzynki, wyciągnął z niej dwie metalowe obręcze połączone grubym łańcuchem i rzucił je strażnikowi.

Ten pochylił się nagle i chwycił Dianę za kostkę. Kopnęła go natychmiast drugą nogą, ale nic jej to nie pomogło. Zanim się zorientowała, co się dzieje, leżała na podłodze, a strażnik, przyciskając kolanem najpierw jedną, a potem drugą jej nogę do podłogi, nałożył na nie kajdany.

Kiedy wstał, Dianna usiadła i spojrzała na nogi. Jej wąskie, zgrabne kostki tkwiły w żelaznych obręczach. Spróbowała wstać, straciła równowagę i upadła na kolana. Allyn i Potter zarechotali radośnie. Podjęła jeszcze jeden wysiłek i tym razem udało jej się stanąć na nogi.

Doznane upokorzenie wprawiło ją w gniew.

- Jak śmiecie mnie tak traktować! - krzyknęła.  
- Prostacy, chamy! Mój ojciec nie kazał zakładać łańcuchów nawet swoim psom!

- Może jego psy nie były takie wściekłe, ty dziwko! - warknął Allyn, pocierając nogę obolałą od jej kopnięcia.

Potter znów zarechotał.

- Wszystko jedno. To już nie nasza sprawa.  
- Zamachał trzymanym w ręku papierem.  
- Opuszczasz nas dzisiaj, moja damo. Dżentelmen, którego usiłowałaś zamordować, postarał się przyśpieszyć twój wyjazd. Mamy dostarczyć cię do portu. Jeszcze dziś pojedziesz do diabła.

- Ale o co mu chodzi? - zawołała, czując

przypływ paniki na myśl o nieuchronnym wyjeździe. - Co mu szkodzi, że jestem w Londynie?

- Może jego stara zważała coś i się piekli - odpowiedział Potter obojętnym tonem. - Pewnie woli, żebyś znikła mu z oczu. Ciesz się, że nie zażyczył sobie dla świętego spokoju, żeby ktoś ci przydusił gardziołko. Za tę złotą gwineę i to mógłby mieć bez trudu.

- Ale już dziś?! Ja jeszcze nie jestem gotowa!

- Nie potrzebujesz dużo czasu - burknął naczelnik, który najwyraźniej tracił powoli cierpliwość. - Zabierzcie ją!

Dianna patrzyła na niego w milczeniu, nie wierząc własnym uszom. Dopóki była w Anglii, choćby nawet w więzieniu, ciągle jeszcze w głębi serca wierzyła, że nastąpi jakiś cud, wszystko okaże się nieporozumieniem i odzyska wolność.

- Kłamiesz! - krzyknęła. - Żadne statki nie odpływają zimą do kolonii! Dopiero w kwietniu...

W tym samym momencie dwaj żołnierze chwycili ją pod ramiona i bezceremonialnie pociągnęli w stronę drzwi. Szamotanie się nic nie pomogło, najspokojniej ściągnęli Dianę po schodach i wywlekli na dziedziniec. Po tygodniu spędzonym w mrocznej celi blade zimowe słońce zupełnie ją oślepiło. Przymknęła oczy. Jeden z żołnierzy chwycił ją pod kolana i uniósł do góry jak worek. Zanim zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje, wylądowała z łomotem na dnie obudowanego drewnianymi de-

skami wozu. Siła upadku była taka, że przez moment nie mogła zaczerpnąć tchu. Kiedy wreszcie wciągnęła powietrze, uderzył ją smród zbutwiałej słomy.

- Tylko żeby ci do głowy nie przyszło zwiewać! Woźnica ma pistolet i wygarnie do ciebie bez ociągania. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby mu ktoś prysnął i ty na pewno nie będziesz pierwsza.

Żołnierz zatrzasnął za nią drzwiczki. Usłyszała stuknięcie skobla i wóz ruszył z miejsca, kołysząc się na nierównościach dziedzińca.

Dianna z trudem podniosła się z podłogi i przylgnęła do ściany. Przekręciła głowę i przyłożyła oko do szczeliny między szorstkimi deskami. Nie знаła ulic, jakimi jechali - wąskich, zatłoczonych, obudowanych nędznymi, pochylonymi domkami, na których wisały szyldy karczem i zajazdów. Czuła się tak, jakby była gdzieś na końcu świata. Uciekać! Boże kochany, a dokąd ona mogłaby uciec? Nawet gdyby jakimś cudem udało się jej przedostać przez deski, które odgradzały ją od świata i zerwać z nóg żelazne kajdany, to i tak nie miałaby się dokąd schronić. Myśl o tułaczce po świecie, którą widziała wokół wozu, napawała ją tylko przerażeniem.

Z westchnieniem potarła kostki. Metalowe obręcze natychmiast podarły jedwabne pończochy i odcisnęły się na delikatnej skórze. Spódnica była podarta, postrzępione koronki szare od brudu. Ubranie, którego nie zdejmowała z siebie od chwili aresztowania, zeszywniało od

potu. Otuliła się szczelnie podbitą futrem pelearnką, którą dostała jeszcze od ojca i zamknęła oczy.

Po jakimś czasie wóz zwolnił i wreszcie stanął. Dianna usłyszała krzyki mew i poczuła zapach wody. Jeszcze raz przycisnęła twarz do szorstkich desek i wyjrzała przez szparę. Na tle bladobłękitnego nieba kołysały się maszty stojących przy nabrzeżu statków. Więc Potter nie kłamał, już za chwilę znajdzie się na statku, który na zawsze uniesie ją za ocean. Poczuła, jak jej serce szamocze się w rozpaczliwym odruchu paniki.

Woźnica otworzył drzwiczki i Dianna z trudem wygramoliła się z wozu. Mężczyzna chwycił ją mocno pod ramię i poprowadził w stronę nabrzeża, pomiędzy zaciekawionymi gapiami. Z każdym krokiem kajdany wrzynały się głębiej w jej nogi i musiała z całych sił powstrzymywać się, żeby nie krzyknąć z bólu. Kiedy wspinała się po trapie na statek, przebiegło jej przez myśl, żeby wyrwać się strażnikowi i skoczyć do brudnej wody, kołyszącej się pod stopami. Potem z rezygnacją poddała się losowi i weszła na pokład. Zaprowadzono ją do kabiny kapitana.

Kapitan Abraham Welles stał wsparty o stół i rozmawiał z bosmanem. Niezadowolony, że ktoś przerywa mu naradę, zmarszczył brwi i popatrzył na intruzów surowym spojrzeniem. W miarę jak żołnierz wyjaśniał przyczynę swego przybycia, bruzda na czole kapitana pogłębiała się.

- Niech to szlag! Miała tu być wieczorem, a nie

w południe - burknął niecierpliwie. - Nie mam teraz czasu.

- Takie otrzymałem rozkazy, sir - odparł strażnik. - Nie mogę odwieźć jej z powrotem.

- A czy mówię, żebyś ją odwoził? Jak już jest, to trudno. - Pociągnął nosem i odwrócił się do mata. - Zaprowadź ją na dół, Harper, i daj jej cebrzyk wody, bo śmierdzi jak zaraza.

- Tak jest, kapitanie. - Młody marynarz podszedł do Dianny z zakłopotaną miną i wskazał jej ręką dalszą drogę, ale żołnierz nie puścił ramienia dziewczyny.

- Niech pan na nią lepiej uważa, kapitanie. To niezłe ziółko. Morderczyni. Najlepiej byłoby ją przykuć gdzieś w ładowni.

Dianna zauważyła zaskoczone spojrzenia obu żeglarzy.

- Nikogo nie zamordowałam - zaczęła. - To nie była moja...

- Cicho, kobieto! - zagrzmiął kapitan Welles. Obszedł stół i zbliżył się do dziewczyny i strażnika. - Przykuć gdzieś w ładowni? Wielki Boże, za kogo wy mnie macie? Za handlarza niewolników, czy co? - Rzucił okiem w dół i teraz dopiero zauważył łańcuch. - Rozkuj ją natychmiast, durniu, i jazda ze statku, zanim każę cię wrzucić do Tamizy!

Mrucząc coś pod nosem, strażnik przyklęknął i zdjął kajdany z nóg dziewczyny, a potem pośpiesznie zniknął. Bosman wyszedł za żołnierzem i zamknął drzwi. Dianna została sam na sam z kapitanem, który wrócił na swoje

miejsce przy stole i zmierzył ją ponurym wzrokiem.

Czekała, co będzie dalej i przez głowę przebiegały jej opowieści, która usłyszała w więzieniu. Zdarzało się, że kapitanowie traktowali więźniarki jak niewolnice, tworząc sobie z nich harem na czas podróży. Kapitan Welles zaczął wprawdzie od uwolnienia jej z kajdanów, ale dotychczasowe doświadczenia nauczyły ją aż za dobrze, że szaleństwem jest ufać mężczyznom.

- Nie pasujesz mi do szubienicy - odezwał się wreszcie. - Ani nie wyglądasz na ładacznicę czy złodziejkę, jakie tu zwykle trafiają.

- Nie jestem ładacznicą, panie, lecz damą. Nazywam się Dianna Grey.

Odpowiedział jej szorstki śmiech.

- Nie, nie, moja droga. Teraz już nie jesteś żadną damą. Zamordowałaś czy nie, wszystko jedno. Byłaś sądzona i przed szubienicą uratowała cię tylko łaska Majestatu. Tu, na statku, i w koloniach nie ma miejsca dla tych wszystkich napuszonych dżentelmenów i dam.

- Nie jestem żadną napuszoną damą! - krzyknęła w odpowiedzi. - Mój rodowód jest starszy niż królowej Anny. I lepszy, i...

- Dość gadania - przerwał jej kapitan. - O szlachetności pochodzenia trzeba było pomyśleć, zanim zaczęłaś postępować jak pospolita łajdaczka. I zapamiętaj sobie, że na tym statku ja jestem królem i władcą, a jeśli zaczniesz mi sprawiać kłopoty, to bez oporów każę powiesić cię na

rei. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o twoim pochodzeniu! Zrozumiano?

Patrzył na nią spod zmarszczonych brwi do chwili, gdy z ociąganiem skinęła głową.

- Dobrze. - Twarz kapitana rozjaśniła się nieco. - A teraz, moja panno, przejdźmy do rzeczy.



Wstrzymując oddech, Dianna czekała na dalsze słowa, których treść wydawała jej się zupełnie oczywista.

- Choć sobie na to nie zasługujesz, a przynajmniej jeszcze nie teraz, to chcę, żebyś potraktowała pobyt na tym statku jako ostatnią szansę naprawienia swoich błędów. Trafiasz tu między ludzi uczciwych i prawych, którzy nie wiedzą o twoich grzechach. Chciałbym móc cię traktować tak samo, jak wszystkich, choć muszę ci od razu powiedzieć, że twoje losy i tak rozstrzygną się dopiero po przybyciu do Saybrook.

- A... - zaczęła Dianna ostrożnie - a czego oczekuje pan w zamian?

- Tego, że będziesz się tu sprawować jak uczciwa kobieta i że będziesz się trzymać z dala od marynarzy.

Słowa kapitana były tak zaskakujące, że przez dłuższą chwilę przyglądała mu się podejrzliwie i zastanawiała, co się za nimi naprawdę kryje. Czuła, że za życzliwością mężczyzny musi stać coś, czego nie potrafi przeniknąć.

Stary żeglarz zaśmiał się z fałszywą swobodą i niepewnie przeciągnął ręką po ustach.

- Jestem człowiekiem o miękkim sercu i nie



będę ukrywał, że nie lubię nikomu zadawać niepotrzebnego cierpienia. Wiedz, moja panno, że gdyby przyszło ci płynąć wiosną, na którymś z tych statków, którymi normalnie wozi się więźniów, słabe miałabyś widoki, żeby dotrzeć do celu. Takie chuchro jak ty nie przeżyłoby tyfusu. Ale tu, na „Prosperity”, masz szansę dotrzeć cało do miejsca przeznaczenia.

Dianna zauważyła, że nad górną wargą kapitana zbierają się drobniutkie kropelki potu. Welles kręci, zdała sobie nieoczekiwanie sprawę, kręci i boi się, żeby się to nie wydało.

Kapitan spojrział na drzwi.

- Słuchaj, dziewczyno, nie mam za wiele czasu. Właściciel „Prosperity” to porządny, bogobożny kupiec, który nie miałby najmniejszej ochoty przewozić morderczynie, rozumiesz? Obiecuj mi, że będziesz się porządnie zachowywać, a ja postaram się, żebyś była dobrze traktowana podczas rejsu.

To już brzmiało bardziej prawdopodobnie.

- Mój wuj, sir Henry Ashe, zapłacił panu, żeby wziął mnie pan na pokład, prawda, kapitanie? Bez wiedzy właściciela, tak?

Welles zarumienił się lekko i nic nie odpowiedział. Nie było to konieczne. Dianna zrozumiała, że jej los jest przesądzony. Wuj postarał się o to, by jak najszybciej zniknęła z Anglii. Musiała pogodzić się z faktami. Pomyślała, że istniejący układ mógł kryć w sobie pewne zalety. Uniosła głowę i spojrzała Wellesowi prosto w oczy.

- Niech pan mi powie, kapitanie, czy praca na plantacjach tytoniu jest bardzo ciężka?

- Na plantacjach tytoniu? Niech Bóg broni, dziewczyno, nie płyniemy na południe! „Prosperity” jest porządną, uczciwą, jankeską łajbą. Pożeglujemy prosto do Nowej Anglii i powtarzam ci: jeśli będziesz się porządnie zachowywała, to w drodze włos ci z głowy nie spadnie, a i na miejscu uda się znaleźć dla ciebie jakieś uczciwe zajęcie.

- Ruszajmy zatem do Nowej Anglii - westchnęła z rezygnacją. - I obym nigdy więcej nie ujrzała tej starej.

- Przepraszam pana, ale za chwilę stracimy z oczu ostatni skrawek Anglii, więc pan kapitan kazał mi zapytać, czy nie zechce pan wyjść na pokład i ostatni raz rzucić okiem na ląd.

- Dziękuję, Isaacu, powiedz kapitanowi, że zaraz przyjdę.

Starannie posypał papier piaskiem, odczekał chwilę, strzepnął go i zamknął kajet. Od kilku godzin nie wstawał od stolika. Chciał przenieść swoje wrażenia na papier, zanim wyblakną i tracą ostrość. Teraz poczuł się zmęczony pisaniem i pomyślał, że przerwa dobrze mu zrobi. „Ostatni skrawek Anglii” nie potraçał w nim, co prawda, żadnej sentymentalnej struny, jednak pozostawało faktem, że przez kilka tygodni, ba, nawet miesięcy, nie ujrzy żadnego lądu.

Sięgnął na koję po kapelusz i z westchnieniem rozejrzał się po kajutce, która na nieokreślony czas stać się miała jego domem. Wąska koja, składany, trójkątny stolik, kulawe krzeselko i jego własny kufer stanowiły całe umeblowanie tej klitki. Sięgając

głową stropu, miał nieustannie wrażenie, że wcisnął się jakimś cudem do domku dla lalek. Z żalem pomyślał o kajucie kapitana i dwumetrowej koi, sporządzonej specjalnie dla Jonathana. W sądzie mógł domagać się jej dla siebie - w końcu był właścicielem statku - ale w przypływie życzliwości, jaką wzbudził w nim Welles, zgodził się zająć kajutę pierwszego oficera i dopiero teraz tego żałował. Inna sprawa, że zamieszanie, jakiego narobił w Londynie, ujęło mu pewności siebie.

Nie poniósł wprawdzie strat, księgi handlowe nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Zawalił natomiast kontakty z jednym z najpoważniejszych kupców w branży drzewnej i w rezultacie Sparhawkowie stracili najlepszego nabywcę na swoje drewno.

W dodatku do tej pory nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego właściwie wplątał się w sprawy sir Henry'ego Ashe'a. Nie dość, że dał się wciągnąć w kłótnię tego łajdaka z kochanką, to jeszcze musiał zeznawać przeciw dziewczynie w sądzie. Cała sprawa nie była dla niego całkiem jasna, więc chciał mówić tylko o tym, czego był świadkiem. Tymczasem oskarżyciel tak zręcznie formułował pytania, że w końcu zeznania Kita stały się podstawą do oskarżenia dziewczyny o morderstwo. Kiedy na nią spojrział, ujrzał w jej oczach tyle nienawiści i pogardy, że zrobiło mu się zimno.

Dziewczyna okazała się zresztą kimś zupełnie innym, niż się spodziewał. Lady Dianna Nerissa de Vere Grey. Stała w sądzie blada jak ściana, ale wyprostowana i dumna, niczym królowa idąca

na ścięcie. Słuchając coraz straszniejszych zarzutów, padających pod jej adresem z ust oskarżyciela, Kit nie potrafił zrozumieć, jak to było możliwe, że wtedy, w nocy, zrobiła na nim wrażenie istoty bezbronnej i słabej. Miał pretensje do niej, że okazała się oszustką, i do siebie, że dał zrobić z siebie głupca.

Samopoczucia Kita w niczym nie poprawiła radość baroneta, który zachwycony jego zeznaniami, wyraził nadzieję, iż ujrzy „tę małą dziwkę” na szubienicy. A kiedy sir Henry dodał, że w zamian dorzuci Kitowi trochę towaru w prezencie, Sparhawk zrozumiał, że nie tylko został wystrychnięty na dudka, ale w dodatku w oczach baroneta, a zapewne i innych świadków całej historii, był świadomym krzywoprzysięcą. Nie wytrzymał i zdzielił nadętego łajdaka pięścią w twarz, a potem bez słowa odwrócił się i odszedł. Nie było wątpliwości, pokpił sprawę i stracił ważnego dla Sparhawków klienta.

Na pokładzie powitał go zimny wiatr. Włożywszy ręce do kieszeni surduta, Kit patrzył z przyjemnością na rozstępujące się przed dziobem okrętu fale. Przy takim wietrze podróż do domu nie będzie trwała długo. Nasunął kapelusz niżej i skuliwszy ramiona, udał się do stojącego przy kole sterowym kapitana.

- Słońce i wiatr - odezwał się Welles zadowolonym tonem. - Czego nam więcej trzeba? Zanim się połapiesz, będziesz na powrót między tymi swoimi drzewami.

Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu. Po kilku

pomyślałem, że mądrzej zrobimy, ładując na pokład chociaż tę garstkę ludzi.

- Już ci mówiłem, że nie mam nic przeciwko temu. Nie musisz się tłumaczyć ze swojej decyzji.

- Nie będzie z nimi żadnego kłopotu, zobaczysz. Teraz wyszli tylko po to, żeby się pożegnać z krajem. Przez resztę drogi nawet ich nie zauważysz.

Welles po raz trzeci lub czwarty usprawiedliwiał się z powodu pasażerów i Kit zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem stary nie przyjął podwójnej opłaty i nie schował połowy sumy do kieszeni. Nie czułby zresztą o to pretensji. I tak mieli z Jonathanem wiele szczęścia, że udało im się znaleźć kogoś, kto gotów był natychmiast wyruszyć w drogę. Miał tylko nadzieję, że sprawa emigrantów nie będzie podstawowym tematem rozmów przez cały rejs.

- Więcej kobiet niż mężczyzn, jak widzę. A jest jakaś ładna dziewczyna, żebym nie umarł z nudów po drodze?

- Są nawet dwie, ale lepiej mi nie wspominać o żadnych podbojach, Kit. Przysiągłem ich ojcu, że cało i zdrowo dotrą na miejsce. Lepiej więc zostaw je w spokoju.

Kit wybuchnął śmiechem.

- Oj, stary, traktujesz mnie, jakbym był diabłem wcielonym. Aż mnie samego ciarki przechodzą.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli, Kit. Nie tylko o ciebie mi chodzi, bo i z Jonathanem jest tak samo. Obaj jesteście zdrowi, przystojni, a i grosza wam nie brakuje. Trudno byłoby zliczyć te wszy-

stkie dziewczyny od Falmouth do New Haven, tylko czekające na okazję, żeby któregoś z was złapać. Ostatnio słyszałem, że nie może przez ciebie spokojnie spać ta mała Sama Lindseya.

- Constance?

Kit z trudem przypomniał sobie dziewczynę z jasnymi (lub może rudymi?) włosami, nie był pewny. Zatańczył z nią raz i drugi latem na zabawie, a teraz dowiaduje się, że straciła głowę.

- Miła z niej dziewczuszka, Abrahamie, ale jeżeli chce męża, to lepiej, żeby szukała gdzie indziej.

- Ona to ona, ale uważaj lepiej na siebie.

- Dzięki za ostrzeżenie, ale ja zawsze jestem ostrożny z pannami, choćby mnie nie wiem jak kusily. Na wiosnę skończę trzydzieści trzy lata i wiem już coś o tym, jak unikać zasadzek.

- Prawdę mówiąc, Kit, to żyjesz tak, jakbyś nie potrzebował do szczęścia niczego, prócz tego swojego Plumstead, młynów i tartaków. Nie mówię, że to źle, ale ciekaw jestem, czy w którąś zimową noc, nawet z całym twoim zapasem drewna, nie zrobi ci się zimno w łóżku.

Kit wzruszył ramionami.

- Gospodarstwo przynajmniej odwzajemnia mi się za moje starania, a przyznasz, że nie o każdej żonie można to samo powiedzieć. Hester dba o dom i stół, a jeśli chodzi o dzieci, to z powodzeniem wystarczą mi te, które z takim zapałem rodzą moje siostry. A co do zimowych nocy - dodał, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu - to nie boję się ich, dopóki nie brak na świecie samotnych, ciepłych wdówek.

Welles prychnął.

- Taki sam był twój ojciec, dopóki nie wpadł w ręce matki.

Kit słuchał go jednym uchem. Teraz, gdy Anglia zniknęła już bezpowrotnie za horyzontem, pasażerowie wrócili pod pokład i tylko jedna postać tkwiła nieruchomo przy burcie. Choć nie widział skrytej pod czarnym kapturem twarzy, czuł, że jest w niej coś szczególnego. Stała zwrócona nie na wschód, w stronę Anglii, lecz na zachód, jakby wypatrywała tego, co ma jej przynieść przyszłość. Mimo że lodowaty wiatr targał jej płaszczem, nie ruszała się z miejsca i ten dziwny upór miał w sobie coś imponującego. Kit pomyślał, że musiała być jedną z tych dziewcząt, o których cześć tak troszczył się Abraham, i uśmiechnął się do siebie. Zawsze podobały mu się odważne, nieugięte kobiety, a nie miał wątpliwości, że stojącej na pokładzie dziewczynie nie brak charakteru.

Uniosła twarz do nieba i w tym momencie wiatr zerwał jej kaptur z głowy. Teraz Kit widział wyraźnie zarumienione od wichru policzki, leciutko rozchylone usta i ciemne włosy z rudawym połyskiem. Nie umiał powstrzymać przekleństwa. Więc to dlatego Abraham ma taką niewyraźną minę, dlatego chce go utrzymać z dala od tych „emigrantów”.

„Emigranci”, niech to diabli! Ta kobieta była zesłańcem.



Wszyscy pasażerowie zeszli już na dół, a Diana długo jeszcze stała na pokładzie. Pierwsze trzy dni podróży spędziła skulona na sienniku, walcząc z mdłościami. Tego ranka zaczęła się wreszcie przyzwyczajać do nieustannego kołysania okrętu, a gwałtowny wiatr przyjemnie chłodził i odświeżał po panującym w ładowni zaduchu. Nigdy wcześniej nie pływała po morzu, więc była zupełnie oszołomiona ogromem rozciągającej się wokół niej przestrzeni. Pierwszy raz w życiu czuła się naprawdę wolna. Przeszłość już jej nie wiązała, a przyszłość była jeszcze całkowicie niewyobrażalna. Nawet to, że była lady Dianną Grey przestało już cokolwiek znaczyć. Pograżona w myślach nie zwracała uwagi ani na kręcących się wokół niej i żywo nią zainteresowanych marynarzy, ani na gwałtowną wymianę zdań między stojącym za kołem sterowym kapitanem a towarzyszącym mu właścicielem statku. Dopiero gdy twarz i ręce zupełnie jej zdrętwiały z zimna, odwróciła się tyłem do fal i z ociąganiem wróciła pod pokład.

„Prosperity” była statkiem handlowym i nie miała kabin pasażerskich. Pasażerowie podróżowali w ładowni, podzielonej między trzy rodziny



za pomocą rozwieszonych rwa linach kolorowych narzut.

- A nie mówiłam, że jak - wyjdiesz na powietrze, to ci wrócą kolory! - pogodnym głosem powitała Dianne Mary Penhallow.

Kobieta od samego początku podróży traktowała dziewczynę jak jedną ze swoich licznych córek. Opiekowała się nią i gdy ta cierpiała na morską chorobę, poiła miętą. Pulchna, różowa i ciepła, była tak podobna do piastunki zapamiętanej przez Dianne z dzieciństwa że dziewczyna bez wahania oddała się w jej ręce.

Nie potrafiła jednak poczuć się naprawdę członkiem rodziny Mary Penhallow. Nie miała pojęcia, jak zwracać się do dzieci, wobec dorosłych czuła się skrępowana i nieśmielona. Jedyłą osobą poza Mary, do której udało jej się zbliżyć, była czternastoletnia Eunice. Dziewczyna patrzyła na Dianne jak w obraz, zachwycała się jej urodą i radziła się we wszystkich swoich kłopotach.

I teraz znalazła się przy niej, kiedy tylko Dianne usiadła na swoim sienniku.

- Chciałam z tobą zostać na pokładzie, ale mama powiedziała, że nie wypada mi paradować przed marynarzami.

- Wszystko przekręcasz, moje dziecko - skarciła ją matka. - Powiedziałam, że nie wypada ci tak się gapić na marynarzy. Chodź tu, siadaj przy mnie, ty gąsko, i pozwól Diannie odpocząć.

Eunice pokręciła głową.

- Nie gapiłam się na marynarzy mamó, tylko na pana Sparhawk, właściciela statku. Isaac mó-

wi, że pan Sparhawk ma wielki dwór i gospodarstwo i że jego ziemia ciągnie się całymi dziesiątkami kilometrów. Podobno jest jej tyle, że nie ma tego kto uprawiać i leży odłogiem!

Dianna odwróciła się niespokojnie.

- Jak on się nazywa?

- Christopher Sparhawk - odpowiedziała Eunice rozmarzonym głosem. - Jak żyję nie widziałam przystojniejszego mężczyzny. Od samego jego uśmiechu można zemdleć, słowo daję, Dianno. A gdybyś widziała, jaki jest szeroki w ramionach, o mój Boże.

- Christopher Sparhawk! - jęknęła Dianna. - Że też musiałam wylądować na statku tego nikczemnika.

- Znasz go? - zainteresowała się Mary. - Ale przecież nie on jeden może nosić to nazwisko.

- Wielki, jasnowłosy, zielonooki byczek, który wygląda tak pocziwie, że nie sposób mu nie uwierzyć, nawet gdy kłamie w żywe oczy? Dureń, który tyle czasu spędził wśród dzikich, że zupełnie odwykł od ludzkiego języka?

- Ależ, Dianno... Pan Sparhawk jest rzeczywiście wysoki i bardzo przystojny, ale co do kłamania i tego wszystkiego, co mu zarzucasz, to nic o tym nie wiem. Kapitan Welles zawsze mówi o nim z wielkim szacunkiem.

- A co może powiedzieć, skoro siedzi u niego w kieszeni? A ja powiadam wam, że ten wasz Sparhawk to po prostu łajdak!

W ostatniej chwili przypomniała sobie, że jej rozmówczyni nie ma pojęcia o okolicznościach,

w jakich spotkała właściciela statku i że w swoim własnym interesie nie powinna jej tego opowiadać. Znów poczuła się oszukana. Ależ oni muszą mieć zabawę, ci trzej łajdacy: Ashe, Welles i Sparhawk!, pomyślała i przepełniła ją gorycz.

W tym właśnie momencie w ładowni zjawił się chłopiec okrętowy.

- Panno Grey, wzywają panią na pokład!

Zerwała się jak oparzona i wzięła pod boki.

- Wzywają? A kto taki, jeśli można zapytać?

- Pan Sparhawk, ot co - odparł chłopak, zirytowany jej słowami. - I lepiej pani zrobi, jeśli nie będzie go pani złościć i zaraz za mną pójdzie.

- Idę, już idę - burknęła niechętnie.

Mrucząc pod nosem, szła za chłopakiem w stronę kajuty kapitana. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że mimowolnie poprawia włosy. Zachnęła się, zniecierpliwiona. Dlaczego miałyby się przejmować tym, jak będzie wyglądała w oczach tego piekielnego Sparhawka? Potrząsnęła głową, a potem jeszcze potargała szybko włosy palcami. Teraz przynajmniej nie będzie myślał, że się nim przejmuje!

Zatrzymali się przed wąskimi drzwiami. Isaac zastukał dwukrotnie, otworzył drzwi i odsunął się na bok, aby wpuścić Dianę do środka. Stała niepewnie w progu i rozejrzała się po wnętrzu kajuty. Była dużo mniejsza, niż się spodziewała i gdy Christopher Sparhawk uniósł się z krzesła, wydawało się, że jego barczysta postać wypełnia całe pomieszczenie.

Wielki Boże, jak ona mogła zapomnieć, że ten

człowiek jest istnym wielkoludem? Teraz czuła, iż nie jest to wyłącznie kwestia szerokich ramion i ogromnego wzrostu. Sparhawk otaczała, wy-czuwalna tu dużo wyraźniej niż w Londynie, aura pewności siebie. Choć ubrany był jak dżentelmen, to skórę miał spieczoną przez słońce, jak naj-zwyklejszy robotnik, a na wielkich dłoniach bli-zny i odciski. Nie nosił peruki, zaś bujne, płowe włosy opadały mu w lokach na ramiona. Dooko-ła oczu i ust rysowały się cieniutkie zmarszczki, zdradzające skłonność do śmiechu.

Teraz jednak w jego oczach nie było śladu we-sołości.

- A więc to jednak ty - zaczął chłodno, nie witając się z nią. - Proszę wejść i zamknąć za so-bą drzwi. Nie chciałbym, żeby to, o czym będzie-my rozmawiać, rozniosło się po całym statku.

Dianna zeszywniała i spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego mnie tu wezwałeś? Żeby się ze mnie śmiać, żeby szydzić sobie z mego losu? Czy to może część umowy, którą zawarłeś z moim wujem? Jesteś, jak mi mówią, kupcem, więc do-myślam się, że takie łajdactwo nie jest dla ciebie niczym szczególnym. - Rozejrzała się po kajucie i natychmiast zadała mu następny cios. - No, ale jeżeli te mebelki to wszystko, na co cię stać, to nawet kupiec z ciebie marny.

Przez długą chwilę patrzył na nią uważnie. Musiał przyznać, że, podobnie jak w sądzie, im-ponowała mu swoją zawziętością i dumą. Wiele się jednak zmieniło. Jedwabie straciły swój po-

łusk, a koronki były w strzępach. Na palcach Dianny nie było śladu po pierścionkach, a z uszu zniknęły złote kolczyki z perłami. Przypomniała mu się noc, gdy spotkał ją po raz pierwszy i jak wystrychnęła go wtedy na dudka.

- Widzę, że kiedy nie możesz wygrać słodyczą, to język od razu ci się wyostrza - powiedział łagodnie. - Jedyne łajdactwa, jakie cię tu sprowadziły, to twoje własne.

- A dlaczego miałabym w to uwierzyć? Wiem, że sir Henry zapłacił kapitanowi Wellesowi, żeby zabrał mnie na pokład. Dlaczego z tobą miałoby być inaczej?

- Bo ja jestem kimś innym. - Przypomniał sobie, jak kapitan wił się i kręcił, gdy zażądał od niego wyjaśnień, dotyczących obecności Dianny na pokładzie. - Bo jestem inny, niż wszyscy mężczyźni, których dotąd znałaś.

Jego pewność siebie doprowadzała ją do szału. Coś mówiło jej, że ten cały Sparhawk ma rację. Nie tylko w jego sylwetce, lecz także w twarzy była spokojna siła. Nie miał w sobie nic ze zniewieściałości i wygodnictwa, cechującego w mniejszym lub większym stopniu wszystkich mężczyzn, jakich znała, łącznie z jej ojcem.

- Myślisz, że wsiadłabym na ten statek, gdybym miała pojęcie, że należy do ciebie?

- Podejrzewam, iż strażnik z Bridewell nie zostawił ci dużego wyboru.

Przypomniał sobie, co Welles opowiedział mu o pierwszym spotkaniu z dziewczyną, o bólu na jej twarzy i otartych do krwi kostkach. Chciał

spytać, czy się wygoiły i nagle poczuł, że wiele by dał za to, żeby móc samemu rzucić okiem na jej nogi.

- Albo oboje kłamiemy - stwierdził wreszcie - albo twój wuj z obojga z nas zrobił idiotów.

- O ile pamiętam, to bez chwili wahania skłamałeś pod przysięgą!

- Nie mam zwyczaju kłamać, moja panno, a już na pewno nie dla takich jak ty.

Miał ochotę chwycić ją w ramiona i potrząsnąć nią tak, żeby wrócił jej rozum, ale przypomniał sobie uczucie, jakie budziło w nim dotknięcie jej ciała i uznał, że roztropniej zrobi, jeśli się powstrzyma. Dla pewności założył ręce za plecy i splótł mocno palce.

- Powtórzyłem w sądzie twoje własne słowa. Sama powiedziałaś, że zraniłaś swego wuja.

- Uderzyłam go w obronie własnej, a nie po to, żeby go zabić. I nie jestem twoją panną. Jestem lady Dianną...

- Jesteś teraz panną Dianną Grey i niczym więcej. O ile wiem, Welles już ci to wyjaśnił. Chyba że bardziej ci odpowiada określenie Dianna Grey, ładaczniczka? Albo Dianna Grey, morderczyni? Dianna Grey, komediantka? To ostatnie będzie chyba najlepsze.

Zacisnęła zęby. Każde jego słowo było jak cios. Ładaczniczka, morderczyni, komediantka... Przypomniała sobie Mary i Eunice Penhallow, pomyślała o dzieciach. Jeżeli wyjdzie na jaw, że została zesłana za próbę morderstwa, wszyscy się od niej odwrócą.

- Kapitan Welles obiecał, że nie powie nikomu, w jakim jestem położeniu.

- Co z tego? Sama złamałaś umowę, upierając się przy swoim tytule.

- To pierwszy raz. Nikomu dotychczas o tym nie mówiłam.

Zdała sobie sprawę, że poczucie wolności było tylko złudzeniem. Wszystko przez tego obrzydliwego egoistę. Patrzył na nią teraz zielonymi kocimi oczami, czekając na jej reakcję. Jakie to może mieć dla niego znaczenie?, zastanawiała się gorączkowo. Co go to wszystko obchodzi?

- Przysięgam, że nikomu z pasażerów nie mówiłam, kim jestem. I zresztą wolałabym... wolałabym, żeby nie wiedzieli.

Uniosła brodę jeszcze odrobinę wyżej i Kit zauważył przedziałek na jej podbródku. Po raz pierwszy przyjrzał się Diannie uważnie. Wedle powszechnie przyjętych kanonów urody nie była wcale taką pięknoscią, za jaką dotychczas ją uważał. Jej arystokratyczny nos był troszkę za długi, a usta odrobinę zbyt pełne. Miała jednak w twarzy coś nieodparcie zmysłowego, coś, co pociągało go bardziej, niż miałyby ochotę przyznać przed sobą samym. W każdym razie, kiedy kazał ją do siebie wezwać, przepełniała go złość, a teraz jego uczucia nabrały zupełnie innego zabarwienia.

- Dokądkolwiek uciekniesz i tak nigdy nie uwolnisz się od swojej przeszłości.

- Czego w takim razie chcesz? - zapytała z goryczą. - Wyrzucisz mnie za burtę? Nie boisz

się, że moje nikczemne ciało wytruje ryby w oceanie?

Kit poczuł się zaskoczony goryczą, jaką wyczuł w jej głosie.

- No cóż, na pewno znajdziemy dla twojego jadowitego ciała jakieś lepsze zastosowanie - powiedział, chcąc ją rozśmieszyć i wydobyć wreszcie z przygnębienia.

Natomiast Diannie głos uwiązł w krtani. Więc w końcu odkrył karty. Była zdana na jego łaskę i niełaskę, bez możliwości ucieczki czy obrony. Ten Sparhawk, przy pozorach głupoty, był dużo sprytniejszy od jej wuja. Spojrzenie dziewczyny mimowolnie powędrowało w kierunku koi. Boże wielki! taki olbrzym może ją po prostu zabić. Zagryzła boleśnie wargi i spuściła wzrok, nie chcąc, by ujrzał rumieniec palący jej policzki i łyzy w oczach.

Kit nie mógł oderwać spojrzenia od Dianny, każdy jej gest traktując jako objaw niepokonanej namiętności. Niech to diabli!, myślał, jak ta dziewczyna się zarumieniła, rzuciwszy okiem na koję!

- Dianno, moja maleńka - mruknął i wyciągnął rękę, aby pogładzić ją po włosach.

Kiedy z westchnieniem uniosła głowę, znieruchomiał w pół gestu. Najbardziej zaskoczyły go nie łyzy w jej oczach, ale oczywisty, wyraźny strach. Zawstydzony, cofnął rękę i zastanawiając się gorączkowo, co się jej właściwie stało, wcisnął dłonie w kieszenie surduta.

Dianna poczuła niewymowną ulgę, nie wolną



jednak od upokorzenia. Była bezsilna i zdana na żebranię, jak jakaś służąca, którą przed gwałtem chroni tylko fakt, że zalana łzami i z czerwonym, zasmarkanym nosem jest już całkiem nieapetyczna. Gdzie się podziała twoja duma?, zadała sobie w duchu pytanie.

Wyprostowała ramiona i zaczęła szukać w kieszeni chusteczki.

- Musisz wiedzieć - odezwała się, usiłując nadać głosowi pełne godności brzmienie - że zwykle tego nie robię.

- Czego? - spytał, mierząc ją podejrzliwym spojrzeniem.

- No, zwykle nie płaczę.

Pociągnęła głośno nosem. Kit bez słowa podał jej własną chusteczkę - kawał bielonego grubego płótna, najwyraźniej utkanego na domowych krosnach.

- Dziękuję. Nie mam pojęcia, co się stało z moją chusteczką, ale, niestety, ze znanych ci powodów, nie mogłam się w żaden sposób przygotować do tej podróży.

- Doprawdy? - mruknął bez życzliwości.

- No oczywiście! Czy myślisz, że gdyby było inaczej, wyglądałabym tak, jak teraz? Wiosną, gdy byłam z ojcem w Paryżu, mieliśmy cztery wielkie kufry, a kiedy wracaliśmy, służący zupełnie zbaranieli na widok tego wszystkiego, co przyszło im dźwigać!

Wybuchnęła radosnym śmiechem, który zamarł jej w gardle, gdy ujrzała poważną twarz Kita. Przez krótką chwilę patrzyła mu w oczy, sta-

rając się odgadnąć, o czym myśli i ogarnęło ją zakłopotanie. W zielonych tęczęwkach mężczyzny nie było ani złości, ani groźby. Dostrzegła w nich tylko pytanie, na które nie potrafiła odpowiedzieć. Opuściła wzrok i spojrzała na jego szeroką pierś. Barwna chusta na szyi Kita była rozluźniona, spod niedopiętej koszuli wyłaniał się opalony tors i ciemne włosy. Pomijając ojca i tę jedną noc, gdy usiłował ją zgwałcić sir Henry, pierwszy raz w życiu znalazła się tak blisko mężczyzny. Zaciekawiona, przesunęła spojrzenie niżej, przejechała wzrokiem wzdłuż płaskiego brzucha, zatrzymała się na moment przy zaskakująco wąskich i zgrabnych biodrach, a potem dotarła do obcisłych bryczesów. Widok, który ujrzała sprawił, że na twarz dziewczyny wrócił rumieniec zakłopotania. Szybko podniosła wzrok i zawisła spojrzeniem w bezpiecznym miejscu, na szyi Kita.

Nie czuła już przed nim lęku, choć pomimo swojej niewinności zdawała sobie sprawę, że teraz właśnie powinna bać się go bardziej niż poprzednio. Zarazem jednak nie mogła unieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Błądziła spojrzeniem po jego ogromnej piersi i zdumiewająco szerokich ramionach. Przypomniała sobie tę chwilę, gdy ją objął wtedy w nocy i wróciło do niej to dziwne uczucie, że jest w jego rękach jak krucha porcelanowa figurka, bezpieczna, a zarazem zdana całkowicie na jego łaskę i niełaskę.

Kit stał tymczasem bez ruchu, pozwalając jej przywyknąć do swej postaci. Zastanawiał się, czy

spojrzawszy w dół, zdała sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje i zadawał sobie pytanie, jak zareagowałby na dotknięcie Dianny, skoro sam jej widok wywierał na nim takie wrażenie. Nie potrafił się zdecydować, co zrobić. Miał chęć zedrzeć z niej suknię, przewrócić na podłogę i posiąść, nie zważając na nic. Nie rozumiał jej łez, nie mógł pojąć, o co znowu chodzi tej nikczemnej, bezwstydnej komediantce.

- No i co mam z tobą zrobić, Dianno? - odezwał się wreszcie, z trudem wydobywając głos z zaciśniętego gardła.

- To, panie Sparhawk... to...

- Kit. Mów do mnie Kit.

- Chciałam powiedzieć, że decyzja należy do ciebie - odpowiedziała z trudem, ledwo poznając własny głos. - Czy mi się to podoba, czy nie, jesteś właścicielem tego statku, a ja jestem tylko zdana na twoją wolę pasażerką.

Milczał, patrząc na nią wzrokiem, od którego zakręciło jej się w głowie.

- Tak to wygląda, prawda... Kit?

Miał wrażenie, że słyszy w jej głosie niejasną obietnicę. Gdy rozchyliła wilgotne usta, ukazując drobne białe zęby, świat zawirował wokół niego, jakby gwałtowny poryw wiatru nagle zakręcił statkiem. Gdy wymówiła jego imię, poczuł się, jakby usłyszał czarodziejskie zaklęcie. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie budziła w nim takiego pożądania. Miał wrażenie, że Dianna zmienia się jak żywe srebro. Jeszcze przed chwilą na jej rękach błyszczały łyzy, a teraz patrzyła mu w oczy

spojrzeniem, od którego burzyła się w nim krew. Poczł, że dziewczyna bawi się nim jak zabawką.

Odwrócił głowę, żeby uwolnić się od jej widoku. Zdał sobie sprawę, że musi nad sobą zapanować. Po pierwsze, była niedoszlą morderczynią. Po drugie, siostrzenicą jednego z najbardziej zepsutych i rozwiązłych arystokratów, jakich znała Anglia. Jeśli nawet, odpowiadając na jego pocałunki, nie wbi je mu noża w plecy, to na pewno zarazi go francuską chorobą. Powinien odesłać ją do ładowni i trzymać się od niej z daleka.

Kiedy tak stał, nie patrząc na nią, Dianna poczuła, że jej serce wreszcie się uspokaja. Odechnęła głębkoko i zdała sobie sprawę, że gdzieś w głębi duszy czuje žal, że do niczego między nimi nie doszło.

- Biorąc pod uwagę, że Welles jest kapitanem „Prosperity”, będę honorował umowę, jaką z nim zawarłaś - odezwał się wreszcie Kit, starając się patrzeć gdzieś ponad głowę Dianny. Jeżeli będziesz się dobrze sprawować, będziesz traktowana tak, jak każda inna kobieta na pokładzie. Bóg wie, że sobie na to nie zasługujesz i że wcale mi się to nie podoba, ale słowo jest słowem i trzeba go dotrzymać.

Z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło. Wyciągnął nogi i złożył ręce na piersi.

- Mogłabyś - dorzucił po chwili - podziękować mi za to.

- Za co? Za obietnicę uczciwego traktowania?  
- Wiedziała, że nie o to mu chodzi, ale nie potrafiła zapanować nad irytacją, jaką budziła

w niej ta sytuacja. - Nie wydaje mi się, żeby wymagało to szczególnych podziękowań. Czy mogę już odejść, panie Sparhawk?

Kit zaklął w duchu. Więc znów był dla niej panem Sparhawk. Niech diabli wezmą tę nadętą, głupią arystokratkę. Czuł się tak, jakby to nie on był tu panem sytuacji, ale ona.

- Idź! - burknął wściekły, ale gdy tylko się odwróciła, pożałował, że straci ją z oczu. - Nie, zaczekaj jeszcze chwilę!

Odwróciła się i spojrzała na niego tym swoim wyniosłym spojrzeniem. Nie miał pojęcia, co właściwie ma powiedzieć, więc zadał jej pierwsze pytanie, jakie mu przyszło do głowy.

- W sądzie mówili, że nosisz żałobę tylko po to, żeby wzbudzić współczucie sędziego. Ale widzę, że teraz też masz czarny strój. O co tu chodzi?

- Mój ojciec zginął przed czterema miesiącami na polowaniu. To dlatego noszę czarną suknię.

- A matka?

- Umarła przy porodzie. Czy mogę już odejść?

Chciał powiedzieć jej coś jeszcze. Aż za dobrze znał ból po utracie rodziców, ale nie wiedział, jak wyrazić swoje współczucie, więc tylko skinął głową.

Tym razem to Dianna zatrzymała się w progu. Zacisnęła drobne ręce w pięstki, odwróciła ku niemu głowę i rzuciła przez ramię:

- Chcę, żeby pan wiedział, że wszystko, co mówił mój wuj, każde jego słowo, to tylko ohydne kłamstwa!

Wyraz niedowierzania na jego twarzy sprawił, że ruszyła dalej, nie czekając na odpowiedź. Gardził nią, potępiał, a wszystko dlatego, że wierzył temu staremu łajdakowi. Niech diabli porwą tego wyrośniętego durnia z głębi amerykańskiej puszczy! Tego kłamcę i krzywoprzysięcę, przez którego trafiła do więzienia! Nic ją nie obchodzi, co sobie o niej myśli! Była tylko wściekła, że nie potrafiła stawić mu czoła, że omal nie zemdląła z wrażenia, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo jej pragnie.

Słuchając oddalających się kroków dziewczyny, Kit zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu na odchodnym. Choć nie żywił specjalnej sympatii do sir Henry'ego, to z drugiej strony nie potrafił uwierzyć słowom Dianny. Im dłużej myślał, tym bardziej czuł się skołowany. Wreszcie zaklął zniechęcony i uderzył pięścią w ścianę. I tak nie dojdzie prawdy. Postanowił unikać dziewczyny przez resztę drogi i nie zaprzętać sobie nią głowy. W końcu to tylko dwa, góra trzy miesiące.

A potem przypomniał sobie, co czuł, gdy spojrzenie jej szarosrebrzystych oczu wędrowało po jego ciele i przeszedł go dreszcz. Nie miał wątpliwości, że powinien trzymać się od niej z dala. I równie dobrze wiedział, że nie będzie to wcale takie łatwe.



Dianna pochyliła głowę i spojrzała na twarde suchar, który miał jej wystarczyć jako obiad i kolacja zarazem. Od czterech tygodni, odkąd skończyły się zapasy świeżej żywności, pasażerowie z ładowni żywili się wyłącznie sucharami, których racje znów zostały zmniejszone. Głód i wyczerpanie odbierały ludziom siły i osłabiały ich wolę.

Siedząca obok Dianny Mary Penhalow kołysała w ramionach najmłodszego syna. Chłopiec oddychał ciężko przez sen, na trawione gorączką, wychudłe policzki wystąpił mu niezdrowy rumieniec. Chwiejąca się pod sufitem latarnia oświetliła na moment twarz Mary i Dianną wstrząsnął widoczny na niej wyraz cierpienia.

Marynarz, który codziennie rano przynosił im suchary i wodę, zaklinał się, że decydując się na rejs zimą, trudno było spodziewać się lepszych warunków. Dianna twierdziła, że wielkie brzuszysko zadaje kłam jego słowom, ale jej współpasażerowie zaprzeczali gorąco. „Prosperity”, powiedali, jest uczciwym, chrześcijańskim statkiem, a jej kapitan porządnym człowiekiem i wdawanie się z nim w dyskusję na temat wyżywienia byłoby zupełną niedorzecznością.

Chory chłopiec obudził się z krzykiem. Słuchając uspokajającej dziecko Mary, Dianna poczuła, że ma już tego wszystkiego dosyć. Zerwała się z miejsca, wsunęła suchara do kieszeni i na chwiejnych nogach ruszyła w stronę schodów prowadzących do wyjścia z ładowni. Gdzieś na statku musi być jedzenie i nie ustąpi, dopóki wszyscy nie będą mieli równego udziału w zapasach.

Kit odsunął krzesło od stołu i zanurzył twarz w dłoniach. Gorący gulasz i szklanka rumu sprawiły, że poczuł się syty, zmęczony i senny. Nie mogąc znieść bezczynności, na jaką skazywała go dola pasażera, pracował razem z marynarzami. A nie była to lekka praca. Poprzedniej nocy, podczas mroźnej zamieci, przez czternaście godzin walczyli o ocalenie „Prosperity”. Kołyszący się pokład zasypany był śniegiem, a zamrożnięte liny i poręczce stanowiły marne zabezpieczenie przed wypadnięciem za burtę.

Pomimo braku doświadczenia Kit dobrze sobie radził. Był silny, zahartowany i zręczny. I miał szczęście. To się liczyło. Przypomniał sobie twarz Caleba Tuckera. Refowali razem żagle, gdy Caleb poślizgnął się i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, już go nie było. Kit zastanawiał się, jak ma powiedzieć o tym jego żonie, która została w Nowym Londynie i właśnie spodziewała się dziecka. Zadba o to, by niczego jej nie brakowało, ale cóż to znaczy? Potem pomyślał, że właściwie tylko przypadek sprawił, że morze pochłonięło



Caleba, a nie jego i wzdrygnął się na myśl o następnej wachcie.

- Wedle moich obliczeń, Kit, będziemy na miejscu za niecały tydzień - odezwał się Abraham, zapalając fajkę. - Ta twoja „Prosperity” nieźle sobie radzi, trzeba jej to przyznać.

- Nie moja, tylko Jonathana - poprawił go od-  
ruchowo.

Nie było mu przyjemnie, że Abraham traktuje go tak, jakby Jonathana już nie było na świecie. Równie nieprzyjemne było dla niego odkrycie, że i śmierć Caleba nie zrobiła na starym najmniejszego wrażenia. W ogóle ta wspólna podróż niejedno przed Kitem odkryła. Abraham był znakomitym żeglarzem, ale jako człowiek nie budził w nim sympatii.

- Nawet jeśli na papierze „Prosperity” jest moją własnością, to w rzeczywistości jej właścicielem pozostaje Jonathan.

Kapitan wydmuchał dym z fajki.

- Co do Jonathana, Kit, to nie życzę mu źle, tego chyba nie sądzisz. Ale jeśli okaże się, że chłopak nie może chodzić, sam rozumiesz... Czy tego chcesz, czy nie, będziesz miał „Prosperity” na głowie.

- Nie ma o czym gadać - odparł, zniecierpliwiony. - Jestem pewny, że Jonathan będzie zdrow - dorzucił i zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie usiłuje zagłuszyć własnych obaw.

- Nie rozumiesz mnie, Kit... - kapitan odłożył fajkę i szykował się właśnie do dłuższej przemo-

wy, gdy przerwało mu nagle gwałtowne stukanie do drzwi. - Wchodź, wchodź - odezwał się niezadowolonym tonem - skoro tak ci się piekielnie śpieszy.

Nozdrza Dianny uderzył ostry zapach przypraw, cebuli i pieczonego mięsa. Wciągnęła głęboko powietrze, jakby mogła w ten sposób nasyć głód.

- No, co tak się gapisz, dziewczyno? - zaczął Welles niezbyt zachęcającym tonem. - Jeśli masz coś do powiedzenia, to gadaj i idź. Nic tu dobrego nie wystoisz.

Dianna z pewnym wysiłkiem zdołała oderwać wzrok od stołu.

- Nie daje pan pasażerom jedzenia, za które zapłacili, panie kapitanie.

Abraham zachnął się, oburzony.

- A co, brak wam frykasów? A cóż, do diabła, ty możesz wiedzieć, dziewczucho, o jedzeniu na morzu?

- Wiem tylko tyle, że dzieci są chore z głodu, podczas gdy pan napycha sobie kiesę pieniędzmi, które pan od nich wziął! Ciekawa jestem, co pan zrobi, jeżeli któreś... - nie dokończyła, przerażona tym, co przyszło jej na myśl.

Kapitan uderzył pięścią w stół.

- Skoro tak z nimi źle, to dlaczego nikt nie przyszedł się poskarżyć, co? Musieli aż ciebie wysyłać?

- Nikt nie wie, że tu przyszłam. Nikomu z tych biedaków przez myśl nie przeszło, że może ich pan oszukiwać i że ma pan w spiżarni więcej, niż suchara dziennie!

- Suchara dziennie? - powtórzył Kit z niedowierzaniem. - Jednego suchara dziennie?

Diana dopiero teraz go zauważyła.

- Tak, łaskawy panie, a i to dobrze, jeśli nie jest w połowie spleśniały.

- To wariatka, Kit, awanturnica - wtrącił pośpiesznie kapitan. - Sam mi tak mówiłeś.

- Wyjdź stąd, Abrahamie - polecił pobladły raptownie Sparhawk. - Natychmiast.

Mamrocząc coś pod nosem, Abraham wciągnął na grzbiet surdut i wyszedł z kajuty. Jeśli pozostało mu choć trochę zdrowego rozsądku, pomyślał Kit, to natychmiast wyda pasażerom dodatkowe racje żywności.

Westchnął i odwrócił się w stronę Dianny. Chciał ją wypytać o warunki, panujące w ładowni, ale kiedy jej się przyjrzał, natychmiast zrozumiał, że właściwie nie ma o co pytać. Dziewczyna miała zapadnięte policzki, a suknia wisiała na niej, jak na szkielecie. Poczł wyrzuty sumienia. Wiedział przecież o chciwości Wellesa, a jednak do głowy mu nie przyszło, żeby sprawdzić, jak kapitan traktuje ludzi, od których wziął podwójną opłatę za rejs. Dziewczyna wspomniała o chorych dzieciach. Tego mu tylko brakowało, żeby mieć na sumieniu jeszcze jakieś dzieci. Niech to diabli!

Dianna patrzyła na niego zmęczonym spojrzeniem. Kit nie wyglądał na zagłodzonego, to prawda, ale zaczerwienione, podkrążone oczy i bruzdy wokół ust świadczyły, że i jemu nie było lekko. Przestała odczuwać przed nim

łek. Przez osiem tygodni zostawił ją w spokoju, co dowodziło, że nie miał na nią żadnych zakusów.

To śmieszne, ale było jej go niemal żal. Uświadomiła sobie, że właściwie nie ma mu już za złe złożonych w sądzie zeznań. Lepiej pamiętała to, że chciał stanąć w jej obronie i to, jak bezpiecznie czuła się, gdy trzymał ją w ramionach. Przypomniała sobie jeszcze coś - tajemnicze ciepło, jakie poczuła wymawiając jeden jedyny raz jego imię. Nagle znów poczuła ten sam dziwny niepokój, który jej wtedy towarzyszył i pożałowała, że kapitan Welles wyszedł z kajuty.

- Smaczne było? - zapytała z ironią, patrząc na rozstawione na stole talerze. - Mam nadzieję, że zostało wam jeszcze coś, czym kapitan Welles będzie mógł obdzielić swoich pasażerów.

- Niech Bóg ma go w opiece, jeśli by miało okazać się, że jest inaczej - odezwał się Kit z niespodziewaną porywcznością.

- Czy to do ciebie należy decyzja o tym, co pasażerowie dostają do jedzenia? - Zrobiła krok w stronę mężczyzny i spojrzała na niego wojowniczo. - W takim razie kapitan Welles nic nie zyskuje na głodzeniu ludzi.

Kit nie starał się wyprowadzić jej z błędu. Zapewne i tak by mu nie uwierzyła.

- Dlaczego nie przyszłaś do mnie wcześniej?

Myśli Dianny pobiegły ku ich ostatniemu spotkaniu.

- Nie wydawało mi się, byśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia, panie Sparhawk.

- Na miłość boską, nie chodzi mi o ciebie i mnie, ale o sytuację na statku!

Dianna zarumieniła się ze wstydu i zakłopotania. Była wściekła, że mimo woli wróciła do sprawy ich wzajemnych stosunków. Nie potrafiąc inaczej wybrnąć z sytuacji, zdecydowała się na atak.

- Przyszłam do kapitana Wellesa, bo byłam przekonana, że decyzja leży w jego rękach. Gdybym tylko wiedziała, że się tu spotkamy, nie przyszłabym. Nie potrafię sobie radzić w takich sprawach z ludźmi z gminu.

Oczy Kita pociemniały.

- To powiedz mi w takim razie, moja panno, jak rozmawiałabyś w takiej sytuacji z jakimś dobrze urodzonym i wychowanym dżentelmenem, na przykład ze swoim wujem? - odezwał się zjadliwym tonem.

- Nie widzę żadnego związku... - zaczęła ostro.

- Doprawdy? A mnie się wydaje, że nietrudno go dostrzec - odpowiedział spokojnie.

Z przyjemnością zauważył, że poczerwieniała. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale zaczepianie jej sprawiało mu przyjemność. Wiedział, że za tydzień będzie z powrotem w Nowym Londynie, gdzie nie braknie poczciwych, ładnych dziewcząt, marzących tylko o tym, by znaleźć się w jego objęciach. A jednak myśl o nich nie budziła w nim teraz najmniejszego wzruszenia. Kłótnia i zepsuta Dianna Grey wcale nie była pięknnością, zwłaszcza teraz, po kilku

tygodniach ścisłego postu, a jednak budziła w nim pragnienia, których nie potrafił nawet nazwać. Nic na to nie umiał poradzić, ale od czasu ich poprzedniej rozmowy nawiedzała go na jawie i we śnie.

Teraz też stała przed nim, stanowiąc wyzwanie, z którym nie umiał sobie poradzić. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć z głodu, a jednak przez myśl jej nie przeszło, żeby poprosić o coś dla siebie. Choć jej suknia była w strzępach, ciągle miała minę wielkiej pani i traktowała go, jakby nie był wart złamanego szeląga. Może dlatego nie umiał się powstrzymać przed zaczepkami i robił co mógł, żeby wreszcie ją rozzłościć. Podniósł się z krzesła i stanął tuż przed nią.

- Niech mi pani powie, moja damo - zaczął z fałszywym spokojem. - Szlachetny dżentelmen, taki jak sir Henry, nie dałby złamanego szeląga za tych biedaków poupychanych w ładowni. Tym bardziej dziwi mnie, że staje pani w ich obronie. Może któryś z tych chłopów przypadł pani do serca? Zdaje się, że gdy chodzi o te sprawy, to, przy całej swojej subtelności, najszlachetniejsze damy nie bywają zbyt wybredne?

- Nie masz prawa mówić do mnie w taki sposób! Ci ludzie, którzy przygarnęli mnie do siebie, okazali mi dużo więcej serca niż ty albo kapitan Welles. Ale ty nie tylko dałeś wiarę oszczerstwom tego łajdaka, do którego domu trafiłam na własną zgubę, ale w dodatku sądzisz, że jestem do niego podobna. Otóż zapamiętaj sobie, że tak nie jest!

Przez twarz Kita przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Jest chyba tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, nieprawdaż?

Zanim zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, trzymał ją w ramionach. Dianna natychmiast zaczęła się szarpać, usiłując uwolnić się z jego uścisku, ale jej walka z góry skazana była na przegraną. Kit pochylił głowę i wtedy poczuła szorstki dotyk jego policzka i zaskakująco delikatne wargi, którymi nakrył jej rozwarte do krzyku usta. Jeszcze nigdy nie całował jej żaden mężczyzna. Jedynym, który tego spróbował, był sir Henry, ale teraz zdała sobie sprawę, że te dwa doświadczenia nie mają ze sobą nic wspólnego.

Tym razem wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Wbrew temu, czego oczekiwała, czuła pragnienie, by odpowiedzieć na pieszczoty jego ust. Całe jej ciało ogarnęła słodka niemoc. Poczuła, że kręci się jej w głowie, więc, sama nie wiedząc, co robi, zarzuciła mu ręce na szyję. Miała uczucie, że unosi się w powietrzu, lekka jak bańka mydlana.

Całując Dianę, Kit też odniósł wrażenie, jakiego zupełnie się nie spodziewał. Była drobniejsza, niż ją zapamiętał, lub może to długotrwały post tak ją zmienił. Ale wyczerpanie w niczym nie osłabiło płonącego w niej ognia. Od pierwszej chwili, gdy tylko ich usta się spotkały, poczuł coś, czego jeszcze nigdy nie doznał. W pocałunkach, jakie oddawała mu Dianna, były ogień, słodycz

i obietnica jeszcze czegoś więcej. Zarazem jednak był w nich smutek i jakby cień niepewności czy wahania. Cokolwiek to zresztą było, przywiązywało go do niej w zgoła magiczny sposób. Próbował się uwolnić przed tą hipnotyczną siłą, powtarzając sobie, że wszystko jest tylko częścią jej gry, ale te wysiłki w niczym mu nie pomagały. Pocałunek zrodzony z gniewu i ze złości odkrył przed nim naraz coś zupełnie niespodziewanego.

A może to zresztą w ogóle nie była sprawa gniewu? Może po prostu chodziło o to, że Caleb Tucker był bezpowrotnie martwy, a Dianna Grey pełna życia, tak cudownie, wspaniale pełna życia? I to tchnienie życia, udzielało się przy niej i jemu? Usta Kita powędrowały wzdłuż policzka dziewczyny do tego szczególnego miejsca koło ucha. Dianna wynagrodziła jego pieśczętę westchnieniem rozkoszy.

To samo mimowolne westchnienie, które tak ucieszyło serce Kita, przyniosło dziewczynie niespodziewane otrzeźwienie. Co ona właściwie robi z tym mężczyzną? Dlaczego mu na to pozwala? Usłyszała nagle własny urywany oddech, uświadomiła sobie, że pocałunki Kita rozniecają w jej sercu ogień, nad którym nie potrafi zapanować i poczuła przerażenie. A więc sir Henry i Sparhawk mieli rację - była zepsuta do szpiku kości, zepsuta i rozpustna. Nie tylko pozwoliła bez oporu całować się obcemu mężczyźnie, ale w dodatku czuła niespodziewaną, oszałamiającą rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie



zaznała. Pamiętaj, po co tu przyszłaś, powiedziała sobie, nie zapominaj o Mary Penhallow, o chorym Benjaminie i słaniającej się z osłabienia Eunice. Przypomnij sobie o zapleśniałych sucharach.

Odsunęła się od Kita na tyle, na ile mogła uczynić to, uwięziona w jego uścisku.

- Dasz im teraz jeść, prawda? - zapytała niepokojnie.

- Cicho, dziecinko, ani teraz czas, ani miejsce na te sprawy - mruknął w odpowiedzi i jego usta powędrowały w dół jej szyi, budząc w ciele Dianny nowy, nieoczekiwany dreszcz.

- Nie - odpowiedziała z zaskakującą siłą i opierając obie dłonie na piersi Kita, odsunęła się nagle od niego. - Niech pan da słowo, panie Sparhawk, że każe pan wydać pasażerom należne im jedzenie.

- Więc znowu jestem panem Sparhawk? Czujesz mnie tak, jakby w twoich żyłach płynął ogień piekielny, a zaraz potem znowu jestem panem Sparhawk?

Puścił ją gwałtownie i cofnął się o krok. Diana mimowolnie pocierała ramiona w miejscach, na których czuła jeszcze uścisk jego żelaznych dłoni. Ten gest uraził dumę Kita bardziej niż jej słowa. Nie zdawał sobie sprawy z siły, z jaką ją obejmował i wydało mu się, że dziewczyna czuje do niego odrazę. Nie tylko poczuł się zawiedziony, ale miał wrażenie, że po raz kolejny dał się jej oszukać. Założył ręce za plecami i aż do bólu zacisnął splecione palce.

- Powiedz mi, Dianno, czy ty chcesz coś ode mnie wytargować?

Z trudem przełknęła ślinę. Stojący przed nią mężczyzna wydał się jej obcy i zimny, jakby wykuty z bryły lodu. Jakaś cząstka jej serca czuła żal, że tak łatwo wypuścił ją z objęć, ale widok jego wyniosłej, obojętnej miny sprawił, że bez trudu się przemogła.

- Jesteś kupcem, handlarzem - odezwała się, starając nadać swemu głosowi chłodne, rzeczowe brzmienie - i jeśli tylko po kupiecku potrafisz ujmować rzeczywistość, to możemy się targować.

Kit zastanawiał się, czy gdyby Welles był sam, Diana też oddałaby mu swoje ciało. Kto wie, być może już to zrobiła?

- Zwykła transakcja i nic więcej, tak?

Z trudem skinęła głową, czując w głowie niespodziewany zamęt. Nie miała nic, prócz sukni na grzbiecie, i on świetnie zdawał sobie z tego sprawę. W końcu nie prosiła go o coś szczególnie skomplikowanego. Dlaczego uparł się, by uczynić z tej sprawy taki problem? Szczęki Sparhawk zaciśnęły się, a jego spojrzenie stało się lodowate.

- Tam, skąd pochodzę, moja pani, znane jest specjalne określenie kobiety, handlującej swoim ciałem. I muszę powiedzieć, że uważa się je za bardziej obelżywe, niż nazwanie kogoś handlarzem.

- Ty... ty obrzydliwy chamie, ty wstrętny bydlaku, ty... A niech cię diabli wezmą! - wykrzyknęła, nie mogąc znaleźć dostatecznie obelżywych

słów i z całych sił trzasnęła go w twarz. - Nie nawidzę cię i wiele bym dała, żeby się nigdy na ciebie nie natknąć!

- Mogę pani odpowiedzieć wyłącznie to samo, *madame*<sup>1</sup>. - wrzasnął najbardziej zjadliwym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

Policzek, na którym wylądowała jej dłoń, piekł go żywym ogniem, nade wszystko jednak bolała go urażona duma. Miał już dosyć jej nieustannych gier i chciał raz na zawsze się od niej uwolnić.

Otworzył drzwi jednym szarpnięciem.

- Jazda stąd! - ryknął. - Za tydzień będziemy na miejscu! Jeżeli nie chcesz wylądować za burta, to trzymaj się przez ten tydzień poza zasięgiem mojego wzroku!

Dianna była zbyt rozzłoszczona, żeby mu odpowiedzieć. Miała wrażenie, że pozwoliła się wykorzystać, upokorzyć i sponiewierać, a ostatecznie nie uzyskała nawet obietnicy lepszego wyżywienia! Tupnęła nogą, nie zamierzając poddać się bez walki, gdy nagle natrafiła wzrokiem na królujący pośrodku stołu kociołek z gulaszem. Porwała go oburącz i przyciskając do piersi, bez słowa opuściła kajutę.

Kit patrzył za nią, stojąc nieruchomo jak rażony gromem. Wreszcie zatrzasnął drzwi i podszedł powoli do stołu. Wsparty oburącz o grube deski długo wpatrywał się w okrągłą wilgotną plamę, jaka pozostała po kociołku z gulaszem i zastanawiał się nad sprzecznościami, w jakie obfituje charakter Dianny Grey.

„Prosperity” osiągnęła cel swej podróży wczesnym rankiem. Niebo było czyste i blade, powietrze przenikał lekki marcowy mrozek. Usłyszawszy, że żegluga dobiega kresu, pasażerowie wylegli na pokład, spragnieni widoku swojej nowej ojczyzny. Wśród przekrzykujących się, ożywionych ludzi, tylko Dianna czuła ciężar w sercu. Bez entuzjazmu patrzyła na miasto, którego budynki widać było coraz wyraźniej.

Miasto, dobre sobie, pomyślała z ironią. Chyba tylko z nazwy. Domy mieszkalne i pomieszczenia portowe, składy i magazyny - były to tylko nędzne drewniane szopy ustawione wzdłuż brzegu, pozbawione proporcji, dekoracji, jakiegokolwiek wykończenia. Wiatry i deszcze nadały im jednakową szarobrazową barwę. Żadne drzewo nie łagodziło surowości pejzażu, po bladym niebie błąkał się tylko dym z kominów.

Otuliła się ciaśniej resztkami pelerynki i próbowała sobie wyobrazić, co ona właściwie będzie tu robić. Odebrała staranne wykształcenie, umiała czytać, pisać i rachować, grać na szpincie i śpiewać, dobrze mówiła po francusku i trochę po włosku. Miała jednak poważne wątpliwości, czy w miejscu takim jak Saybrook umiejętności te będą na coś przydatne.

Obejrzała się za siebie i dostrzegłszy sylwetkę stojącego za kołem sterowym kapitana Wellesa, poczuła się spokojniejsza. Nie miała wątpliwości, że ten poczciwy, choć gburowaty, człowiek nie odmówi jej swojej pomocy. Na samym początku znajomości uwolnił ją z okowów, a gdy tylko da-

ła mu okazję, robiąc awanturę właścicielowi statku, od razu zaczął lepiej karmić pasażerów. Obiecał, że znajdzie jej jakieś miejsce i mogła ufać, iż dotrzyma słowa. Całe szczęście, pomyślała, że jej los nie zależy od tego potwornego, niegodziwego łajdaka, Kita Sparhawka.

Nowina o przybyciu „Prosperity” lotem błyskawicy obiegła miasto i zanim jeszcze statek przycumował, na brzegu już zgromadziła się grupka ludzi - żon z niemowlętami na rękach, podskakujących z podniecenia dzieci, przyjaciół i sąsiadów - wykrzykujących ponad wodą pozdrowienia, które natychmiast porywał wiatr. Gdy tylko statek znieruchomiał przy oszalowanym nieheblowanymi, wiecznie mokrymi deskami nabrzeżu, oczekujący zaczęli wskakiwać na pokład, chwytając swoich bliskich w ramiona. Atmosfera radości była tak zaraźliwa, że nawet Dianna z uśmiechem odpowiadała na powitania ze strony zupełnie sobie obcych ludzi. Skoro aż tu dotarła szczęśliwie, to może rzeczywiście nic gorszego już jej nie czeka?

Nad głowami otaczających ją ludzi dostrzegła ogorzałą twarz Kita. Nie miał kapelusza i wiatr targał jego płowe włosy. Nie mogła nic poradzić na to, że patrząc na niego, poczuła w sercu nagły skurcz. Mężczyzna uśmiechał się i twarz rozjaśniała mu radość z przybycia do domu, ale w oczach miał zaskakujący smutek i powagę. Dianna zastanawiała się, za kim może rozglądać się z tak wyraźnym niepokojem. Nagłe zauważyła, że uśmiech zniknął z twarzy Kita. Podążyła

za jego spojrzeniem i zobaczyła młodą kobietę o kasztanowych włosach, która zarumieniła się, gdy Sparhawk chwycił ją za rękę. Dziewczyna była ładna, stwierdziła z goryczą Dianna, wręcz piękna i nawet ciężki płaszcz nie był w stanie ukryć przed światem faktu, że spodziewała się dziecka. „Prosperity” wypłynęła w rejs przed siedmioma miesiącami i wróciła akurat na czas, by zebrać przychówek.

- Niech to diabli - usłyszała tuż obok siebie głos jakiegoś marynarza, tulącego do siebie żonę i oblepionego przez gromadkę dzieci. - Już jest Patience Tucker. Biedna dziewczyna. Całe szczęście, że pan Sparhawk się o nią zatroszczy.

- Nie mów o tym przy dzieciach - mruknęła w odpowiedzi kobieta. - Zaczną się bać, że coś takiego może się przydarzyć i tobie.

Po plecach Dianny przebiegł zimny dreszcz. Świetnie pamiętała skandal, jaki wydarzył się na dworze przed dwoma laty. Jedna z jej przyjaciółek, uwiedziona przez przystojego barona, będącego faworytem królowej, zaszła w ciążę. Jej brat zginał, pojedynkując się z kochankiem, a ona sama utopiła się z rozpacz. Baron i całe wytworne towarzystwo skwitowało wszystko zaledwie wzruszeniem ramion i zabawa na dworze dalej trwała w najlepsze.

Kit Sparhawk okazał się przyzwoitszy, choć i tak nic nie wskazywało na to, by miał zamiar poślubić dziewczynę. Pewnie już miał w domu żonę. Dianna patrzyła za nim, gdy schodził na brzeg, podtrzymując słaniającą się na nogach kobietę.

Zrobiło jej się zimno, cała radość z przybycia na miejsce rozwiała się bez śladu. A co stałoby się z nią, gdyby i ona zaszła z nim w ciążę? A tak niewiele brakowało, Boże miłosierny! Była zbyt słaba, a on był taki silny. Jego pocałunki rozpały w niej ogień, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Właściwie tylko przypadek uratował ją przed najgorszym. Przypomniał się jej sir Henry. Wielki Boże, stara Anglia czy Nowa, wszystko jedno. Wszędzie ta sama ohyda i nikczemność.

Przez następny tydzień Dianna mieszkała na pokładzie „Prosperity”, czekając, aż kapitan znajdzie kogoś, kto kupi ją do służby. Ponieważ Welles jej unikał, doszła do wniosku, że najwyraźniej nie jest to takie łatwe, jak wydawało się w Londynie. Nie tylko ona zresztą pozostała na statku. Jej towarzysze podróży czekali na wóz, którym mieli udać się w dalszą drogę.

Było późne popołudnie. Dianna i Eunice siedziały razem na pokładzie, rzucały w powietrze okruchy sucharów i podziwiały akrobacje łapiących je w locie mew. Przed nimi rozciągała się zatoka. Dziewczyna specjalnie wybrała tę stronę statku, chcąc uniknąć spotkania z nadzorującym rozładunek towarów Kitem. Mimo to co chwila dobiegał ją jego radosny śmiech i wtedy nie potrafiła powstrzymać irytacji. Jak ten człowiek może się tak głośno śmiać? Jakie właściwie ma powody do radości? Dlaczego nie zniknie raz na zawsze, tak żeby w końcu mogła o nim zapomnieć? Zirytowana, cisnęła kawałkiem suchara

w jedną z siedzących na pokładzie mew, jakby miała przed sobą samego Kita Sparhawk.

Nagły hałas spłoszył ptaki. Pracujący na pokładzie mężczyźni zaczęli krzyczeć i wiwatować. Eunice zerwała się na równe nogi i nie zważając na protesty Dianny, pociągnęła ją za sobą.

- O Boże! Wiesz, kto to jest? - krzyczała, podniecona. - To musi być pan kapitan! Jonathan Sparhawk! Wszyscy się bali, że on już nie żyje!

Dianna rzuciła spojrzenie na siedzącego na czarnym ogierze i radośnie wymachującego trójgraniastym kapeluszem mężczyznę. Miał na sobie czerwony mundurowy surdut ze złotymi guzikami i białą chustkę zawiązaną wokół szyi. Zdziwiło ją, że tak niezgrabnie zsiada z konia i zrozumiała to, dopiero gdy zobaczyła, jak ostrożnie stanął na lewej nodze i zaczął odpinać od popręgów drewnianą kulę.

Zanim jeszcze Kit chwycił nowo przybyłego w ramiona, Dianna wiedziała już, że to musi być jego brat. Zbyt byli do siebie podobni, aby można się było pomylić. Patrzyła teraz, jak klepią się po plecach, śmiejąc się i krzycząc z radości jak opętani. Jonathan był odrobinę niższy i miał ciemne włosy, ale budowa ciała, zielone oczy i rysy twarzy nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

- Co za widok - westchnęła Eunice. - Jeden piękniejszy od drugiego. Że też tacy mężczyźni są na świecie.

- Zapewniam cię - odpowiedziała jej Dianna z goryczą - że z ich obecności nie wynika dla kobiet nic dobrego.



A jednak nie mogła oderwać oczu od ściskających się braci. Jonathan, gdy tylko Kit wypuścił go z objęć, spojrzał z nie ukrywaną ciekawością na dwie dziewczyny, stojące na pokładzie statku.

- Niech cię diabli, Kit! - krzyknął, zadowolony. - Widzę, że trafiło ci się niezłe towarzystwo. Szkoda, że to nie ja dowodziłem statkiem w miejscy starego Abrahama!

Kit skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

- Jedna to głupia smarkula, z całą rodziną na karku, a druga jeszcze gorsza.

Po czym streścił bratu historię Dianny, przemilczając tylko rolę, jaką sam odegrał w jej przygodach.

- Arystokratka morderczyni! - Jonathan aż gwizdnał z podziwu. - Ale powiem ci, że ma coś w sobie. Moim zdaniem, nawet po tej podróży nic jej nie brakuje. W tym słońcu ma zupełnie złote włosy.

- Ależ to nie ta - wtrącił szybko Kit. - Mówię o tej pięknej brunetce.

Jonathan zmarszczył brwi i zastanowił się nad słowami brata. Zbyt dobrze znał jego upodobania, by uwierzyć, że to drobne, wychudłe stworzenie z szopą czarnych włosów na głowie przypadło mu do gustu.

- Abraham chce za nią dziesięć gwinei. Nie wydaje mi się warta nawet połowy tej sumy, ale skoro tobie się podoba, mogę ci ją sprezentować.

- Uśmiechnął się drapieżnym, kocim uśmiechem.

- Na zimowe noce w Plumstead.

- Lepiej byłoby cisnąć to złoto do rzeki! -

krzyknął oburzony Kit. - Dołożyłbym drugie tyle, byleby tylko przypadkiem nie wylądowała gdzieś w okolicy!

Dostrzegł w oku brata błysk zainteresowania i zaklął w duchu. Niech to szlag trafi! Czuł, że nie uniknie pytań i prędzej czy później będzie się musiał do wszystkiego przyznać, a wtedy ten szczeniak po prostu pęknie ze śmiechu.

W tym momencie uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, żeby już nigdy nie słyszał gardłowego śmiechu brata. Teraz dopiero zauważył, że Jonathan z całych sił zaciska palce na kuli, a jego uśmiech przypomina bolesny grymas. Konna podróż bez wątpienia wiele go kosztowała. Objął brata ramieniem i zaskoczony stwierdził, że Jonathan przyjął rzespodziewaną pomoc z nie skrywaną ulgą.

- Chodź, Jon - powiedział, daremnie starając się o szorstki ton. - Mamy sobie sporo do powiedzenia i na pewno lepiej się nam będzie gadało w jakimś spokojnym, ciepłym kącie, niż tutaj.

Jednak zanim odeszli, Jonathan odwrócił się jeszcze raz w stronę statku i nisko skłonił jego pasażerkom, z kurtuazją wywijając przy tym kapełuszem.

- Dziesięć gwinei - mruknął do brata. - Gdybyś ją tylko zechciał, uwolniłbyś mnie od konieczności szukania jakiegoś droższego prezentu.

Eunice chichotała, zachwycona wygłupami Jonathana, ale Dianna poczuła żal, że to nie Kit odwrócił ku nim na odchodnym głowę. Zdała sobie

sprawę, że teraz, gdy Jonathan wrócił na statek, Kit nie będzie miał tu już nic do roboty i bardzo możliwe, że widzi go ostatni raz w życiu.

- Dianno Grey! - usłyszała szorstki głos Wellesa. - Ruszże się, dziewczyno, nie będę cały dzień na ciebie czekał.

U boku kapitana stał jakiś człowiek. Gdy Dianna podeszła do nich, mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem, pod którym oblała się rumieńcem. Nieznajomy miał na sobie kapelusz z szerokim rondem, długi czarny płaszcz i brudne, skórzane bryczesy. Kości policzkowe obciągnięte były napiętą skórą, a głęboko zapadnięte oczy lśniły ponuro. Dianna przestraszyła się, że zachowanie mężczyzny będzie równie ostre i nieprzyjemne, jak jego wygląd.

- Co się tak gapisz, jak sroka w gnat? - burknął kapitan Welles. - Chcesz już na dzień dobry rozzłościć swojego nowego pana?



Dianna kuliła się na pokładzie niewielkiego stateczku, chroniąc się za nadbudówką przed lodowatym wiatrem. Mimo że pobyt na powietrzu nie należał do przyjemności, wołała to od siedzenia w ciasnej, zadymionej kabinie, w której jej nabywca wraz z dwoma innymi mężczyznami oddawał się nie mającej końca grze w kości. Ilekroć słyszała głos swego nowego pana, dochodzący aż na pokład, zastanawiała się, czy krzyczy dlatego, że wygrał, czy dlatego, że przegrał.

Jedyne, co wiedziała na temat Asy Winga, to że lubił hazard. Pojęcia nie miała, dokąd płyną i co będzie z nią dalej. Nie wiedziała nawet, po co właściwie ją kupił. Najwyraźniej ani nie potrzebował służącej, ani nie odczuwał wobec niej tego lubieżnego pożądania, które ożywiało sir Henry'ego. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie wiedział, co z nią zrobić.

Wsparała głowę na rękach. Nienawidziła uczucia bezradności, a właśnie teraz była bezradna, jak jeszcze nigdy dotąd. Przez najbliższych siedem lat panem jej życia miał być ten zupełnie obcy stary człowiek. Siedem lat! Kiedy upłyną, będzie miała trzydzieści lat. W tym wieku już nie znajdzie sobie męża. Dopóki żył jej ojciec, Dianna

nigdy nie chciała mieć rodziny, ale w czasie podróży przez Atlantyk, gdy przyglądała się życiu Penhallowów, coraz częściej przychodziło jej na myśl, że dobrze byłoby nie być samej. Irytowało ją jedynie, że mężczyzna, będący w marzeniach jej mężem, zawsze, niezależnie od jej woli, miał twarz Kita Sparhawka.

Westchnęła, z rezygnacją i odgarnęła włosy z czoła. Nigdy w życiu nie była zakochana, a teraz zaczęła sobie uświadamiać, że po raz pierwszy niewiele brakowało, by zakochała się, i to w kim, w Sparhawku! Starła się nie myśleć o jego nieoczekiwanej łagodności, o uśmiechu, z jakim na nią patrzył, o dreszczu, jaki przeszył całe jej ciało, gdy ją pocałował. Usiłowała skupić się na jego obrzydliwym krzywoprzysięstwie, za które na pewno otrzymał od sir Henry'ego sowitą zapłatę i na tym, jak głodził swoich pasażerów, byle tylko zagarnąć ich nędzne grosze. Nie potrafiła też uwolnić się od obrazu brzemiennej dziewczyny, która powitała go w Saybrook.

Nie, powiedziała sobie wreszcie twardo. Nie ma czego żałować. Dobrze się stało, że się ostatecznie rozstali, w końcu nie brak na świecie mężczyzn przystojniejszych i lepszych od tego chciwego kupca.

Wyrwała się ze świata własnych myśli i rozejrzała dookoła. Brzegi rzeki zbliżyły się do siebie, a jej wody straciły zielonkawy kolor oceanu i nabrały srebrzystego odcienia. Znikły domy miasteczka i jego obszerne stajnie, stodoły i magazyny. Po obu stronach rozciągały się łąki, na których

z rzadka wyrastało jakieś pojedyncze drzewo, pozostałość dawnej puszczy. Potem i łąki zostały za nimi, a po obu brzegach ciągnęły się mroczne lasy, przez które nie mogły się przedrzeć promienie zachodzącego słońca. W miarę jak rzeka się zwężała, konary drzew coraz częściej wyciągały się nad wodę, jakby chciały sięgnąć do masztu łodzi.

- Masz, dziewczyno, zjedz coś, nim umrzesz z głodu.

Zaskoczona, zorientowała się, że stoi nad nią Asa z pajdą ciemnego chleba w garści. Nosił skórzane buty na miękkiej podeszwie i nie usłyszała, kiedy do niej podszedł. Nie było to wcale przyjemne.

Kucnął obok niej, wyciągnął rękę i obmacał palcami futrzany kołnierz peleryny.

- Ile dajecie tam w Londynie za coś takiego? - zapytał, nie przestając żuć chleba.

- Nie wiem dokładnie - odparła. - Siedem, może osiem gwinei. Dostałam tę pelerynę od ojca.

Asa popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Cholerna cena, jak za królika.

- Ależ to bóbr - zaprotestowała. - *Madame du Paigne* nie sprzedawałaby w swoim sklepie królików.

- Nie, dziewczyno, to nie żaden bóbr, tylko królik - upierał się mężczyzna, nie zwracając najmniejszej uwagi na autorytet *madame du Paigne* i renomę jej sklepu. - Został przystrzyżony i ufarbowany, ale długo by w takim futerku nie popływał.

Odkorkował niewielką flaszkę i pociągnął

z niej długi łyk. Kiedy skończył, westchnął zadowolony, otarł szyjkę brudnym kciukiem i wyciągnął flaszkę w kierunku Dianny. Pokręciła głową, ale postanowiła wykorzystać dobry humor Asy, który najwyraźniej wyszedł z kajuty jako zwycięzca, i dowiedzieć się czegoś o swojej przyszłości.

- Dokąd płyniemy? - zaczęła.

- Do Wickhamton.

Równie dobrze mógłby powiedzieć: „na Księżyc”. Nic jej ta nazwa nie mówiła.

- Mieszkasz tam? - zapytała.

- Niedaleko. Choć chałupa należy do Mercy

- To twoja żona?

Pokręcił głową.

- Już zapomniałem, jak wyglądała. Ale chłopaka mi żal. Biedny Tom.

Dianna nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Po dłuższej chwili, spędzonej w kompletnym milczeniu, Asa pociągnął jeszcze raz z butelki i wskazał ręką na zbliżający się zakręt rzeki. Na wysokim brzegu stał niski budynek z nieociosanych bali.

- Dziś będziemy spać w gospodzie Brocktona.

Przy brzegu nie było żadnego pomostu i Dianna zastanawiała się w panice, czy będzie musiała brnąć przez lodowatą wodę, czy też, co gorsza, któryś z mężczyzn zamierza przenieść ją na rękach. Gdy jednak łódź zbliżyła się do brzegu, jeden z majtków przerzucił na ląd długą deskę, po której wszyscy mieli zejść z pokładu. Dianna ruszyła szybko za Asą, jak się okazało, za szybko.

Rozchybotana pod jego nogami deska podrzuciła ją do góry i tylko dzięki temu, że natychmiast rozłożyła ręce, jakby szła po linie, udało jej się uniknąć upadku. Stojący na pokładzie mężczyźni wybuchnęli śmiechem i Dianna wiedziała, że wprawiłaby ich w jeszcze lepszy humor, gdyby wpadła do wody.

Dopiero gdy weszła do budynku, trochę na wyrost nazwanego przez Asę gospodą, zdała sobie sprawę, jak zimno było na dworze. W domu było tylko jedno zadymione pomieszczenie z glinianą polepą. Pośrodku stał stół, wokół którego na drewnianych ławach siedzieli mężczyźni, ubrani podobnie jak Asa. Przed kominkiem, na którym płonęły grube polana, klęczała Murzynka z mosiężnymi kolczykami w uszach i szorowała czajnik. Obok oparty o ścianę grubas palił glinianą holenderską fajkę. Wszyscy odwrócili głowy w stronę Dianny.

- Chyba zwariowałeś, Asa, żeby w twoim wieku brać sobie dziwkę na głowę - odezwał się mężczyzna z fajką. - Jak tyś to zrobił, że ona w ogóle chciała z tobą iść?

Wing w uspokajającym geście położył rękę na ramieniu Dianny.

- Zamknij się lepiej, Brockton. To nie żadna dziwka, tylko dama. Będzie pomagała Mercy. Trzymaj się mnie, Annie, i nie zwracaj uwagi na tych durniów.

Po raz pierwszy ktoś nazwał ją zdrobniale - Annie i po raz pierwszy Asa odezwał się do niej po imieniu, dotąd mówił do niej tylko „dziew-



czyno". Spojrzała na niego, zaskoczona tym, że wziął ją w obronę. Trudno byłoby inaczej potraktować jego wystąpienie. Wierzył, że jest damą i nawet tutaj, w tym ponurym baraku na końcu świata traktował ją jak uczciwą kobietę. Nagle Diannie stało się wszystko jedno, kim jest Mercy i jakie będą jej przyszłe obowiązki. Poczuła, że myśl o rozpoczęciu życia od nowa staje się rzeczywistością. Zachowanie Asy ucieszyło ją bardziej, niż bijące od ognia ciepło. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i usiadła obok niego na ławie.

Na kolację zjedli fasolę z wieprzowiną w sosie pomidorowym, popijając ciężkim, słodkim jabłecznikiem. Kiedy wszyscy skończyli, mężczyźni odsunęli na bok stół i ławy, i zaczęli szykować sobie legowiska prosto na polepie. Dianna z ociąganiem ułożyła się koło Asy, żywiąc wątpliwości, czy uda jej się zasnąć w takich warunkach.

Miała wrażenie, że jeszcze nie zmrużyła oczu, gdy Murzynka obudziła ją, szarpiąc za ramię. Dianna w pośpiechu przełknęła śniadanie i zeszła nad rzekę, gdzie zastała Asę, ładującego swój dobytek do kanoe. Pomagał mu chudy młodzieniec z jasnymi włosami do pasa i zdumiewająco bladymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Teraz już będziemy płynąć sami - wyjaśnił Wing. - Po drodze zatrzymamy się jeszcze w paru miejscach, ale za trzy dni będziemy w domu.

Młodzieniec odwzajemnił spojrzenie Dianny, ale nie odpowiedział na jej uśmiech. Dziwna pustka jego rysów sprawiła, że dziewczynie ciarki przebiegły po grzbiecie.

- Nie zwracaj uwagi na Jeremiaha - odezwał się Asa. - On ma nie po kolei w głowie. Kiedy był dzieckiem, wpadł w ręce Abenakich. Mieszkał z nimi przez sześć lat, dopóki jego rodzina nie zapłaciła wreszcie okupu. Bardziej wtedy przypominał Indianina niż białego. Do tej pory nie całkiem znormalniał, ale za to mało gada i dobrze wiosłuje.

- To straszne - odezwała się Dianna przyciszonym głosem. - Chwała Bogu, że Indianie już się stąd wynieśli.

Asa skrzywił się na jej słowa.

- U was w Londynie może to tak wygląda, ale tu jest trochę inaczej. Oczywiście, Indianie nie wychylają się z lasu bez potrzeby i najczęściej rzeczywiście ich nie widać. Ale to nie znaczy, że ich nie ma. Z drugiej strony, nie są w niczym gorsi od białych. Tak samo jak wśród nas, są między nimi lepsi i gorsi ludzie, kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy.

- A czy w Wickhamton są Indianie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie sprawiają żadnego kłopotu. Więcej zmartwienia jest z niedźwiedziami, wilkami i węzami. - Zacisnął ostatnie węzły na sznurach, którymi umocował ładunek. - No, wsiadaj, Annie, bo jak dalej będziemy tak gadać, to nie ruszymy stąd przed południem.

Dianna wsunęła się ostrożnie między wypełniające kanoe paki. Oczywiście, czytała w Londynie o Indianach. Tak jak wszyscy uwielbiała straszliwe historie o okrutnych dzikusach, zwła-

szcza gdy w końcu musieli ulec szlachetnemu i odważnemu Anglikowi. Nigdy jednak nie przyszło jej do głowy, że będą kiedyś sąsiadami, tak samo jak nie spodziewała się, że jej zmartwieniem mogą stać się wilki i niedźwiedzie.

Tak jak zapowiedział Asa, po trzech dniach drogi dotarli na miejsce. O zmierzchu wyciągnęli kanoe na brzeg. Tym razem jednak tylko Jeremiaś pozostał przy łodzi, podczas gdy Asa i Dianna ruszyli przez las. Po miesiącach bezruchu dziewczyna z trudem nadażała za swoim przewodnikiem. Brakowało jej tchu i odczuwała ostry ból w boku. Był już kwiecień, ale ziemię w lesie ciągle jeszcze pokrywał śnieg. Przemoczone buty nie chroniły nóg przed zimnem i po jakimś czasie Dianna poczuła, że skostniałe palce rozdziera nieznośny ból. Nie miała pojęcia, jak długo ani dokąd idą, gdy nagle Asa zatrzymał się na skraju polany i wskazał na widoczny w księżycowym blasku dom.

- No, jesteśmy na miejscu, Annie - odezwał się zaskakująco ciepłym głosem. - Dobrze się będziesz czuła z Mercy. Jestem pewny. Obie jesteście ulepione z tej samej gliny.

Widniejąca przed nimi chata była zupełnie inna od tego, czego się spodziewała. Mała, bardzo mała, nakryta sięgającym ziemi, stromym dachem. Kiedy przed nią stanęli, Dianna zauważyła, że w okna, zamiast szyb, wprawione są płaty przesyconego tłuszczem papieru. Asa pośpiesznie pchnął drzwi i wszedł do wnętrza.

- Mercy, dziecinko, chodź i daj dziadkowi buziaka! - krzyknął. - Dobrze, że jeszcze nie śpisz, bo chciałbym, żebyś poznała kogoś, kogo ci przywiozłem do pomocy!

- Ale ja nie potrzebuję nikogo do pomocy, dziadku! - rozległ się pełen irytacji cienki głosik.

W blasku dogasającego na kominku ognia Dianna zobaczyła wreszcie Mercy. Gospodyni samotnego domostwa miała sześć lub siedem lat, pulchne policzki, zadarty nos i ciemne kręcone włosy, które wymykały się spod czepka.

- Gdybyś tylko pozwolił mi zostać w Plumstead...

- Nie ma mowy, Mercy. Dobrze o tym wiesz! - odezwał się Asa ostrym tonem.

Dziewczynka znieruchomiała, rezygnując ze sporu z dziadkiem. Na widok jej smutnej twarzyczki Dianna poczuła, że kroi jej się serce. Przypomniała sobie, jak często sama czuła się podobnie i zapragnęła pomóc w jakiś sposób temu dziecku.

- Witaj, Mercy. Nazywam się Dianna Grey - zaczęła. - Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami...

Dziewczynka gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nikogo tu nie chcę, rozumiesz?! - krzyknęła w odpowiedzi i nagle jej słowa zmieniły się w szloch. - Nikogo!

Zasłoniła twarz dłońmi i wybiegła z domu. Dianna chciała ją gonić, ale Asa ujął ją za rękę i zatrzymał.

- Wróci w swoim czasie - odezwał się z wes-

tchnieniem. - Wypłacze się wśród zwierząt w oborze i wróci, nic jej się nie stanie.

Kucnął przed kominkiem i zaczął rozniecać ogień.

- Gdzie są jej rodzice? Przecież taka mała dziewczynka...

- Oboje umarli przed niecałym rokiem na tyfus. Mój chłopak, Tom, i jego żona, Lucy. Biedna Mercy! Nie może zrozumieć, że Bogu spodobało się powołać ich do siebie, a ją zostawić tu na ziemi na dalszą służbę. Sama widzisz, Annie, że ktoś musi się nią zająć.

- A to miejsce, o którym wspominała? Plumstead?

- Aha, chodziło jej o dom pułkownika. - Głos Asy stwardniał. On tu jest jak jaki pan, a ponieważ mój Tom był jego przyjacielem, to chce mi teraz zabrać dziewczynkę. Mówi, że lepiej jej będzie u niego. No, może i tak, ale Mercy to jedyna bliska dusza, jaka mi jeszcze została na świecie. Człowiek powinien się trzymać swoich, tak czy nie?

Dianna rozcierała ręce, nie odpowiadając na pytanie Winga.

- Jesteś pewny, że nie trzeba po nią pójść? - zapytała tylko. - Noc jest bardzo zimna.

Asa pokręcił głową.

- Nie, lepiej będzie, jak sama się uspokoi. Gdy będzie gotowa, to przyjdzie do domu. Pokażę ci teraz, gdzie będziesz spać - dodał, podchodząc do prowadzącej na strych drabiny.

Choć Dianna była zmęczona, nie mogła zasnąć,

dopóki nie ułowiła uchem, że drzwi do domu otwierają się powoli. Potem usłyszała lekkie kroki i szelest siana. Dziewczynka ułożyła się obok niej i znieruchomiała. Zanim zasnęły, długo leżały koło siebie w milczeniu. Dianna nie chciała odzywać się, czując, że cokolwiek powie, powiększy tylko ból Mercy. Przypomniały jej się słowa Asy i pomyślała, że chyba rzeczywiście są ulepione z jednej gliny.



Dianna zasypiała z myślą, że rano wstanie pierwsza i powita Asa i Mercy śniadaniem. Ale gdy się wreszcie zbudziła, stwierdziła ze wstydem, że jej gospodarzy już nie ma w domu.

Szybko przemyła twarz wodą ze stojącego w izbie cebrzyka i zaplotła warkocz. Potem podeszła do szafy. Asa powiedział jej, żeby wyrzuciła rozpadające się ubranie i włożyła coś, co sobie wybierze. Otworzyła drzwi i sięgnęła po pierwszą z brzegu suknię. Bielone samodzielne płótno, na jakie kiedyś nawet by nie spojrzała, wydało jej się teraz szczytem luksusu. Mozoląc się z wiązaniem umieszczonych na plecach troczków, przeklinała swoje znakomite pochodzenie i wychowanie, które sprawiły, że nie potrafiła sama się ubrać. Uporawszy się szczęśliwie z suknią, włożyła ciemny kaftanik i chustkę na głowę.

Skończywszy z własną osobą, rozejrzała się po swoim nowym gospodarstwie. Zastanawiała się, co przyrządzić na śniadanie. Fakt, że nie miała pojęcia o gotowaniu, nie przerażał jej. Pamiętała znakomite potrawy z dzieciństwa i była przekonana, że bez trudu dorówna pierwszej lepszej kuchcie. Z kłopotu wybawił ją stojący na stole kosz

pełen jaj. Wszyscy mężczyźni, jakich znała, lubili jajka, pozostało więc tylko rozpaść ogień.

W poszukiwaniu opału wyszła przed dom. W kącie podwórza dostrzegła stertę drewna, wybrała kilka grubych polan i ruszyła z nimi do kuchni. Gdy mijała oborę, napotkała wychodzącą z ciemnego wnętrza Mercy z cebrzykiem pełnym mleka.

- Dzień dobry, Mercy - powitała ją radośnie.

- Piękną dziś mamy pogodę, prawda?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Zmierzyła Diannę przerażonym spojrzeniem i jej drobna twarzyczka zbieleła jak płótno.

- Nie jesteś moją mamą - powiedziała w końcu i cofnęła się z powrotem do obory. - Możesz zająć jej miejsce i zabrać jej ubrania, ale i tak nigdy nią nie będziesz!

- Mercy, zaczekaj, proszę! - krzyknęła Dianna, ale dziewczynka zginęła już w mroku, zostawiając po sobie tylko plamę rozlanego mleka. Jak mogła nie pomyśleć, że sprawi Mercy ból, ubierając się w suknię jej matki! Postanowiła włożyć do małej po śniadaniu. Poprawiła ciężące jej w ramionach polana i z westchnieniem ruszyła w stronę domu. Ułożyła zaśniewane kłody na kominku, roznieciła żar i zabrała się do roboty.

Oburącz zdjęła ze ściany ciężki rondel i ustawiła go na stole. Wzięła pierwsze jajko i naśladowując sposób, w jaki robili to kucharze, uderzyła nim o krawędź stołu. Skorupka rozleciała się Diannie w rękach, a jej zawartość wylądowała na sukni. Następne jajko wpadło wprawdzie do



rondla, ale razem ze skorupką. Nie lepiej poszło jej z kolejnymi trzema, więc nie mając innego wyjścia, zaczęła mozolnie wybierać ułamki skoruppek ze śliskiej masy, przelewającej się na dnie rondla. W rozlanych żółtkach nie sposób było cokolwiek dostrzec, a ilekroć udało się Diannie wymacać skorupkę, ta natychmiast wyslizgiwała jej się z palców. Tak pochłono ją to zajęcie, iż dopiero gdy zaniósła się kaszlem, uświadomiła sobie, że izba jest pełna dymu. Z załzawionymi oczami obróciła się w stronę kominka, ale było już za późno. Krztusząc się i zataczając, bezskutecznie usiłowała przedrzeć się przez dym. W pewnym momencie poczuła, że kręci jej się w głowie i upadła na kolana.

W tej samej chwili jakieś ramię, zdecydowanie zbyt silne jak na ramię Asy, uniosło ją z podłogi. Nieznajomy zbawca bez słowa ruszył z walczącą o każdy oddech Dianną w stronę drzwi i zaniósł przez podwórko pod studnię.

Kiedy dziewczyna usiadła na ziemi, przykucnął obok niej i zaczął siarczyście i barwnie kłąć. Dianna ubrana była teraz tak, jak każda porządna jankeska żona, choć zdążyła się cała wysmolić. Zanim jeszcze zobaczył jej twarz, poznał ją samym dotykem. Zaskoczeniu, jakie odczuwał z powodu niespodziewanego spotkania, towarzyszyła radość, że jednak ją odnalazł. Radość połączonej ze złością na samego siebie, bo dlaczego właściwie tak się cieszył z jej widoku?

Dianna nie była w stanie wykrztusić słowa i tylko patrzyła na Kita zaczerwienionymi od dy-

mu oczami. Była przekonana, że został w Saybrook, aby dopilnować rozładunku towarów i niespodziewane spotkanie zaskoczyło ją nie mniej, niż jego. Wydał się jej równie przystojny, jak wówczas gdy widziała go po raz ostatni, był jednak zupełnie inaczej ubrany. Znikł angielski surdut i koszula z żabotem. Nosił teraz płócienną bluzę, skórzany kaftan i skórzane obcisłe spodnie. Bose stopy obute były w mokasyny. Przez piersi przewieszony miał róg z prochem i skórzany worek z kulami, a u pasa nóż z rączką z rogu. Dianna uznała, że wszystko to pasuje do niego dużo lepiej, niż klasyczny strój angielskiego dżentelmena. Ze swoimi zielonymi oczami, ogorzałą cerą i rozwianymi płowymi włosami wydał się jej ucieleśnieniem europejskiego osadnika, postaci, która tyle westchnień wywoływała wśród delikatnych i eleganckich pańien w starym kraju.

- Dianno Grey - przemówił wreszcie Kit.  
- Co, na miłość boską, tutaj robisz?

Dziewczyna ciągle jeszcze nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, ale Mercy chętnie przedstawiła Kitowi jej miejsce w gospodarstwie.

- Dziadek powiada, że przywiózł ją, żeby się mną zajęła. Ale ja się pytam, kto się nią samą zajmie? Ona nawet nie odróżnia wysuszonego drzewa od mokrego. Słowo daję, niewiele brakowało i uwędziłaby się jak szynka.

Upokorzona i zawstydzona, Dianna zauważyła przed domem, porzucone przez Kita, dymiące polano. W myślach podziękowała Bogu, że w za-

mieszaniu nie zauważył rondla, w którym znajdowały się resztki niefortunnej jajecznicy.

Kit wstał i czerwoną chustką wytarł z rąk sadzę.

- Lepiej zrobicie jadąc ze mną. Niech przynajmniej dom się trochę przewietrzy. Asa domyśli się, gdzie was szukać.

Odrzucił włosy i nakrył głowę kapeluszem z szerokim rondem.

- Jesteś w stanie jechać? - spytał, patrząc na Dianę z nie skrywaną pogardą.

Skinęła głową i z trudem podniosła się na nogi. Powinna mu podziękować za to, że ją uratował, ale słowa wdzięczności nie chciały jej przejść przez gardło. Przyszło jej na myśl, że gdyby wiedział, kto jest w domu, zapewne w ogóle nie zadałby sobie trudu, by ją ratować.

- Skąd mogłam wiedzieć, że to piekielne polano tak będzie dymić?

- W tych stronach każde dziecko to wie. A ktoś, kto nie ma o takich sprawach pojęcia, kończy uwędzony, jak to słusznie zauważyła Mercy.

Gwizdnął cicho i natychmiast podbiegł do nich kłusem kary ogier, taki sam jak ten, na którym Jonathan przybył do portu w Saybrook. Dianna zauważyła przytroczoną do siodła strzelbę i kuropatwy, i uświadomiła sobie, że Kit musiał być na polowaniu.

- Choć może rzeczywiście byłoby to sprzeczne z porządkiem natury, żeby damy miały pojęcie o tym, na jakim świecie żyją.

- Damy! - prychnęła natychmiast Mercy i jej zadarty nos wzniósł się jeszcze wyżej. - Jeszcze w życiu nie widziałam takiej damy!

- Oj, Mercy, Mercy, nie bądź taka mądra, bo wiele to ty rzeczywiście w życiu nie widziałaś - utemperował Kit małą złośnicę. - Nie sugeruj się tym, jak teraz wygląda.

Dziewczynka zmarszczyła brwi i przygryzła wargę.

- Skąd ty ją znasz, Kit? - zapytała po chwili namysłu.

- Znamy się z panem Sparhawkim z Londynu - wtrąciła Dianna, którą coraz bardziej irytowało, że rozmawiali o niej tak, jakby była przedmiotem. - I nie zachowuj się niegrzecznie, Mercy. Pan Sparhawk jest od ciebie dużo starszy i nie ma powodu, byś zwracała się do niego po imieniu.

Zmarszczka na czole dziewczynki pogłębiła się wyraźnie.

- On jest moim przyjacielem - oświadczyła stanowczo. - I będę go nazywała Kit.

- Dianna ma świętą rację, Mercy - odezwał się ze śmiechem mężczyzna, porwał małą na ręce i uniósł wysoko w powietrze. Podrzucając ją coraz wyżej i wyżej, co sprawiało, że dziewczynka zanosila się ze śmiechu, przemawiał komicznie surowym głosem: - Jesteś najbardziej niegrzecznym małym brzdącem w całych koloniach Korony Brytyjskiej! Jak się nie poprawisz, to nigdy, nigdy, przenigdy nie zostaniesz damą! A teraz lec na Księżyc!

Wraz z ostatnimi słowami posadził dziewczynkę na grzbiecie konia, po czym odwrócił się do Dianny.

- A na czym ty będziesz jechał? - zapytała niepokojnie.

Demonstracja zażyłości łączącej Mercy z Kitem sprawiła, że poczuła się przy nich jeszcze bardziej obco, niż dotychczas.

- Na czym? No, oczywiście, na Piorunie. Na taką pchłę, jak ty, to on nawet nie zwróci uwagi. A co, boisz się? - zapytał, patrząc na nią z prowokacyjnym uśmieszkiem.

- Niech pan sobie zapamięta, panie Sparhawk, że nie boję się ani pana, ani niczego, co mógłby pan zrobić! - odpowiedziała wojowniczo, biorąc się pod boki i podchodząc bliżej do Kita. - Nie wiem tylko, co dobrego miałyby wyniknąć z wizyty u pana. Nie widzę żadnego powodu, żeby pana odwiedzać.

Kit uśmiechnął się szeroko.

- Mercy ma na ten temat inne zdanie. Nie jadła jeszcze śniadania, a nikt nie może mieć wątpliwości, że u mnie dostanie je szybciej niż tu, w tej zadymionej kuchni. O ile wiem, jesteś jej opiekunką. Masz do wyboru: albo jechać ze swoją podopieczną, albo zostać tutaj i tłumaczyć się Asie, że zaniedbałaś swoje obowiązki.

Logika tego rozumowania była nie do odparcia, to musiała mu przyznać. Ledwo wstała, nadygotała w całym domu, tak że nie sposób było w nim wytrzymać. Co powie Asa, kiedy się dowie, że w dodatku pozwoliła zabrać jego

wnuczkę nie wiadomo dokąd? Rozgoryczona i wściekła z powodu swojej bezradności, tupnęła nogą.

- No dobrze! Niech będzie. Nie mam... oooch!

Zanim dokończyła zdanie, Kit porwał ją pod boki, uniósł jak piórko i posadził za Mercy. W mgnieniu oka sam usiadł za nią, objął je obie ramionami i ruszył z kopyta. Dianna straciła równowagę i oparła się plecami o Kita. Mimo że dzieliło ich kilka warstw ubrań, natychmiast poczuła bijący od niego żar. Dotknięcie jego brzucha i ud sprawiło, że znowu zakręciło jej się w głowie. Objęła ramionami Mercy i z całych sił starała się myśleć tylko o drobnym ciele dziewczynki. Niewiele jej to pomogło. Na miłość boską, pomyślała, jak daleko może być do jego domu?

Kit wprawdzie znakomicie znał drogę, lecz także miał wrażenie, że nie ma ona końca. Aż nadto wyraźnie czuł pomiędzy swymi nogami łagodną kragłość bioder i pośladków dziewczyny. Nieustannie wierciła się, usiłując się od niego odsunąć, co tylko pogarszało sprawę. Przypomniała mu się słodycz jej ust i namiętność, z jaką odpowiadała na jego pocałunki, i z trudem powstrzymał głośny jęk. Zaplecione w gruby warkocz włosy Dianny pachniały dymem. Ogarnęło go nieprzytomne pragnienie, by je rozpleść, zanurzyć w nich twarz, a potem całować usta dziewczyny, jej szyję, ramiona, piersi...

- Jesteśmy w Plumstead! - krzyknęła podniecona Mercy.

Usytuowany na wzniesieniu drewniany, piętrowy dom z wspartym na kolumnach portykiem, zrobił na Diannie wrażenie wzniesionego przed co najmniej stuleciem. Nie miała pojęcia, czy rzeczywiście był taki stary, czy po prostu lokalni cieśle trzymali się wciąż dawnych wzorów. Nadwieszona piętro zwieńczone było ostrymi szczytami, a w niewielkich okienkach ujętych w pociemniałe okiennice, widać było maleńkie szybki. Pośrodku spiętrzonych dachów wznosił się wysoki komin, sprawiający wrażenie wieży wieńczącej stary zamek. Teraz, zimą, pośród nagich drzew, dom sprawiał nieco ponure wrażenie, ale latem musiał być naprawdę wspaniałym miejscem. A więc tak wyglądało Plumstead, siedziba Kita Sparhawk, człowieka, który chciał odebrać Asie jego wnuczkę.

- Idź za Mercy - odezwał się Kit, gdy dziewczynka zeskoczyła z konia i popędziła w kierunku tylnych drzwi. - Dzisiaj robimy wypieki. Idąc za małą, trafisz do kuchni, do Hester i słodkich bułeczek.

Zanim zdążył jej pomóc, Dianna zsunęła się z konia. Zrobiła kilka kroków w stronę domu, lecz nagle zatrzymała się, tknięta jakąś myślą.

- Dlaczego chcesz odebrać Mercy jej dziadkowi? Rozumiem, że ją lubisz, ale Asa nie ma poza nią nikogo na świecie.

Twarz Kita stężała.

- Jesteś tu dopiero jeden dzień - odezwał się ostro. - Nie śpiesz się z wydawaniem sądów w sprawach, o których nie masz pojęcia.

Nie czekając na jej odpowiedź, ściągnął wodze

i ruszył w stronę stajni. Dianna patrzyła za nim, zaskoczona.

- Witamy w Plumstead, panienko - rozległ się wesoły kobiecy głos. Odwróciła się i w kuchennych drzwiach zobaczyła wysoką, kościstą kobietę, wycierającą ręce w fartuch. Nieznajoma uśmiechnęła się do niej, mrużąc oczy w słonecznym blasku.

- Jestem Hester, Hester Holcomb. Domyślałam się, że musisz być nową służącą Asy, Dianną. Mercy już mi zdażyła opowiedzieć, że miałaś kłopoty z paleniem w kominku. To nic, powiadam jej, w nowym miejscu każdy potrzebuje trochę czasu na naukę. Chodź do kuchni, zaraz będziemy miały ciasteczka i herbatę.

Dianna ruszyła za nią, onieśmielona. Kuchnia w Plumstead była ogromna, ciągnęła się niemal przez całą szerokość domu. Pomalowana na ciepły, złocistożółty kolor ściana pokryta była na dole ciemną dębową boazerią. Nad wielką kuchnią nakrytą poczerniałym od sadzy okapem wisały rondle, garnki i patelnie. Z pułapu zwisały pęki ziół. Na długim stole leżały świeżo wyciągnięte z pieca bochny chleba. Całe pomieszczenie wypełniał słodki zapach pieczonego ciasta. Nigdzie natomiast nie było ani śladu Mercy. Dianna specjalnie się tym nie zmartwiła. Być może powinna się troszczyć o dziewczynkę, ale, szczerze mówiąc, miała już jej zupełnie dosyć tego ranka.

Z podziwem patrzyła na Hester, zręcznie wsuwającą do pieca pełną ciastek blachę.



- Czy jesteś kucharką u pana Sparhawk?

- Kucharką, gospodynią, praczką, pokojówką i wszystkim, czego mu tylko trzeba - odpowiedziała Hester pogodnie, zatraskując żelazne drzwiczki. - Teraz z powodzeniem starczy tu jedna służąca. Nie tak, jak za dawnych dobrych czasów, kiedy wokół domu biegało sześcioro dzieciaków.

- To dlatego Kit chciałby mieć tu Mercy?

- Pewnie tak. - Hester odpowiedziała takim tonem, że Dianna utwierdziła się w swoich podejrzeniach.

- Czy Kit... chciałam powiedzieć pan Sparhawk, że to wszystko sam?

Kobieta roześmiała się serdecznie.

- Nie. To dla jego pracowników. Kit wierzy, że z pełnym brzuchem ludzie lepiej pracują. Trzeba przyznać, że niezły z niego gospodarz. Ktoś mógłby powiedzieć, że aż za dobry. Ale opowiedz mi lepiej o Londynie. To już czterdzieści lat, odkąd wyjechałam z Anglii, a tymczasem ani z Jonathana, ani z Kita nie sposób wydusić jednego słowa o tym, co się teraz nosi i jak się czesze.

Dianna przysiadła na brzegu ławy z rzeźbionym oparciem.

- Opowiem ci wszystko, co tylko zechcesz, Hester, ale może zgodzisz się, żebym dzisiaj ja cię wypytała? Zupełnie nie wiem, jak sobie radzić?! Nie mam pojęcia o gotowaniu, o pieczeniu, ba, nawet nie wiem, jak rozpalić ogień! Nie mówiąc już o wyciągnięciu wody ze studni. Mercy ma rację. To raczej ona mogłaby się zaopiekować mną, nie ja nią!

- Eee... nie martw się. Wszystkiego się nauczysz - powiedziała Hester właściwym sobie, pogodnym tonem i poklepała Dianę po ramieniu. - Przecież nie jesteś głupia. Widzę to po tobie. Raz, dwa wszystkiego się nauczysz.

- Błagam cię, Hester, naucz mnie w takim razie, co mam robić! - wykrzyknęła dziewczyna.  
- Naucz mnie zaraz, dzisiaj, jak się gotuje i dba o dom, i...

Hester wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- Oj, dziewczyno, dziewczyno. Gdzieżbyś się mogła nauczyć wszystkiego w jeden dzień! Dam ci dzisiaj jedzenie, żeby Mercy i Asa nie mieli powodu do narzekania, jutro jest niedziela, a w poniedziałek zaczniemy naukę. Nic się nie bój, to szybko pójdzie. Zanim się obejrzyysz, zrobimy z ciebie gospodynię, jak się patrzy!

Dianna poczuła, że przepełniający ją entuzjazm gwałtownie opada.

- Przykro mi, Hester, ale boję się, że pan Sparhawk nie będzie chciał mnie widywać. Wiesz, on... on mnie chyba nie bardzo lubi.

Kobieta wzniosła oczy do nieba.

- Pierwszy raz słyszę, żeby Kit Sparhawk nie chciał widywać jakiejś ładnej dziewczyny w Plumstead!

- Ale... ale on mnie nienawidzi! - Dianna nie potrafiła już dłużej powściągnąć przepełniających ją emocji. - Przypłynęłam z Anglii na „Prosperity”...

- Na „Prosperity”! Nie musisz mi mówić ani

słowa więcej, dziewczyno! Kit wszystko mi opowiedział. Podobno ten stary sknera, niech go diabli, omal nie zagłodził was na śmierć. I w dodatku próbował zwalić winę na właściciela, jakby Sparhawkowie nie byli znani z tego, że opiekują się każdym, kto tylko jest w potrzebie. Kiedy Kit dowiedział się, że tam były głodne dzieci, miał ochotę cisnąć tego starego łajdaka za burtę!

Dianna słuchała, zaskoczona. Dotychczas była przekonana, że wszystko wyglądało zupełnie inaczej, ale słowa Hester brzmiały tak szczerze, iż nie sposób jej było nie wierzyć. Dalszą rozmowę przerwały im podniesione głosy, dobiegające z podwórza. Razem podbiegły do okna.

- Chcę rozmawiać z moją wnuczką, Sparhawk! - domagał się gniewnie Asa, wymachując ściągniętym z głowy kapeluszem. - Mercy nie zastąpi ci twojej straty, rozumiesz? Nie pozwolę ci zabrać Mercy tylko dlatego, że jej rodzice nie żyją!

Kit stał naprzeciw starego ze strzelbą w jednej i pękiem ptaków w drugiej ręce. Nawet z tej odległości Dianna widziała wyraźnie, że jego zielone oczy iskrzą się od złości.

- Jesteś traperem, Wing. Nigdy cię nie ma w domu. Siedmioletnia dziewczynka nie może całymi tygodniami zostawać sama, tylko po to, żebyś ty miał złudzenie, że wracasz do domu!

- Mówię ci, Sparhawk, że nie będzie sama! - upierał się Asa. - Przecież właśnie w tym celu ściągnąłem tu dla niej Annie!

- To jeszcze gorzej, niż gdyby była sama. Czy Welles powiedział ci, skąd się tu wzięła ta dziewczyna?

Dianna poczuła, że robi jej się gorąco. Wielki Boże, dlaczego nie mogła po prostu udusić się w dymie, czemu musi tego słuchać?

- Nie chcę słyszeć o Annie niczego złego! W takiej dziewczynie nie może być zła! A jeśli nawet zbłądziła w życiu, to trudno. Tak jak każdy ma prawo zostawić swoją przeszłość raz na zawsze za sobą!

- Może i ma, ale ty nie masz prawa oddawać Mercy na łaskę i niełaskę takiego durnego ladaco!

Tego już było za wiele. Dianna rzuciła się do drzwi i wybiegła przed dom. Oburącz chwyciła Kita za koszulę i szarpnęła z całych sił.

- Nie jestem ani durna, ani ladaco, ty wstrętny, wielki bydlaku, ty...

Zanim zdążyła dokończyć, Asa wymierzył jej policzek, od którego zwaliła się na ziemię. Zerwała się natychmiast, gotowa walczyć ze wszystkimi wokół, ale wyraz twarzy Winga osadził ją na miejscu.

- Żebyś mi więcej nie zrobiła takiego wstydu, Annie - odezwał się stary drżącym, niemal proszącym głosem. - Pan Sparhawk jest naszym deputowanym i pułkownikiem milicji! Za swoje zachowanie z powodzeniem mogłabyś dostać baty w Wickhamton!

Rzucił spojrzenie na Kita, a potem opuścił wzrok.

- Dziewczyna nie miała złych intencji, panie

Sparhawk. Zadbam o to, by coś takiego więcej się nie powtórzyło - potwierdził pełnym skruchy tonem. - Zabierz Mercy, Annie. Najlepiej będzie, jeśli zaraz pójdziemy do domu.

Kit stał w milczeniu. Nigdy w życiu nie uderzył kobiety i przez myśl mu nie przeszło, żeby kazać kogokolwiek chłostać. Dianna wydała mu się tak wzruszająco drobna i bezbronna, że od razu pożałował tego, co między nimi zaszło. Nie tego, co powiedział na jej temat Asie, bo nie widział powodu, żeby ukrywać przed nim prawdę. Ale przykro mu było, że dziewczyna to wszystko słyszała. Stary miał rację, najlepiej byłoby, gdyby każdy mógł zostawić swoje błędy za sobą. Ale to znaczyłoby, że przeszłość nie ma żadnego znaczenia, ani ta nikczemna, ani ta chlubna. Ze swoim wrodzonym poczuciem sprawiedliwości nie mógł się na to zgodzić.

Kiedy podeszła do nich zdezorientowana Mercy i chwyciła Kita za koszulę, przez moment zdawało mu się, że to jego siostra, Tamsin, wróciła do niego, aby prosić o pomoc i opiekę. Ale to też było niemożliwe. Wtedy, kiedy Tamsin potrzebowała pomocy, nie było go przy niej i nic już nie mogło tego zmienić. Miała siedem lat, tyle samo, ile Mercy.

Z pozorną nonszalancją Dianna poprawiła włosy i otrzepała suknię z kurzu. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć Kitowi w oczy. Ku swojemu zaskoczeniu nie znalazła w jego twarzy ani cienia satysfakcji z jej poniżenia. Był nieobecny, tak jakby naraz znalazł się o setki mil od włas-

nego domu, podwórza i otaczających go ludzi. Ta obojętność zaboląła ją jeszcze bardziej. Mimowolnie zranił nie tylko jej uczucia, ale coś więcej - jej dumę.

Zacisnęła zęby. Nauczy się wszystkiego, ze wszystkim sobie poradzi. Przetrwa. Dowiedzie im wszystkim, że lady Dianna Grey potrafi być równie dzielna, jak każda jankeska kobieta.

I postara się o to, żeby ten piekielny Kit Sparhawk już nigdy więcej nie miał okazji nazwać jej durnym ladaco!



- Jeszcze mi za to zapłacisz, braciszku - oświadczył mocno poirytowany Kit, zsiadając z konia. - I to słono.

- Och, przestań - odpowiedział ze śmiechem Jonathan. - Pomyślałem sobie, że po niefortunnych przygodach z tajemniczo zaginioną Dianną Grey, dobrze będzie przywrócić ci wiarę w zalety płci pięknej. Poza tym pamiętaj, że wypływam w morze. Potraktuj moją przysługę jako prezent pożegnalny i poczuj się choć trochę wdzięczny.

- Czuję się przede wszystkim nabity w butelkę - oświadczył Kit ponurym tonem.

Żałował teraz, że poprzedniego wieczora nie wspomniał bratu o spotkaniu z Dianną. Przywiązał konie do jednego z żelaznych pierścieni umocowanych w grubym dębie rosnącym przed kościołem.

- Sprowadzić Constance tu, do Wickhamton, do kościoła! I to w niedzielę! Co za pomysł!

Jonathan wzruszył ramionami i otrzepał ręką nieskazitelnie czysty surdut.

- Ja tylko towarzyszyłem tej pani w drodze z Nowego Londynu, aby mogła złożyć wizytę swej cioci.

- Chyba raczej, żeby mogła spaść na mnie, jak

grom z jasnego nieba - burknął Kit. - No trudno, chodźmy, zanim nasz biedny pastor utonie w potokach jej wymowy.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę kościoła. Kit dotrzymywał kroku kulejącemu bratu. Nie śpieszył się zbyt do stojącej na ganku i wymachującej radośnie w jego stronę dziewczyny. Constance wystrojona była raczej jak na bal, niż do kościoła. Pod barwną, haftowaną peleryną połyskiwała jaskrawożółta suknia, ozdobiona szerokimi wstążkami. Zacisnął zęby, słysząc, jak na cały głos wykrzykuje jego imię. Oczywiście, nie była brzydka, wręcz przeciwnie. Ale zupełnie czym innym było przetańczyć z nią jeden wieczór na zabawie, a czym innym mieć ją na karku i być skazanym na słuchanie jej nieustannej, z pozoru tylko niewinnej paplaniny. Constance tak wyraźnie czekała na chwilę, gdy Kit wreszcie poprosi ją o rękę, że miał szczerą ochotę puścić się razem z bratem na morze.

Gdy tylko weszli do kościoła, od razu zauważył Dianę. Siedziała sama, na uboczu, w ławkach przeznaczonych dla służby. W Londynie rzadko chodziła do kościoła, ale Asa polecił jej, żeby co niedzielę prowadziła Mercy na mszę. Było to tym dziwniejsze, że sam nie wybrał się do miasteczka. W każdym razie Dianna z radością powitała okazję, by znaleźć się wśród ludzi, w oddalonym o trzy kilometry od leśnego ustronia Wickhamton. Z przyjemnością odbyła drogę w słoneczny, ciepły poranek. Udało jej się nawet nawiązać lepszy niż zwykle kontakt z Mercy, choć po przy-



byciu na miejsce dziewczynka natychmiast porzuciła ją i udała się do przednich ławek.

Dianna kątem oka przyglądała się napływającym do kościoła ludziom w nadziei, że wreszcie ujrzy wśród nich Hester. Słyszając wokół prowadzone półgłosem rozmowy i ściszone śmiechy, miała wielką ochotę dowiedzieć się w końcu, kto tu jest kim. Jak dotychczas, ludzie odpowiadali na jej uśmiechy tylko ciekawymi spojrzeniami, z rzadka zdarzało się, że ktoś jej skinął głową. Wreszcie zbliżyła się jakaś młoda kobieta i zajęła miejsce obok niej.

Nowo przybyła, która, jak się okazało, miała na imię Ruth, niezwykle starannie rozłożyła na ławce swoje obfite spódnice.

- Nie mam pojęcia, co moja pani zamierza robić w takim zapadłym kącie, jak to całe Wickhamton - zaczęła narzekać, gdy wreszcie się usadowiła. - Cóż to za dziura! U nas w Nowym Londynie kościół jest chyba dziesięć razy większy, wszystkie świeczniki są srebrne, a ambona jest tak pięknie rzeźbiona! - zakończyła w rozmarzeniu.

Rzeczywiście, kościół w Wickhamton, ze swoimi pobielonymi ścianami i prostymi sosnowymi ławkami, nie sprawiał specjalnie bogatego wrażenia. Jednak, choć skromny, przesycony był atmosferą szczerzej pobożności, której Dianna za grosz nie czuła w wypełnionych rzeźbami, witrażami i bogatymi tkaninami kościołach Londynu. Jeśli zaś chodzi o zachwyty oczarowanej świątynią w Nowym Londynie Ruth, to wydały się jej równie śmieszne i niesympatyczne, jak sama dziewczyna.

- Jesteście tu przejazdem? - zapytała.

- Moja pani przybyła tu na zaproszenie pewnego dżentelmena - odparła wyniośle zagadnięta. - Choć, oczywiście, jak tego wymagają dobre obyczaje, zatrzymała się u swojej ciotki, *madame Bass*. - O idą, idą! - szepnęła podniecona Ruth, zanim jeszcze Dianna zdążyła zapytać ją o imię tajemniczego dżentelmena. - Widziałas kiedyś lepiej dobraną parę?

Dianna obejrzała się i serce w niej zamarło. W kierunku pierwszej ławki krokiem pełnym godności zmierzał Sparhawk. Miał na sobie aksamitny zielony surdut, który idealnie pasował do jego oczu, i kontrastującą z ogorzałą twarzą białą koszulę. Żaden mężczyzna w kościele nie mógł się z nim równać, może prócz brata, choć Diannie dużo bardziej podobały się złociste włosy Kita, niż ciemne Jonathana.

Kit prowadził pod rękę dziewczynę, na widok której Diannie zaparło dech w piersi. Wysoka, jasnowłosa i ubrana równie elegancko jak Kit, poruszała się ze świadomą swego wdzięku gracją. Gdy doszli do swego miejsca i mężczyzna usunął się, aby przepuścić swoją towarzyszkę przodem, ta otarła się niemal o niego, patrząc mu przy tym prosto w oczy.

- To moja pani, Constance Lindsey - szepnęła Ruth przejętym tonem. - Czyż ta jej suknia nie jest wspaniała? Tak się teraz noszą na dworze w Londynie!

- Nie, już nie - odszepnęła jej Dianna. Wiedziała, że to okropnie małostkowe, ale nie potra-

fiła się powstrzymać. - Już od dobrych trzech lat nie nosi się ani takich halek, ani tyłu wstążek. Wiem, bo właśnie przyjechałam z Londynu - dodała, gdy ujrzała niedowierzanie w oczach Ruth.

- Wszystko jedno, czy się nosi, czy nie, w każdym razie wspaniale w tym wygląda - odparła dziewczyna po chwili namysłu. - A gdy już wyjdzie za pana Sparhawk, to on zabierze ją do Londynu, żeby mogła się ubrać tak, jak tylko jej się spodobą. Pan Sparhawk jest strasznie bogaty i stać go na to, by kupić żonie wszystko, czego zapragnie.

- Są zaręczeni? - szepnęła Dianna.

Ruth potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie. Ale moja pani nie ruszy się stąd do Nowego Londynu, póki on nie poprosi jej o rękę.

Siedząca za nimi starsza kobieta syknęła karzącą i Dianna uświadomiła sobie, że podczas gdy rozmawiały, zaczęła się msza. Pochyliła głowę rada, że dzięki temu ukryje przed całym światem swoje cierpienie.

Wyobraziła sobie, jak żałośnie musi wyglądać w starej płóciennej sukni Lucy Wing, z włosami skrytymi pod czepkiem. Ręce zaczerwieniły jej się od zimna. Rankiem, gdy polerowała cynową miskę, zauważyła, że twarz ma jeszcze bledszą i wychudłą niż dotąd. Nigdy nie mogłaby iść w zawody z taką pięknnością, jak Constance Lindsey, ale teraz... Boże wielki, jaka to szkoda, że Kit nie ujrzał jej choć raz za życia ojca, gdy była jeszcze pulchna i różowa i nosiła naprawdę modne suknie!

W pułapce. Tak właśnie się czuł. Wpadł w pułapkę. Constance udawała, że jest zaczytana w modlitewniku, a jednocześnie napierała na niego całym ciałem. Zerknął kątem oka na jej na wpół odsłonięte piersi. Zawsze lubił kobiece ciało, jak każdy mężczyzna, może nawet bardziej, ale popis, jaki urządziła tu w kościele zdecydowanie przekraczał granice dobrego smaku. Zastanawiał się, czy Constance w ogóle dostrzega różnicę między zmysłowością a wulgarnością. Jak jej się pozbyć, co zrobić, żeby wyprawić ją z powrotem do Nowego Londynu?

- Oczywiście, gdy już ożeni się z moją panią, mowy nie będzie o tym, żeby ta głupia smarkula wpychała się między nich - szepnęła Ruth przejętym tonem. - Spójrz tylko, jak to możliwe, żeby takie nie wiadomo co siedziało między kapitanem Jonathanem i panem Sparhawkiem!

Dianna spojrzała na biały czepeczek Mercy, ledwo widoczny ponad oparciem ławki. W pewnym momencie dziewczynka pociągnęła Kita za rękaw i wielki mężczyzna natychmiast pochylił ku niej głowę. Dianna nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale fakt, że Mercy tak skutecznie egzekwuje swoje prawo do uwagi ze strony Kita, sprawił jej prawdziwą satysfakcję. Jej sąsiadka natomiast nie posiadała się z oburzenia.

- Moja biedna pani! - Ruth aż sapnęła ze złości. - Taki wstyd! Że też musi to znosić! Jak on mógł wziąć tego małego bękarta do swojej ławki! Może nie dbać o plotki, ale przecież musi sobie zdawać sprawę z tego, ile to kosztuje moją panią!

Dianna znowu pochyliła głowę bez słowa. Między Kitem i Mercy nie było żadnego podobieństwa, a jednak głupia plotka głęboko zapadła jej w serce. Przypomniała sobie kłótnię, jakiej była świadkiem. Dlaczego Kitowi tak zależało na tym, żeby mieć Mercy w Plumstead? Jaka tajemnica wiązała się ze śmiercią rodziców dziewczynki? A jeszcze do tego ta kobieta w Saybrook! Ile jeszcze podobnych sekretów kryje się w życiu Kita Sparhawk? Że też ona nie zna nikogo, kto mógłby jej to wszystko wyjaśnić!

Kit cały czas czuł za plecami obecność Dianny. Gdy tylko przestąpił próg kościoła, od razu odnalazł ją wzrokiem. Tym trudniej było mu znieść towarzystwo Constance. Wydarzenia poprzedniego dnia potęgowały jego fatalne samopoczucie. Służąca czy nie, Asa nie powinien był jej uderzyć, a on sam nie powinien był do tego dopuścić. To, co usłyszał na jej temat od Hester, wprowadziło go w jeszcze większe pomieszanie. Do głowy by mu nie przyszło, że Dianna będzie chciała się czegoś nauczyć. Podobnie, jak nie spodziewał się, że mógłby wywołać w niej takie oburzenie, mówiąc o niej „ladaco”. Cały czas był przekonany, że musi być z niej nie lada ziółko, choć Jonathan, po wysłuchaniu jego relacji, wyśmiał go i oświadczył, że nie ma w nich nic, prócz bzdurnych plotek.

Nie potrafił się powstrzymać i rzucił spojrzenie za siebie, w kierunku ławek dla służby. Promień wpadającego przez okno światła ozłocił drobną figurkę Dianny. Choć było to wysoce niestosow-

ne, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Skromna suknia podkreślała niezwykłą szlachetność jej rysów, tak dalekich od pospolitej twarzy Constance, jak niebo od ziemi. Dianna siedziała poważna i zamyślona, lecz nagle, jakby czując, że na nią patrzy, uniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. Przez chwilę oboje mieli wrażenie, że w pełnym ludzi kościele są jakby rozbitkami na bezludnej wyspie, zdanymi tylko i wyłącznie na siebie. Poczucie związku było tak silne i nieoczekiwane, że Dianna zarumieniła się i natychmiast opuściła głowę.

Kit odwrócił się i z trudem skupił uwagę na kazaniu wielebnego Manninga. To była jego pierwsza niedziela w domu i miał wiele powodów do wdzięczności wobec Boga. Jonathan wyzdrowiał, a niebezpieczny zimowy rejs udał się nadspodziewanie dobrze. Strata Tuckera była wprawdzie bolesna, ale Kit wiedział, że mogło być dużo gorzej. W każdym razie podróż przyniosła im zyski, a gospodarstwo w Plumstead, pomimo jego nieobecności, kwitło. A jednak nie mógł się skupić na prostych słowach wdzięczności, bo jego myśli nieustannie wędrowały ku siedzącej za nim Diannie.

Kiedy nastąpiła przerwa w nabożeństwie, niecierpliwie poderwał się na nogi. Chciał iść prosto do Dianny, nawet nie po to, by przeprosić ją za wydarzenia wczorajszego dnia, ile dać jej znać, że ją rozumie i żeby wytłumaczyć jej jakoś zachowanie Asy. Tymczasem wisząca na jego ramieniu Constance i konieczność witania się z dawno nie wi-

dzianymi sąsiadami sprawiły, że wyszedł z kościoła jako jeden z ostatnich. Ludzie stali przed kościołem podzieleni na małe grupki, napawając się ciepłym blaskiem wiosennego słońca, gawędząc i rozpakowując zdejmowane z wozów kosze z jedzeniem. Kit znów odnalazł wzrokiem Dianę. Już pochylał się nad nią paradnie wystrojony Jonathan. Mężczyzna nie słyszał ich rozmowy, ale wyraźnie widział, że brat patrzy na dziewczynę roziskrzonym wzrokiem i roztacza przed nią wszystkie swoje wdzięki. Tylko świadomość, że jest właśnie niedziela i że stoi przed kościołem powstrzymała go od przekleństwa. Cały Jonathan! Najpierw wcisnął mu tę piekielną Constance, a teraz najspokojniej w świecie czaruje Dianę!

- Christopher! Christopher! Ocknij się - atakowała go towarzyszka. - Jesteś zupełnie nieprzytomny! Umrę tu zaraz z głodu, jeżeli nie przyniesiesz koszyka z jedzeniem!

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, przed kościołem powstało nieoczekiwane zamieszanie. Na placyk wpadł pędem jeździec na czarnym koniu. Dzieci i kury rozbiegły się w popłochu, a twarze dorosłych stężały w napięciu. Nowo przybyły roześmiał się donośnym, okrutnym śmiechem i ściągając wodze sprawił, że koń z bolesnym rżeniem obrócił się wokół własnej osi. Z pyska zwierzęcia ściekały krople śliny i krwi. Jeździec był wielkim, silnym mężczyzną i z łatwością powodował rumakiem jedną ręką. Jego ogorzałą czerwoną twarz zarastała bujna czarna broda. Długie włosy związane miał czerwoną wstążką. Ko-

sztowny, aksamitny kaftan był brudny i zaniedbany, a wysokie buty z najlepszej skóry zabłocone. Tylko srebrne ostrogi błyszcząły w słońcu wyzywająco.

- Sparhawk! - wrzasnął ochryple jeździec obelżywym tonem. - Niech to szlag trafi, więc dzicy choć raz nie kłamali, kiedy mówili, że przywlokłeś tu na powrót swoją brudną angielską duszę!

- Zabieraj się sprzed oczu porządnych ludzi, Robillard - odparł Kit pozornie spokojnym głosem, wszyscy jednak poczuli obecną w nim groźbę.

Ludzie szybko rozstępowali się na boki i po chwili Kit i Robillard znaleźli się sami na opustoszałym placu. Nawet Constance, jeszcze przed chwilą uczepiona ramienia Sparhawka, zniknęła bez śladu.

Jeździec z wyzywającą swobodą zeskoczył z konia i powoli zbliżył się do Kita.

- Dobrze wiesz, że nie możesz mnie nawet ruszyć, Sparhawk. Wasze angielskie prawo nic dla mnie nie znaczy! Wasze angielskie granice są dla mnie niczym! Wasze angielskie traktaty za grosz mnie nie obchodzą! - warczał Kitowi prosto w twarz. - Jesteście przybłędami, intruzami, natrętami. Tylko łasce Nowej Francji zawdzięczacie, że możecie tu stawiać swoje chałupy i nędzne szopy! Gdy jej zbrzydniecie, zmiecie was stąd jak robacstwo!

Twarz Kita stężała od przepełniającej go nienawiści. Jego porachunki z Robillardem sięgały daleko w przeszłość.

- Ten kraj jest nasz, Robillard - odezwał się



tonem pełnym tłumionej pasji. - To jest już teraz Anglia, zapamiętaj sobie.

Francuz parsknął mu w twarz.

- Masz niewyparzoną gębę, ale dobrze wiesz, że gadasz bzdury. Któregoś dnia cała ta ziemia znajdzie się w moich rękach. Kiedyś proponowałem ci za nią godziwą zapłatę, Sparhawk, a ty, tak samo jak twój ojciec, byłeś za głupi, żeby ją sprzedać! Za głupi! Twoja strata! Przyjdzie dzień, że Francja upomni się o moje prawa i wszyscy opuścicie moją ziemię raz na zawsze, płacząc i skomląc, jak przegnane psy!

Robillard stał tak blisko, że Kit czuł bijący z jego ust odór wina. Można by sądzić, że jest pijany, ale oczy miał trzeźwe i czujne.

- Wiesz, że nie rozmawiam o interesach w niedzielę, Robillard. Ani z tobą, ani z nikim - odpowiedział. - Jeżeli chcesz pogadać, a nie tylko rzucać obelgi, to przyjedź jutro do Plumstead. A teraz radzę ostatni raz, siadaj na konia i wyjeżdżaj z Wickhamton.

Kiedy to mówił, powoli zbliżył się do niego Jonathan. Dianna patrzyła, zafascynowana. Zupełnie nie rozumiała, jak Francuz może stawić czoło obu Sparhawkom naraz. Powietrze wydawało się gęste od napięcia. Ludzie wokół stali nieruchomo, jak zahipnotyzowani. Dziewczyna wiedziała, że ani Kit, ani Jonathan nie mają broni, bo, tak jak wszyscy, zostawili strzelby w przedsionku kościoła. Także strzelba Robillarda pozostała przytroczona do siodła. A jednak miała uczucie, że zaraz nastąpi coś strasznego.

Nie myliła się.

- Obraziłeś mnie, Sparhawk! - ryknął Francuz, teraz już na cały głos, i splunął Kitowi pod nogi. - Jak myślisz, czego się bardziej boję, twoich kretyńskich pogroźek czy tego kuternogi?

Diannie wydało się, że Francuz chciał się podrapać w brzuch. Zanim to zrobił, Kit rzucił się na niego i przewrócił na ziemię. Natychmiast po tym ujrzała, że trzyma rękę Robillarda, w której błyszczą nóż. Mężczyzna z bolesnym jękiem otworzył dłoń i nóż upadł na ziemię. Jonathan pochylił się z trudem i podniósł go. Teraz uwagę Dianny przyciągnęło inne ostrze, oddalone zaledwie o włos od gardła Francuza. Długie i błyszczące, osadzone było w rzeźbionej rękojeści z rogu. Była zupełnie zaszokowana wprawą i szybkością, z jaką Kit wyciągnął broń. Przeraziło ją odkrycie, że życie w jej nowej ojczyźnie jest tak ściśle związane ze zdolnością do twardej, bezwzględnej walki. Wyraz twarzy Sparhawka zdradził jej, że gdyby musiał, bez wahania poderżnąłby Francuzowi gardło. Co gorsza, jego przeciwnik zrobiłby to samo.

Rozległ się dźwięk dzwonu. Ludzie powoli ruszyli w stronę kościoła. Dianna zdała sobie sprawę, że dłonie ma zaciśnięte aż do bólu. Z trudem rozluźniła palce i ruszyła za innymi. Gdy stanęła w drzwiach, odwróciła się jeszcze na moment za siebie. Robillard dosiadał konia. Kit i Jonathan stali ramię w ramię i czujnie obserwowali każdy jego ruch. Nie opuszczało jej przerażenie. W Anglii dżentelmeni nie kończyli sporu, tarzając się

po ziemi, a dyskusji nie rozstrzygano nożem. Tutaj wszystko wyglądało inaczej. Łagodność była niebezpiecznym luksusem, chwila wahania mogła kosztować życie.

Boże wielki, jak ona zdoła przeżyć w takim miejscu?

- Gdybym wiedział, co się będzie działo, poszedłbym z wami - westchnął Asa. - Kit to mistrz w robieniu nożem, a i Robillard nie ma się czego wstydzic. Mogła być z tego piękna walka. Żal stracić takie widowisko.

- Niewiele straciłeś - pocieszyła go Dianna, niepewna, jak właściwie zareagować na jego słowa. - Odbyło się to w mgnieniu oka. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, już było po wszystkim. Nawet nie bardzo zrozumiałam, o co im poszło.

Asa prychnął, poirytowany.

- Jak to, o co? Na takiego kundla szkoda słów. Żabojady nie rozumieją, kiedy się do nich mówi jak do ludzi. Od dwudziestu lat Robillard jest cierniem w boku Sparhawków. Nieustannie gada, że Anglicy są tu przybłędami i że kraj należy naprawdę do króla Francji. Dostał od Kita tylko to, na co sobie zasłużył.

- Może - odparła niezbyt pewnym głosem. - Ale mogli sobie wybrać lepsze miejsce i czas.

Skończyła wycierać naczynia, powiesiła ścierkę na kołku i usiadła przy stole naprzeciwko Winga. Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy.

- Nie wiem, co kapitan Welles powiedział ci

na mój temat - zaczęła. - Potrzebowałeś kogoś, kto zająłby się Mercy, wybrałeś mnie i dziękuję za to Bogu. Ale chyba nie jestem dokładnie tym, kogo ci było potrzeba. Po pierwsze, nie umiem gotować.

Asa pociągnął fajkę, wypuścił dym i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Kolacja nie była zła - powiedział krótko.

- Ale to nie ja ją zrobiłam. To Hester Holcomb - przyznała Dianna i uśmiechnęła się przepraszająco. - Hester obiecała, że nauczy mnie gotowania i wszystkiego, co trzeba. Ale żeby to było możliwe, musiałabym chodzić z Mercy do Plumstead, a domyślam się, że ty tego nie chcesz.

Asa patrzył na nią przez kłęby dymu i nie odzywał się słowem.

- Wiem, że nie lubisz Kita Sparhawk, ale uważałabym na Mercy - ciągnęła, czekając na chwilę, kiedy jej powie „nie”. - Trwałoby to tylko do czasu, gdy już będę umiała poradzić sobie z gospodarstwem.

Stary pokiwał głową.

- Z Hester jest porządna kobieta - odezwał się wreszcie. - Jak powiedziała, że cię nauczy, to nauczy.

Przeciągnął się, aż mu zatrzeszczały stawy.

- Jutro rano ruszamy z Jeremiahem w górę rzeki. Wrócimy nie wcześniej, niż za jakieś dwa tygodnie i, prawdę mówiąc, może to nie jest najgorszy pomysł, żebyście byli przez ten czas z Hester. Tylko pamiętaj, wracajcie tu na noc. To jest dom Mercy i nie chcę, żeby Kit wbił jej co innego do głowy.

Skinęła posłusznie głową.

- Asa, jeszcze coś...

- Nie bój się, na pewno nie spalisz domu - powiedział pogodnie.

Dianna zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Nie o to mi chodzi. Chciałam cię spytać o Kita i Mercy. Słyszałam, jak mówiłeś mu, że Mercy nie zastąpi mu kogoś, kogo utracił. Mercy ciągle się na mnie boczy. Czy mógłbyś powiedzieć coś, co pozwoliłoby mi zrozumieć...

Asa poderwał się z miejsca.

- Nie ma tu nic do rozumienia, dziewczyno - rzekł ostro. - Nie pytaj o zmarłych. Im to nic nie pomoże, a żywym sprawisz ból. Pewne rzeczy zdarzyły się tak dawno, że lepiej już o nich nie pamiętać.

Przez izbę powiało chłodem. Dianna spuściła głowę i zapatrzyła się w płonący na kominku ogień. Choć Asa niczego właściwie nie powiedział, czuła, że zna już odpowiedź na dręczące ją pytanie.

Przez pierwszy tydzień w Plumstead Dianna nie miała większych trudności z trzymaniem Mercy z dala od Kita po prostu dlatego, że gdy przyjeżdżały, nigdy go już nie było w domu. Zrywał się przed świtem i znikał na długo przed ich przybyciem. Raz jechał do młynarza, który miał dokonać przemiału zapasów ziarna, innym razem do tartaku, w którym zamierzał pociąć drewno wysyłane na Barbados. Odwiedzał najdalej położone gospodarstwa. Po siedmiu miesiącach nie-

obecności, tłumaczyła Hester, miał mnóstwo roboty. A dodatkowym powodem, dodawała, mrużąc znacząco oko, była stała obecność Constance Lindsey.

Uparta panna zdołała jednak w końcu pochwycić Kita i wymusić na nim obietnicę, że tego dnia odbędzie przejażdżkę w jej towarzystwie. Wrócili do Plumstead późnym popołudniem. Dianna siedziała w kuchni, obierając razem z Hester rzepy, i ze ściśniętym sercem słuchała dobiegającego z salonu śmiechu Constance. Potem jeszcze zobaczyła ich przez okno. Gdy ujrzała, jak dziewczyna ze swobodą, która brać się mogła tylko z zażyłości, wsuwa rękę pod ramię Kita, zrobiło jej się czarno przed oczami.

Hester, która śledziła spojrzenie Dianny, chrząknęła znacząco.

- Może jej się wydawać, że go ma, ale zapewniam cię, Sparhawkowie to stare wróble i nie da się ich złapać tak łatwo.

- Ona jest taka piękna - stwierdziła Dianna z nie skrywanym smutkiem.

- I jeszcze głupsza - powiedziała spokojnie Hester. - Nie mam pojęcia, czemu Kit nie odesłał jej we wtorek z Jonathanem.

- To Jonathan wyjechał? - spytała zaskoczona Dianna, pewna, że Jonathan ukrywa się gdzieś w domu.

- Przyjechał tu tylko po to, żeby ściągnąć bratu na głowę to nieszczęsne stworzenie. Za długo siedział na łądzie, kiedy nie mógł chodzić. Teraz już żadna siła nie mogła go powstrzymać

przed wyruszeniem w morze. - Roześmiała się. - Więc wolisz Jonathana? Nie rób takiej miny - dodała, zauważywszy spojrzenie Dianny. - Każda dziewczyna w promieniu pięćdziesięciu kilometrów marzy o którymś z nich. Choć akurat tej tutaj to chyba bardziej leżą na sercu pieniądze Sparhawków, niż cokolwiek innego. Za głupia jest na to, żeby zauważyć ich prawdziwe zalety.

- A czy Sparhawkowie są bogaci? - podchwyciła Dianna, chcąc odwrócić uwagę Hester od własnej osoby i skierować ją na jakiś bezpieczniejszy temat.

- Mają dość ziemi, żeby założyć własne państwo, gdyby tylko zechcieli. I z tymi wszystkimi ludźmi, którzy mieszkają tu w osadach, pracują przy wyrębie lasu, w tartakach i młynach nie brakowałoby im poddanych. Ich dziadek, a musisz wiedzieć, że przybył tu jeszcze razem z gubernatorem Winthropem, byłby z nich dumny.

Diannie trudno było pojąć, że Sparhawkowie mogą być tacy bogaci, a jednak ciągle jeszcze chcą pracować. W Anglii każdy dżentelmen, jeśli tylko mógł tego uniknąć, nie pracował. Nawet jej wuj, choć kochał pieniądze i miał własne przedsiębiorstwo, chętniej siadał do gry w kości, niż do pracy w swoim kantorze. A dla jej biednego, ukochanego ojca robienie pieniędzy było zajęciem równie tajemniczym, jak wymarzona przez alchemików przemiana piasku w złoto. Opuściła głowę i gdy jej spojrzenie padło na rzepeę, nie umiała powstrzymać uśmiechu. I ona zaczynała się zmieniać. W Anglii za żadne skarby nie wzięłaby się za takie zajęcie.

- Ale jeżeli żaden z nich się w końcu nie ustatkuje i nie spłodzi chłopaka albo dwóch, to wszystko zostanie podzielone między siostry i śladu nie zostanie po całym majątku. Nie mówię, że Bess, Grace i Amy to złe dziewczyny, ale ziemia przejdzie w ręce ich mężów i po Sparhawkach nie zostanie śladu na tym świecie. Wolałabym tego nie dożyć - dokończyła Hester z westchnieniem.

Dianna pomyślała o Mercy i zastanawiała się, czy Kit uczyniłby ją swoim spadkobiercą, gdyby była chłopcem. Potem pomyślała, że Hester musi znać całą prawdę, ale krępowała się ją zapytać.

Kobieta zalała rzepy wodą i wręczyła Diannie dębowy ceber.

- Bądź tak dobra i przynieś jeszcze wody.

Ceber był ciężki i dziewczyna z wysiłkiem dźwigała go przed sobą, idąc w kierunku stojącej od frontu studni. Właśnie skręciła za róg, gdy usłyszała głosy Constance i Kita, którzy siedzieli na ganku. Dianna nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie z nimi i już zastanawiała się, jak wytłumaczyć Hester, czemu wróciła z pustym naczyniem, gdy Constance zaczęła śpiewać.

To ostatnie nie było zresztą takie pewne, bo właściwie z równym powodzeniem można by powiedzieć, że zaczęła miauczeć. Dianna z trudem rozpoznała znaną z dzieciństwa piosenkę w aranżacji modnej przed trzema czy czterema laty w Londynie. W miarę jak „interpretacja” Constance coraz bardziej oddalała się od prawdziwej melodii, przekraczając w końcu wszystkie granice



przyzwoitości, na ustach Dianny rozkwitał błogi uśmiech. Nie miała równie błękitnych oczu i kolorowych sukni, jak jej rywalka, ale niewątpliwie miała głos, jak złoto. Cierpliwie doczekała żałosnego końca pieśni, po czym najspokojniej w świecie wyłoniła się zza narożnika domu, czystym i pewnym głosem nucąc tę samą melodię, którą bez powodzenia usiłowała zaśpiewać Constance.

Opuszczając ceber do studni, podniosła głos. W łagodnym zmierzchu rozległy się pełne słodkiej melancholii narzekania tęskniącego kochanka. Tak dawno nie śpiewała i taką jej to teraz sprawiło przyjemność, że w pewnym momencie sama zapomniała o celu swego występu i całym sercem oddała się pieśni. Kiedy skończyła, nie bez zaskoczenia zdała sobie sprawę, że słyszy oklaski. Odwróciła się w stronę domu i przede wszystkim napotkała rozjarzone wściekłością oczy Constance.

- A gdzież ty mogłaś usłyszeć tę piosenkę? - zapytała jej rywalka, nie panując nad złością.  
- Dopiero co sprowadziłam tu nuty na pokładzie „Prosperity”.

Kątem oka Dianna dostrzegła, że Kit robi co może, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Czym prędzej spuściła wzrok w obawie, że oboje zaczną zaraz głupio chichotać.

- To prawda, *madame*. Ale nie tylko nuty przypłynęły na pokładzie „Prosperity”, ja też na nim byłam.

- Ależ ta aria to teraz najmodniejsza pieśń na dworze! - zaperzyła się Constance.

Dianna wzruszyła ramionami.

- Najmodniejsza? Już nie. Moda na nią minęła przynajmniej przed dwoma laty. A pojawiła się cztery lata temu. Byłam na jej premierze podczas maskarady na dworze lorda Rathburna.

Constance zerwała się z miejsca.

- Tego już za wiele! - wrzasnęła. - Każde ją wychłostać za te bezczelne kłamstwa, Kit! Gdziekolwiek mogłaby ta brudna dziewczucha usłyszeć tę pieśń, nigdy nie uwierzę, że to było na dworze lorda Rathburna!

- Fortuna robi z nami, co zechce - odparł pogodnie Kit. - Jednych wynosi, drugich poniża, jak jej się spodoba. Prawda, Dianno?

Przesłał jej zza pleców Constance szeroki uśmiech i oboje znów poczuli tajemniczą bliskość, choć tym razem jej powody były dużo bardziej oczywiste, niż w kościele. A jednocześnie Dianna po raz pierwszy spojrzała na Kita bez żadnych uprzedzeń i mogła w pełni odczuć jego niezwykły męski urok. Może dlatego, że był wyraźnie poruszony jej występem i, jak nigdy przedtem, patrzył na nią wzrokiem pełnym podziwu i szacunku. Czy to możliwe, spytała samą siebie, żeby w muzyce naprawdę kryła się czarodziejska moc?

- Więc to jest ta Dianna, tak? - zapytała podejrzliwie Constance, wbijając w Kita spojrzenie zmrużonych oczu. - Nie zostanę tu ani chwili dłużej, panie Sparhawk. Widzę, że sprawy mają się dokładnie tak, jak mi to opowiadano. No cóż, nie dawałam wiary, kiedy mówiono, że dał się

pan zauroczyć jakiejś podejrzaney kreaturze. Żegnam pana.

Ujęła suknie i zaczęła schodzić po schodach, na tyle niespiesznie jednak, żeby adorator miał czas dogonić ją i błagać, by została.

Kit nie ruszył się z miejsca.

- Nie zaprzeczysz chyba, Constance, że ta dziewczyna naprawdę śpiewa dużo lepiej od ciebie.

Constance minęła Dianę i zniknęła za narożnikiem domu. Gdy zostali we dwoje, Kit uśmiechnął się tak, że dziewczyna poczuła przebiegające po grzbiecie dreszcze. Miała wrażenie, że krew w jej żyłach stała się ciężka i słodka jak miód. Nie była w stanie zareagować inaczej, jak tylko odpowiedzieć mu bezwolnym uśmiechem.

Ocalił ją przed gwałtem i przed uduszeniem w ogniu, a jednak nie zdobył jej serca. Rzucił jej w twarz wyzwiska i wypominał najgorsze możliwe występki, ona zaś odkryła w jego przeszłości tajemnice, które nią wstrząsnęły, a wszystko to nie oddaliło ich od siebie. Całował ją i pieścił, a jej udało się utrzymać namiętności na wodzy. Dopiero teraz, przy okazji wspólnego głupiego, i w końcu zgoła niewinnego, żartu nastąpiło coś, co sprawiło, że raz na zawsze sercem, duszą i ciałem chciała należeć tylko i wyłącznie do niego.



- Jak ty to zrobiłaś, że tak szybko pozbyłaś się tej głupiej Constance? - dopytywała się Mercy, gdy następnego dnia rano wędrowały pośród niebosiężnych dębów do Plumstead. - Ja próbowałam i próbowałam, i wszystko na nic. Wydzierała się na mnie, ale nie chciała wyjechać.

Dianna starała się ukryć zaskoczenie. Nigdy dotąd dziewczynka nie wygłosiła pod jej adresem równie długiej przemowy, na wszelkie próby nawiązania rozmowy milkła i zamykała się w sobie.

- Nie myślałam, że ona aż tak się rozżłości, ale nie mogłam znieść spokojnie tego, co wyprawiała z taką piękną piosenką.

Mercy roześmiała się, zadowolona.

- Ale jej narobiłaś wstydu. I to przed Kitem. Sam powiedział, że pięknie śpiewasz, a ona nie ma o tym pojęcia!

- Nie pamiętam, żeby tak powiedział - odparła Dianna, ale było jej bardzo przyjemnie.

- Miał rację. Ty naprawdę pięknie śpiewasz. - Dziewczynka rzuciła jej pełne sympatii, nieśmiałe spojrzenie. - Nigdy jeszcze nie słyszałam nic podobnego. Śpiewasz jak prawdziwy anioł.

- Dziękuję - odpowiedziała Dianna po prostu,

szczerze wzruszona. Tym razem, gdy ujęła Mercy za rękę, dziewczynka nie wyrwała się jej. - Mój ojciec bardzo kochał muzykę i dbał o to, bym miała jak najlepszych nauczycieli. Często śpiewaliśmy razem.

Chodaki Mercy szeleściły w pokrywających ziemię zesłorocznych liściach.

- Twój tata nie żyje - odezwała się dziewczynka po dłuższej chwili. - Kit mi powiedział, żebym była dla ciebie dobra, bo, tak jak ja, jesteś sierotą.

Dianna po raz kolejny tego dnia poczuła się zaskoczona.

- Do tej pory nie potrafię czasem uwierzyć, że mój ojciec naprawdę nie żyje. Ty pewnie też tęsknisz za rodzicami.

- O, tak - westchnęła Mercy. - Dlatego cieszę się, że mam Kita. Wiesz, on i mój tata byli jak bracia. Gdyby nie dziadek, mogłabym mieszkać w Plumstead. Wiesz co? - dodała, zniżając głos.

- Co?

- Kit płakał na pogrzebie mego taty. Myślał, że tego nie widzę, ale ja widziałam.

- On bardzo cię lubi, Mercy - odpowiedziała ostrożnie Dianna, zastanawiając się, czy dzięki zaufaniu, jakim niespodziewanie obdarzyła ją dziewczynka, dowie się może czegoś więcej o całej sytuacji. - Ale dziadek też cię kocha, może nawet...

Urwała i stanęła w miejscu. Dochodziły właśnie do grzbietu niewielkiego wzniesienia, zwieńczonego skalną półką. Diannie wydawało się, że oprócz szelestu liści i wiatru, szumiącego wśród koron drzew, usłyszała z drugiej strony jakieś

dziwne odgłosy. Znieruchomiła, czekając, aż dźwięk się powtórzy.

- Chodź, Dianno - Mercy pierwszej znudziło się czekanie. - To musiała być wiewiórka albo królik.

Dziewczynka ruszyła z miejsca, ale Dianna przytrzymała ją za rękę i potrząsnęła głową. Tym razem obie usłyszały wyraźnie odgłos kroków. Dianna nie miała pojęcia, kto mógł się kryć za krawędzią wzniesienia. Wróg czy przyjaciel? Wyobraziła sobie natychmiast, że może to być ktoś w rodzaju Robillarda albo nieokrzesanych myśliwych, których spotkała podczas podróży z Asą i Jeremiahem. Jedyne, co było pewne, to że one obie były w porównaniu z tym kimś słabe i bezbronne i że gdy już staną z nim twarzą w twarz, będą zdane na jego łaskę. Nie mogąc znieść niepewności, podkraśniała się wreszcie szybko do grzbietu wzniesienia, starając się robić jak najmniej hałasu i ukryta za szarymi głazami, wyjrzała ostrożnie na drugą stronę. Widok, który ujrziała, sprawił, że zastygła w miejscu z przerażenia, niezdolna uczynić ruchu.

Mężczyzna po drugiej stronie stał nieruchomo i patrzył wprost na nią swoimi brązowymi oczami. Był wysoki i chudy, spomiędzy wystających kości policzkowych wyłaniał się orli nos. Oliwkowa skóra upstrzona była bliznami po ospie, a w kruczoczarne włosy wplecione miał barwne wstążki. Indianin trzymał we wzniesionej ręce tomahawk, gotów w każdej chwili cisnąć nim prosto w Dianne.

Palce dziewczyny kurczowo zacisnęły się na

skalnym występie. Wielki Boże, pomyślała bez tchu, Indianin! Czerwonoskóry!

W tym momencie dogoniła ją Mercy. Dziewczynka wychyliła się zza kamieni, straciła równowagę, fiknęła na drugą stronę i pokoziołkowała w dół stromego zbocza. Przerażona Dianna zamarła w bezruchu, czekając na moment, gdy tomahawk roztrzaska jej czaszkę. Tymczasem, ku jej niezmiernemu zdziwieniu, straszliwa broń wylądowała za paskiem czerwonoskórego, a na jego twarzy pokazał się szeroki uśmiech.

- Jesteś córką Toma Winga, tak? - spytał przyjaźnie po angielsku. - Ale wyrosłaś.

Mercy aż podskakiwała z podniecenia.

- Kit wrócił! Kit wrócił, Attawan!

- Mercy! - Dianna zbiegła za małą, chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie. Choć tomahawk znajdował się już za pasem Indianina, a jego twarz nie sprawiała groźnego wrażenia, dziewczyna zbyt dobrze pamiętała straszliwe opowieści, żeby zapanować nad nerwami.

- To Attawan, Dianno - najspokojniej w świecie objaśniła ją Mercy. - On jest z plemienia Pocumtuck. To przyjaciel Kita.

- Wygląda na to, że cała okolica pełna jest jego przyjaciół - odpowiedziała Dianna, wcale nie czując się pewniej.

Zaczęła obchodzić Indianina jak najszerszym łukiem, ciągnąc za sobą małą. Starła się poruszać powoli, jak wobec gotowego do skoku drapieżnika.

- No właśnie - odezwała się wreszcie nerwo-

wo, niepewna, czy czerwonoskórego nie zdenerwuje z kolei jej obcesowość. - Kit pewnie już do czekać się nas nie może. Może nawet wyjedzie nam naprzeciw? Do widzenia panu, panie Attawan.

Indianin skinął głową.

- Do widzenia - pożegnał ją przyjaźnie i Diannie wydało się, że widzi w jego oczach iskierkę rozbawienia.

Słuchając narzekań młynarza, Kit starał się nadać swojej twarzy wyraz uważnej troski. Z nie mającej końca litanii docierało do niego mniej więcej co dziesiąte słowo, a i tego było aż nadto. Miał wrażenie, że odkąd wrócił do Plumstead, nie słyszy nic poza narzekaniem i biadoleniem. Zaczynał się zastanawiać, jak to możliwe, że całe gospodarstwo nie zaważyło się pod jego nieobecność. To zresztą był dopiero początek kłopotów. Świetnie rozumiał, że Jonathan ze złamaną nogą nie był w stanie wszystkiego dopilnować. Co gorsza, on sam okazał się nie lepszy od brata. To, że brakło mu cierpliwości, żeby słuchać o kolejnych trudnościach i szukać na nie rady, było jeszcze zrozumiałe. Dziwniejsze było coś innego. Kit wyraźnie stracił zainteresowanie dla tego, co przez lata było jego całym życiem. Kiedyś cieszył go każdy zarobiony grosz i każdy, choćby najdrobniejszy, sukces, teraz nie tylko przestało mu zależeć na nowych budynkach, nowych urządzeniach i zwierzętach, ale nawet myśl o przyszłych zyskach nie poruszała go specjalnie.



Dopiero po tygodniu zrozumiał przyczynę. Była nią Dianna Grey. Zdał sobie sprawę, że ta dziwna dziewczyna rzuciła na niego najprawdziwszy czar. Jaka śmieszna wydawała mu się teraz rada Jonathana, żeby wziął ją do łóżka w chłodną noc. Ta dziewczyna nie była jak portowe dziwki, o których człowiek może zapomnieć po wyjściu w morze. I nie tylko dlatego, że, jako służąca jego dzierżawcy, była na stałe związana z tym miejscem. Dianna zachowywała się zupełnie inaczej, niż wszystkie znane mu kobiety. Nigdy go nie kokietowała i zdawała się nie zwracać większej uwagi na jego pozycję i zamożność. Kit mógłby bez najmniejszego trudu kupić cały majątek, jaki kiedykolwiek posiadał jej ojciec, ona z kolei była teraz służącą ubogiego, starego trapera, a jednak cały czas zachowywała się tak, jakby była królową na wygnaniu i jakby w każdej chwili mogli przybyć gońcy, wzywający ją z powrotem do objęcia tronu. Miał wrażenie, że ledwo go zauważa i, co gorsza, marzył tylko o tym, żeby go wreszcie dostrzegła. Lubił być blisko niej, choćby dlatego, że zawsze mogło się wtedy wydarzyć coś nieoczekiwanego. Przypomniał sobie, jak bez najmniejszego wysiłku sprawiła, że próżna, zarozumiała Constance jak niepyszna uciekła do Nowego Londynu i uśmiechnął się na to wspomnienie. Boże, a jej głos... Nigdy nie słyszał podobnego. Kiedy śpiewała, zamarł mu dech w piersi, a teraz cały czas zastanawiał się, co zrobić, żeby zechciała zaśpiewać jeszcze raz. Tym razem tylko dla niego.

- Nie ma się z czego śmiać, panie Sparhawk.

Żarna są niemal zupełnie starte - odezwał się młynarz urażonym tonem. - Jeśli nie sprowadzi pan tu kamieniarza z Saybrook, to naprawdę nie wiem, co zrobimy jesienią.

- Dobrze, dobrze. Będziesz miał swojego kamieniarza, Morgan, zadbam o to - odpowiedział pośpiesznie.

Jeżeli nie weźmie się w garść, ludzie zaczną gadać, że zwariował w Londynie.

- Dobrze, że zwróciłeś mi na to uwagę, Morgan. Zadbam o wszystko.

Zostawił za sobą udobruchanego młynarza i galopował przez wiosenny las. Wszystko wokół budziło się do życia, co napełniło go nagle nieoczekiwaną radością. Słońce było jeszcze wysoko, tym razem zdąży do Plumstead, zanim Dianna i Mercy wrócą do domu.

- Nie jestem pewna, czy powinnyśmy tu wchodzić - odezwała się Dianna, gdy dziewczynka wciągnęła ją za sobą do salonu.

W rzadko używanym pomieszczeniu panował półmrok i cisza. Dianna nigdy jeszcze tu nie zaglądała i zaskoczyło ją to, co zobaczyła. Ciężkie, bogato rzeźbione meble z orzecha i dębu, podobnie jak krzesła z wysokimi oparciami, musiały pochodzić jeszcze z czasów króla Karola i łatwo można było zauważyć, że były dziełem nie byle jakich majstrów. Zasłony w oknach i siedzenia krzesel zrobione były z tego samego zielonego aksamitu. Na podłodze z sosnowych desek leżał wzorzysty turecki dywan. W oszklonym kreden-

sie stały porcelanowe talerze, kryształowe szklance i kielichy, a na kominku srebrne naczynia. Ale Mercy ciągnęła Diannę do niewielkiego stolika pod oknem, na którym znajdowało się intarsjowane szlachetnymi gatunkami drewna i macicą perłową duże, płaskie pudło.

- Jonathan mówi, że na tym można grać - powiedziała Mercy, z nabożnym szacunkiem dotykając ścianki dziwnego przedmiotu.

- Wiesz, jak to zrobić, żeby zaśpiewał?

Dianna wyciągnęła spod stolika szeroki taboret, usiadła i delikatnie uniosła zdobione wieko.

- To jest wirginał, Mercy - wyjaśniła dziewczynce, obserwującej w napięciu jej poczynania.

Przebiegła lekko palcami po chłodnych, na przemian czarnych i białych klawiszach. Na twarzy dziecka pokazał się uśmiech najprawdziwszego szczęścia. Wirginał był rozstrojony, lecz po miesiącach spędzonych bez dostępu do jakiegokolwiek instrumentu, Dianna i tak odczuła niezwykłą radość, mogąc na nim zagrać. W miarę jak jej palce przyzwyczajały się do klawiatury, czuła, że rośnie w niej wiara we własne siły. Zaczęła śpiewać. Tym razem nie po to, by kogokolwiek pokonać, ale wyłącznie dlatego, żeby ucieszyć małą słuchaczkę i siebie samą. Oczarowana Mercy ukucnęła na podłodze obok Dianny i słuchała z szeroko otwartymi z podziwu ustami. Obie były tak zaabsorbowane muzyką, że nie usłyszały skrzypnięcia drzwi ani nie zauważyły Kita, który zamarł w progu salonu.

Muzyka obudziła w nim wspomnienia, które

na co dzień wydawały się bezpowrotnie zatarte i wyblakłe. Ujrzał nagle dziecinne twarze braci i sióstr, siedzących tak jak teraz Mercy, na podłodze przed kominkiem i zasłuchanych w melodię, którą matka grała na pięknym instrumencie. Przypomniawszy sobie skupioną twarz ojca, który przewracał strony zapisane tajemniczymi znaczkami i który na zakończenie występu miał zwyczaj delikatnie całować matkę w czoło.

- Od chwili śmierci mojej matki nikt nie grał na tym wirginalu - odezwał się, kiedy muzyka ucichła. Miał wrażenie, że jego głos zmienił się pod wpływem przeżytych emocji.

Dianna zerwała się, zaskoczona, i opuściła pokrywę instrumentu.

- Przepraszam, nie miałam o tym pojęcia.

- Nie! Nie przerywaj! Błagam cię! To nie dlatego, że nie chciałem, żeby na nim grano. Po prostu nikt tego nie potrafił! Moje siostry nie miały ani zdolności, ani cierpliwości do nauki, więc wirginał stał tu w milczeniu i czekał. Teraz widzę, że przez te wszystkie lata czekał na ciebie.

Policzki Dianny zaróżowiły się na ten nieoczekiwany komplement. Była przecież tylko służącą, on był panem tego domu i nie powinien jej prawić komplementów. Ale uśmiech, jaki ujrzała na twarzy Kita, sprawił, że gotowa była wybaczyć mu wszystko. Znowu poczuła, że przyciąga ją do siebie jak magnes. Tym razem ubrany był tylko w rozpiętą pod szyją białą płócienną koszulę z zawiniętymi rękawami. Wzrok Dianny spoczął na skłębionych bujnych włosach, wychylających

się spod koszuli na piersi i na rękach Kita. Nie zważając na ślady, jakie jego buty pozostawiały na dywanie, podszedł bliżej i dziewczyna opadła z powrotem na taboret. Nie po to, by grać, lecz po prostu dlatego, że ugięły się pod nią nogi.

- Nie zagraasz więcej? - zapytał z nieoczekiwanym żalem w głosie.

Pokręciła głową, niepewna, czy udałoby się jej teraz zagrać choćby najprostszą melodię.

- W takim razie nie pozostaje nam nic prócz rozmowy, lady Dianno - oświadczył i ze zdziwieniem zauważył, że po raz pierwszy wypowiedział jej tytuł najzupełniej poważnym tonem.

Rozsiadł się na jednym ze stojących koło wirginału foteli i wyciągnął przed siebie nogi.

- W każdym razie szczerze żałuję, że objawienie twoich talentów wymaga zawsze jakichś szczególnych okoliczności.

Poczucie winy sprawiło, że Dianna gwałtownie się zarumieniła.

- Przepraszam, Kit. Sama nie wiem, co za diabeł we mnie wtedy wstąpił. Wiem, że Constance chciała ci zrobić przyjemność, i to wszystko. Nie miałam najmniejszego prawa jej dokuczać, zwłaszcza że jest twoją narzeczoną.

Sparhawk skrzywił się i Dianna zauważyła w jego zielonych oczach takie same ogniki, jak wtedy wieczorem.

- Narzeczoną, tylko tego brakowało. A poza tym każdy powinien sobie zdawać sprawę, co potrafi, a czego nie. Wcale ci się nie dziwię, że utarłaś jej nosa.

- Uciekła, jak pies z podwiniętym ogonem, prawda, Kit? - odezwała się nieoczekiwanie Mercy i Dianna zdała sobie sprawę, że oboje kompletnie zapomnieli o jej obecności. Nie odzywała się, chcąc, by to mężczyzna podjął decyzję, czy dziewczynka ma zostać przy nich jako przyzwoitką, czy udać się do kuchni. Kit jednak milczał i spojrzawszy na niego zrozumiała, że pozostawia decyzję w jej rękach. Zirykowało ją, że traktuje ją tak, jakby sądził, że niezdolna będzie pozostać z nim sam na sam w pustym pokoju i postanowiła dowieść mu, że się myli.

- Mercy, idź teraz do Hester. Kit i ja chcielibyśmy przez chwilę porozmawiać sami.

Dziewczynka zaprotestowała, ale wystarczyło jedno srogie spojrzenie Kita, by bez dalszego ociągania się wyszła z salonu.

Ze zwinnością, która zupełnie zaskoczyła Dianę, Kit poderwał się z fotela i usiadł tuż obok niej, na skraju taboretu. Zebrała spódnicę i przesunęła się na drugą krawędź stołka. Kit uśmiechnął się i natychmiast przysunął bliżej. Teraz już, chcąc uniknąć kontaktu z jego ciałem, Dianna musiałaby wstać. To, oczywiście, byłaby jej przegrana. Nie pozostawało jej więc nic innego, niż siedzieć tuż przy nim, czując dotyk silnego, muskularnego ciała i zżymać się na siebie, że nie umie z nim walczyć.

- Chciałam ci coś powiedzieć - zaczęła, zamierzając zrelacjonować spotkanie z Attawanem - i wydaje mi się, że Mercy nie powinna tego słyszeć...

- Poczekaj chwilkę. Chciałbym ci powiedzieć coś dużo ważniejszego - przerwał jej, nie czekając, aż skończy. Mówił niskim, zmysłowym głosem, patrząc na nią spod przymkniętych powiek. - Co ty ze mną wyprawiasz, Dianno? Wiesz, że w Salem spaliliby cię na stosie za to, co ze mną robisz?

Dziewczyna wyprostowała się i wbiła wzrok w splecione na kolanach dłonie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Naprawdę, skarbie? Jestem pewny, że dobrze wiesz, o co mi chodzi. - Wyciągnął rękę i nakrył jej dłoń swoimi silnymi palcami. Nie miał zamiaru jej uwodzić, wszystko, czego chciał, to porozmawiać. - Czy twoje ręce tak by drżały, gdybyś nie miała pojęcia, o czym mówię?

Kit miał jak najlepsze intencje, ale niespodziewany kontakt sprawił, że oboje poczuli w sobie ten sam ogień. Pracując w kuchni, Dianna rozluźniła chustkę na szyi i teraz, pod palącym spojrzeniem Sparhawka, poczuła się tak, jakby była naga. Nerwowym ruchem poprawiła chustkę, aby jak najdokładniej zasłonić piersi. Ten prosty gest wydał się Kitowi bardziej uwodzicielski i zmysłowy, niż wszystkie sztuczki Constance. Co, na miłość boską tkwiło w tej kobiecie? Po raz setny w ciągu ostatniego tygodnia zadał sobie to pytanie i, jak zwykle, nie umiał znaleźć na nie odpowiedzi. Ujął Dianne za rękę i odwrócił jej dłoń wnętrzem do góry. Gdy delikatnie przesunął szorstkimi palcami po miękkiej skórze, Dianna poczuła, że przesywa ją dreszcz. Kit uniósł jej dłoń do ust i jego wargi powędrowały śladem wytyczonym przez palce.

Gdyby zachowywał się tak jak wówczas, gdy płynęli razem na „Prosperity”, wiedziałyby, jak ma się zachować. Tymczasem nagle wydał jej się kimś zupełnie innym. Uświadomiła sobie, że jej zdolność oporu topnieje, jak śnieg na słońcu. Całą sobą czuła obecność tego wielkiego, silnego mężczyzny. Czuła bijący od niego żar i ten szczególny męski zapach, w którym był pot i świeżo uprane ubranie, tchnienie wiosennego wiatru i pełna koni stajnia. Nic nie mogła poradzić na to, że jej ciało przypomniało sobie pocałunki Kita, serce zaczęło żywiej bić, a usta same rozchyliły się w oczekiwaniu na dotknięcie jego warg.

Unióśł rękę, bardzo delikatnie dotknął jej policzka i obrócił głowę ku sobie. Spojrzał jej teraz prosto w oczy i po raz pierwszy Dianna zauważyła, że w ich zielonej otchłani lśniło najprawdziwsze złoto.

Przymknęła powieki, chcąc uwolnić się od czaru, jaki na nią rzucał, ale cały czas czuła na wargach oddech nachylonych ku niej ust, a na policzku szorstką, ale przy tym niewypowiedzianie delikatną dłoń.

- Jakiś Indianin próbował nas dziś zamordować! - wyrzuciła wreszcie z siebie ostatkiem sił.  
- Niecałe dwa kilometry od Plumstead.

Tak jak się spodziewała, natychmiast udało jej się spłoszyć czar. Kit zeszytniał i w mgnieniu oka oprzytomniał.

- Co ty mówisz, na miłość boską?

- Spotkałyśmy w lesie Indianina, który strążył nas tomahawkiem.



- Żartujesz, czy mówisz serio? Tu, w Wickhamton, nie ma Indian, którzy... - urwał i przed oczami pojawił mu się ten sam widok, przesładujący go od lat.

Zakręt drogi nad rzeką, dziwna, niesamowita cisza gorącego popołudnia i ulubiona wyżlica ojca, której dziwacznie skrzycone ciało do połowy zanurzone było w wodzie...

- Od dziesięciu lat nie mieliśmy tu kłopotów z Indianami - dokończył ochrypłym nagle głosem.

- On wspomniał, że cię zna - odezwała się Dianna już mniej pewnie i przypomniała sobie to szczególne, jakby lekko rozbawione, spojrzenie Indianina. - Powiedział, że nazywa się Attawan.

- Attawan!

Ciało Kita zaczęło się rozluźnić, ale skurcz serca pozostał. To było coś więcej, niż tylko gra na wirginalu, choć i tego, Bóg mu świadkiem, byłoby dosyć.

Kiedy rozluźnił dłoń i wypuścił jej rękę, poczuła rozpaczliwy żal za czymś, co było tak blisko nich i przed czym w panice uciekła. Ale Kit miał teraz tak obojętny wyraz twarzy, że zaczęła się zastanawiać, czy on czuje wobec niej cokolwiek, poza najzwyczajszym pożądaniem.

- To wszystko jedno, czy on zna ciebie, czy nie, Kit. Mnie w każdym razie nie znał.

Uznała, że musiała się mylić co do jego uczuć, bo zmierzył ją chłodnym, niemal niechętnym spojrzeniem. Gdyby cokolwiek do niej czuł, patrzyłby na nią w takiej chwili inaczej.

- Zrozum, poczułam się przerażona, bezbronna, bezradna... - urwała, nie wiedząc, jakim słowem oddać przepełniające ją emocje.

Kit wstał i odwrócił się do okna. Świetnie wiedział, o co Diannie chodzi, ale jak miał jej wytłumaczyć, że tutaj zawsze towarzyszy człowiekowi taki lęk, że co dzień musi stawiać mu czoło?

- Jesteś kobietą, Dianno - zaczął. - I do tego wyjątkowo delikatną, jak na te strony.

- To żadne wytłumaczenie, Kit - odpowiedziała porywczo. - Nie chcę się tak więcej czuć! Chcę się nauczyć strzelać, tak jak wy!

- Nie masz pojęcia, co mówisz, skarbie. Muszkiet jest niewiele krótszy od ciebie. Gdyby nawet udało ci się go unieść, to bardzo wątpię, żebyś była w stanie utrzymać go nieruchomo i wycelować. I o ile wstrząs nie rzuciłby cię na ziemię, to musiałabyś powtórnie załadować broń. Wprawnemu strzelcowi zajmuje to pół minuty, tobie trzeba by dwa razy tyle. W tym czasie każdy napastnik zdoła się z tobą spokojnie rozprawić. Nie, nie. Miałbym potem tylko wyrzuty sumienia.

- Wolisz, żebyśmy następnym razem zostały zarżnięte z Mercy jak owce, żebyśmy nawet nie próbowały się bronić, tak? - Stała tuż obok niego i wojowniczo wzięła się pod boki. Nienawidziła jego lekceważącego tonu. - Bardzo cię w takim razie przepraszam, poproszę o naukę Hester!

- A ja z przyjemnością ci jej udzielę - odpowiedziała stojąca w progu kobieta. - Skoro pan pułkownik nie ma do tego głowy...

Dianna zauważyła, że plecy Kita drgnęły i zorientowała się, że Hester musiała trafić w czuły punkt. Nie miała jednak wiele czasu na myślenie, bo następna uwaga adresowana była już bezpośrednio do niej.

- Mercy chce już iść do domu - oświadczyła Hester tonem nie pozostawiającym wątpliwości co do jej intencji. - Na dzisiaj już starczy nauki. Lepiej, żebyście poszły do siebie za dnia.

Dianna zwlekała jeszcze przez chwilę, bo miała nadzieję, że Kit jednak odwróci się do niej. A więc znowu są w tym samym punkcie, pomyślała z goryczą. Znowu kończy się na wymianie ostrych słów, wzajemnych pretensjach, goryczy. Czy nigdy nie uda się im naprawdę do siebie zbliżyć? Poczowała, że do oczu napływają jej łzy. Z opuszczoną głową ruszyła w stronę wyjścia.

- Uważaj, co mówisz, Hester! - ostrym tonem odezwał się Kit po wyjściu dziewczyny. - Zapominasz, gdzie jest twoje miejsce!

- Niech cię diabli porwą z twoim miejscem, Kit! - odparowała kobieta. - Nie raz przetrzepałam ci tyłek, kiedy byłeś mały i teraz też mogę ci przyłożyć, jeśli mnie do tego zmusisz. Uważaj, bo widzę, że używasz miękkich części ciała do myślenia, zamiast do siedzenia. Przynajmniej, jeśli chodzi o tę dziewczynę. Waszą rozmowę aż za dobrze było słyszeć w kuchni. Zapamiętaj sobie, Dianna Grey nie ma nic wspólnego z prześladowającymi cię upiorami, Kit. Chyba że jej wszystko opowiesz albo poprosisz kogoś, by ją w te sprawy wtajemniczył.

- Nie! - Kit patrzył przez okno, jak Dianna i Mercy, trzymając się za ręce, wędrują przez łąkę w stronę lasu, za którym stał ich dom. - Nie - powtórzył łagodniejszym tonem. - To wszystko przeszłość. Wolę, żeby nic o tym nie wiedziała.

Tego samego dnia wieczorem wrócił Asa. Kiedy usłyszał relację Dianny o spotkaniu z Attawannem, potraktował ją znacznie poważniej niż Kit.

- Nie martwią mnie Indianie - wyjaśnił jej zresztą zaraz. - Ale odkąd pojawił się w okolicy Robillard, lepiej, żebyście nie chodziły same do Plumstead. Poślę Jeremiaha, niech powie Hester, że jutro nie przyjdziecie.

Dianna znowu poczuła się rozczarowana.

- Masz tu przecież dwa muszkiety, Asa. Gdybyś zostawił mi jeden...

- Nie, Annie. To sprawy mężczyzn. Na razie zostaniesz w domu i pokażesz, czego cię Hester nauczyła.

Przez kilka następnych tygodni, do początku czerwca, Dianna i Mercy nie ruszały się z domu. Teraz jednak, kiedy dziewczyna rozejrzała się po gospodarstwie, zauważyła, jak wiele jest w nim do zrobienia. Gotowanie zabierało dużo więcej czasu, niż sobie to kiedykolwiek wyobrażała. Przynosiło jej też nieoczekiwaną satysfakcję. Asa nie wygłaszał kwiecistych pochwał, jakie modne były w wielkim świecie, ale nigdy nie zapomniał powiedzieć jej dobrego słowa. Kiedy uporała się z kuchnią, przyszła kolej na ogródek, który od śmierci poprzedniej gospodyni tak zarósł chwa-

stami, że trudno było rozpoznać grządki. Skończywszy pielenie, wzięła się za dom. Szorowanie, wycieranie i odkurzanie zajęło jej kilka dobrych dni, ale kiedy skończyła, chatka Asy aż lśniła od czystości. Najwięcej radości sprawiła jej jednak zmiana, jaka zaszła w tym czasie w Mercy. Z dnia na dzień dziewczynka głośniej i częściej się śmiała. Policzki jej poróżwiały, a w oczach pojawił się pogodny blask. Nie upłynęło wiele czasu, a na krok nie odstępowała Dianny.

Jeszcze nigdy w życiu dziewczyna nie pracowała tak ciężko. Nigdy jeszcze od śmierci ojca nie czuła się równie szczęśliwa. Gdyby nie to, że Kit Sparhawk pozostawił w jej sercu pustkę nie do zapełnienia, niczego by jej nie brakowało.

Początkowo myślała o nim ze złością, po jakichś dwóch tygodniach jednak serce jej zaczęło mięknąć, a kiedy upłynął kolejny tydzień, czuła już tylko tęsknotę i głuchy żal, że nie może się z nim spotkać. Zrozumiała, że kocha Kita całym sercem i że niczego nie pragnie bardziej, niż jego wzajemności. Co gorsza jednak, cierpiało nie tylko jej serce. Również ciało Dianny odczuwało boleśnie i uparcie jego brak, a siła tego uczucia budziła w niej czasem prawdziwy lęk.

Oczywiście, oboje byli co niedziela w kościele. Kiedy pierwszy raz ujrzała go, siedzącego w pierwszej ławce, serce zabiło jej mocniej. Gdy jednak zauważyła, że Kit starannie unika jej wzroku, postanowiła nie podchodzić do niego. I ona miała swoją dumę.

- Chciałabym, żeby dziadek puścił nas do

Plumstead. Założę się, że Kit chętnie by nas zobaczył - wyznała jej Mercy smętnym tonem. - Na pewno czuje się bez nas samotny.

Dianna mogła jej tylko odpowiedzieć wzruszeniem ramion. Nie miała pojęcia, co czuje Kit, sama za to miała wrażenie, że nadspodziewanie wiele nauczyła się o samotności i tęsknocie.

Powrót do Plumstead zawdzięczały Hester.

- Dawno się nie widziałyśmy - odezwała się Hester, kiedy spotkały się któreś niedzieli w kościele. - Mamy kotki. Przyjdźcie kiedyś, to Mercy się z nimi pobawi, a ty nauczysz się zbierać truskawki.

Zauważywszy wahanie na twarzy Dianny, poklepała ją po ręku.

- Jeżeli nie chcesz widzieć się z Kitem, to nic się nie martw. Nie będzie go w domu. Popłynął na dwa dni w górę rzeki, do tartaku.

Asa wypuścił je z domu niechętnie i dopiero wtedy, gdy Dianna obiecała, że wrócą przed zapadnięciem nocy. Z przyjemnością zagłębiły się w las. Słońce grzało coraz mocniej i na polanie było już nieznośnie gorąco. Szły rażno pośród migocących plam światła, nasłuchując odgłosów lasu. W tak piękny dzień trudno było wyobrazić sobie, żeby wśród śpiewu ptaków i brzęczenia owadów mogło się kryć niebezpieczeństwo. Zrywały kwiaty i plotły wianki. Dianna z prawdziwą przyjemnością dowiadywała się od Mercy nazw nie znanych sobie roślin. Po latach spędzonych w sztywnych sukniach, pończochach i trzewikach, tak przyjemnie szło się w lekkiej sukni,

boso po miękkiej trawie! Rozplotła warkocz i ze śmiechem rozpuściła włosy na ramiona.

- Szczęście, że nie spotkałyście po drodze wielbego Manninga - powitała je, nieszczerze zachwycona ich widokiem, Hester. - Wyglądacie jak najprawdziwsze poganki.

- Lada dzień będzie noc świętojańska - odpowiedziała radośnie Dianna i porwała ze stojącego na stole koszyka piękną, dojrzałą truskawkę.

- Niedługo królowa elfów będzie tańczyć ze swoimi służkami na łące.

- Nie chcę słyszeć ani słowa na ten temat! - burknęła niezadowolona Hester. - Elfy! Wróżki! Uważaj, co mówisz, dziewczyno. Nikt tu jeszcze nie palił czarownic, ale to nie znaczy, że nie jesteśmy dobrymi chrześcijanami. Nie trzeba nam żadnych elfów! Mam nadzieję, że nie nagadałaś tych wszystkich głupot Mercy! Tego tylko brakowało, żeby nabijać dziecku głowę pogańskimi wymysłami! Chodź Mercy, bierzemy się do roboty - zakończyła i z pustym koszykiem w ręku ruszyła w stronę drzwi.

Dianna chwyciła drugi kosz i już chciała udać się w ich ślady, gdy Hester zamachała ręką.

- Zanieś najpierw te koszule do pokoju Kita, dobrze? Na górę. Poszłabym sama, ale już mnie kolana bołą od chodzenia po schodach.

- Ale który to pokój?

- Oj, dziewczyno, dziewczyno, gdzie ty masz rozum - burczała rozeźlona kobieta. - To jedyny pokój, który jest otwarty!

Na oparciu krzesła wisiały trzy świeżo wypra-

ne koszule. Dianna podniosła jedną z nich do góry i rozpostarła przed sobą. Boże wielki, ten Kit jest najprawdziwszym wielkoludem, pomyślała z podziwem. Zebrała pozostałe koszule i pobiegła schodami na górę.

Sypialnia Sparhawkka znajdowała się w przestronnym pomieszczeniu, w południowo-wschodnim narożniku domu. W przeciwieństwie do salonu meble były tu proste, sporządzone z lokalnych gatunków drzew. Szafa, stół, obity skórą fotel, kufer, który zapamiętała z „Prosperity”, ogromne łóżko. Wyobraziła sobie Kita, siedzącego za stołem, piszącego coś, a potem odkładającego pióro i patrzącego na widoczną przez okno rzekę. Stół zaścielony był papierami, rachunkami, notatkami i listami, ale od razu dostrzegła wśród nich szkice przedstawiające Pioruna, konia Kita. Nakreślone kilkoma liniami, znakomicie oddawały nie tylko sylwetkę zwierzęcia, lecz także jego charakter. Była szczerze zdumiona dokonany odkryciem. Przyjrzała się uważniej zawartości biurka. Podniosła leżącą na nim książkę. Arystoteles. Skądże, u licha, temu mężczyźnie, tarzającemu się po ziemi z nożem w rękę, przyszło do głowy czytać filozofów?

Dianna czuła, że powinna powiesić koszule i czym prędzej zejść na dół, a jednak nie umiała powstrzymać ciekawości. W szafie wisiał mundur, do ściany przypięta była rycina z jakimś pejzażem, na gzymsie kominka stały szyszki, od najmniejszej do największej. Każda z tych rzeczy mówiła jej coś o mieszkańcu tego pokoju. Powoli



podeszła do łóżka i odsłoniła ciężkie aksamitne zasłony. Poduszki leżały równo ułożone, kołdra była starannie wyprostowana, a jednak można było dostrzec zagłębienie, jakie raz na zawsze utworzyła w sienniku potężna postać człowieka, który tu sypiał. Pochyliła się nad poduszką i poczuła znajomy zapach. Przeciągnęła ręką po poszewce i zamknęła oczy. Tak dobrze było wyobrazić sobie, że Kit jest obok niej.

- Dianna?

W pierwszej chwili pomyślała, że zwodzi ją rozgorączkowana wyobraźnia, ale kiedy po raz drugi usłyszała swoje imię, przerażona, szeroko otworzyła oczy. Przyłapał ją na przetrząsaniu jego najbardziej intymnego miejsca! Jak mogła mu to wyjaśnić? Chciała go przeprosić, ale gdy go zobaczyła, słowa przeprosin zamarły jej na ustach.

Zmęczony i zgrzany po jeździe, Kit zdjął przed domem buty i koszulę i wylał na siebie kilka cebrów wody. Miał mokre włosy, potężne mięśnie lśniły w blasku wpadającego przez okno słońca. Krople wody migotały wśród ciemnych włosów, porastających piersi i brzuch Kita, a niżej... Niżej zaczynały się bryczesy do konnej jazdy, które teraz, przesiąknięte wodą, aż nazbyt wyraźnie ukazywały kształty jego ciała. Dianna nie miała pojęcia, jak długo mężczyzna patrzył na nią, stojąc w progu.

Wielki Boże, co on sobie o mnie myśli?!



Kit myślał, że nigdy w życiu nie spotkał kobiety, tak przypominającej królową elfów, jak Dianna.

Na podwórzu natknął się na Hester, która narzekała, że Dianna psuje Mercy, opowiadając dziewczynce o wrózkach i elfach. Nie dało mu to jednak żadnego wyobrażenia o zjawisku, jakie miał ujrzeć za chwilę we własnym pokoju. Rozplecione włosy spływały swobodnie na ramiona dziewczyny, przetykane pojedynczymi kwiatami z wianka, który ciągle miała na głowie. Cera Dianny poprawiła się od czasu morskiej podróży, a jej ciało znów nabrało rozkosznie pełnych kształtów. Można by powiedzieć, że dziewczyna rozkwitała wraz z całą otaczającą ją naturą. Kiedy pochyliła się nad łóżkiem, jej koszulka odchyliła się, odsłaniając przed oczami Kita cudowną krągłość piersi. Gdy się odezwał, twarz Dianny spłonęła gorącym rumieńcem. W szeroko rozwartych oczach dziewczyny ujrzał... Zaproszenie? Czy to możliwe? Ale cóż innego mogła znaczyć jej obecność w tym pokoju, na jego łóżku, nad jego poduszką, jak nie to, że Dianna pragnęła go równie mocno, jak on jej? A Kit nigdy jeszcze nie pragnął żadnej kobiety tak, jak Dianny. Przez ostatnie

tygodnie na przemian to błogosławił, to znów przeklinał Asę za to, że trzyma dziewczynę z dala od Plumstead. Starał się nie poddawać uczuciom i wypełniać swoje obowiązki, ale codzienne zajęcia coraz częściej ciążyły mu jak nieznośne brzemię. Przestał się dziwić, że Dianna go nie zauważa, zaczął zdawać sobie sprawę z tego, czym może być dla niej - pięknej, żywej jak rzeź, zmiennej jak chmury na niebie - mężczyzna pogrążony w księgach handlowych i żmudnych obowiązkach. A teraz stał przed pytaniem, co znaczy jej obecność w tym pokoju. Czy jest to jego ostatnia szansa, aby dowieść jej, że jednak warto go kochać?

- Jednak w końcu wróciłaś do Plumstead? - odezwał się łagodnie, aby znów jej nie spłoszyć.

- Przyszliśmy zobaczyć kotki - odpowiedziała pośpiesznie i natychmiast poczuła się tak głupio, że gdyby tylko było to możliwe, zarumieniłyby się jeszcze bardziej.

Kiedy tak stał przed nią, jak wielki płowy lew, w ogóle nie była w stanie myśleć. Wstała z łóżka i złożyła ręce na piersi. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Mercy chciała się z tobą zobaczyć.

- To dobrze, ja też się za nią stęskniłem. - W kącikach ust mężczyzny pojawił się leciutki uśmiezek. - Ale bardziej tęskniłem za tobą.

- Za mną! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Jak możesz za mną tęsknić, skoro ledwo się znamy?

- Czasem mam wrażenie, że znam cię dużo

lepiej niż ludzi, których spotykam od lat. Od tej nocy, gdy spotkaliśmy się w domu sir Henry'ego...

- Kiedy mnie zdradziłeś! - przerwała mu głosem pełnym goryczy.

- Krzywdzisz mnie teraz, tak jak ja skrzywdziłem cię wtedy - odpowiedział z nie skrywanym smutkiem.

Gdy tak stała naprzeciw niego z rozpuszczonymi włosami, taka sama, jak podczas ich pierwszego spotkania, z pełną udręki dokładnością przypomniał sobie wszystko, co zaszło między nimi potem. Nie dbał już o to, czy była kochanką sir Henry'ego i nie wierzył, że chciała go zabić. Teraz pozostawało mu jeszcze przyznać się do tego i ścierpieć jej zasłużony gniew.

- Tak wiele bym dał, żebyśmy mogli zacząć naszą znajomość jeszcze raz od początku, Dianno.

- Pan Christopher Sparhawk chciałby poznać kobietę skazaną prawomocnym wyrokiem sądu, służącą, wartą dziesięć gwinei? - Dianna chciała, by w jej słowach zabrzmiał sarkazm, ale zamiast tego usłyszała w nich tylko pokorę i wstyd. Tak bardzo pragnęła mu wierzyć!

- Pan Christopher Sparhawk chciałby, i to bardzo - odpowiedział jej swoim najbardziej uwodzicielskim głosem. Powoli okrążył łóżko i stanął tuż przed nią. - I nie musisz mi mówić, ile jesteś warta, Dianno.

Wyciągnął rękę i wyłuskał jeden kwiat z włosów dziewczyny. Ujmując łądygę palcami, przeciągnął płatkami po policzku Dianny.

- To orlik, prawda?

W odpowiedzi skinęła tylko głową i niezdolna do wydobycia z siebie pełnego głosu, szepnęła:

- Tak, gotowane korzenie przykłada się na skaleczenia i oparzenia.

- Brawo, widzę, że Hester naprawdę cię czegoś nauczyła.

Kit upuścił kwiatek na podłogę i delikatnie pogładził dłonią policzek dziewczyny. Ujął ją szorstkimi palcami pod brodę i unióśł twarz lekko ku górze, ku swoim rozchylonym ustom. - A mnie orlik zawsze podobał się przede wszystkim dla swojej urody.

Dianna zamknęła oczy. Wszystkie jej zmysły skupiły się teraz na pocałunku. Nigdy nie przypuszczała, że ten ogromny, silny mężczyzna potrafi być tak delikatny. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, rozłożyła zaciśnięte ręce i oparła je lekko na jego piersi, pośród miękkich wilgotnych włosów. Kit odpowiedział na to, ujmując ją za biodra i przyciągając bliżej do siebie. Piersi Dianny przylgnęły do jego piersi i woda zwilżyła cienkie płótno koszulki. Chłód wody i gorąco jego ciała łączyły się w tajemniczy sposób, budząc w ciele dziewczyny żar, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyła.

Rozchyliła usta, przyzwalając Kitowi na głębsze, bardziej namiętne pocałunki. W odpowiedzi jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie. Dianna poczuła nie znaną dotąd rozkoszną słabość i ociężałość, tym większe, im silniejsze i twardsze stawało się jego męskie ciało. Jej dłonie powędrowały

wały na jego ramiona, a stamtąd przeniosły się na szyję. Przyłgnęła do niego całym ciałem, zezwalając, by język Kita wtargnął głęboko do jej rozwartych ust.

Poprzednim razem, na statku, nie posunęli się aż tak daleko. Tym razem jednak Dianna nie czuła lęku, przeciwnie, miała wielką ochotę kontynuować to, co zaczęli. Była dziewicą, to prawda, ale doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co dzieje się między mężczyzną i kobietą. Nauczyły ją tego cztery lata spędzone na dworze. Zdała sobie sprawę, że ich dziwna więź dopełni się tego popołudnia. Było jej już wszystko jedno, czy to dobrze, czy źle. Jej ciało za bardzo pragnęło Kita, żeby mogła mu się dłużej opierać.

Mężczyzną owładnęła gorączka pożądania. Serce biło mu mocno, ręce same przygarniały ciało Dianny, w gardle rodził się mimowolny, głęboki pomruk rozkoszy. Tak dawno już nie miał żadnej kobiety! A jednak nie miał wątpliwości co do tego, że warto było poczekać na Dianę. Jej usta były takie słodkie! Kit czuł, że jego krew zaczyna się przemieniać w płynny ogień, tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz wziął ją w ramiona. Zanurzył twarz w jej włosach i poczuł zapach jej ciała zmieszany z zapachem polnych kwiatów. Nienasycone usta Kita powędrowały wzdłuż szyi dziewczyny ku jej ramionom. Nie mogąc oprzeć się przenikającemu jej ciało dreszczowi, Dianna wyprężyła się i odrzuciła głowę do tyłu.

Drżącymi palcami rozwiązał tasiemki jej spód-

nicy i zsunął ją z bioder dziewczyny. Zanim jeszcze opadła na podłogę, już poderwał się, aby sięgnąć do wstążek kaftanika. Dianna wyprostowała ramiona pozwalając mu ściągnąć rękawy. Stała przed nim teraz w cieniutkiej koszulce. Pod mokrym materiałem wyraźnie rysowały się dumnie sterczące sutki. Kit aż jęknął na ten widok, a potem przypadł do nich ustami. W jego pocałunkach miejsce pierwszej łagodnej pieśczo-ty zajęła teraz nieopanowana, głodna namiętność. Potężne ręce zsunęły się po plecach dziewczyny na pośladki, zacisnęły na biodrach i uniosły ją w górę.

Dianna czuła dziwną, nie znaną jej do tej pory przyjemność w całkowitym poddaniu się woli mężczyzny. Była kompletnie oszołomiona, kręciło jej się w głowie, a przez ciało przepływały fale rozkosznych dreszczy. Nie zorientowała się, kiedy Kit zdarł z niej koszulkę ani kiedy ułożył ją na łóżku. Delikatne usta i szorstkie, twarde dłonie wędrowały teraz po jej ramionach, piersiach i brzuchu. W pewnym momencie mężczyzna ujął jedną brodawkę ustami, a drugą palcami i ta jednoczesna pieśczo-ty przejęła ją taką rozkoszą, że nie mogła powstrzymać głośnego jęku. Ilekroć jego pocałunki zbłądziły niżej, tylekroć czuła, że gdzieś w dole jej brzucha zaczyna rosnać nowy płomień, gorętszy niż wszystko, co dotąd znała. Kit uniósł się nad Dianną i spojrział na nią z góry. Wielki Boże, ta dziewczyna była piękniejsza, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał!

Poczuł, że musi dać jej przyjemność, jakiej je-

szcze nigdy, z nikim nie zaznała. Zmusić ją, by zapomniała o wszystkich kochankach, jakich miała w Londynie czy w Paryżu. Ukłękął między rozrzuconymi bezwładnie nogami dziewczyny i pochylił się nad jej ciałem. Jego usta pozostawiały teraz wilgotny ślad na wewnętrznej stronie jej ud, zmierzając z umyślnie dręczącą powolnością ku ich zbiegowi. W pewnym momencie Dianna nie mogła już dłużej zapanować nad pożądaniem i wpiła palce we włosy Kita, usiłując przyciągnąć go do siebie. Pomimo bólu nie poddał się. Przeciągał pieszczoty do chwili, gdy jęki dziewczyny zaczęły zamieniać się w krzyki nieprzytomnego pożądania, a jej ciało wiło się i prężyło w zupełnie nie opanowany sposób. Wtedy dopiero chwycił ją pod uda i unióśł ku ustom.

Jeżeli Diannie wydawało się, że dotknięcie jej sekretnego miejsca przyniesie jakąś ulgę, to całkowicie się myliła. Teraz dopiero ogarnęło ją prawdziwe szaleństwo. Przerażona myślą, że jej krzyki słychać już pewnie w całym domu, zacisnęła usta i wpiła palce w prześcieradło. Drżała tak, jakby miała gorączkę, a jej ciało otwierało się przed Kitem, nie pragnąc już niczego, poza ostatecznym spełnieniem.

Jakby to czując, opuścił ją na prześcieradło, zdarł bryczesy i natychmiast znów nakrył dziewczynę swoim ciałem. Ku jego zaskoczeniu, w chwili gdy jego męskość weszła w nią, Dianna jęknęła z bólu i szeroko otworzyła oczy.

Kit znieruchomiał, starając się zapanować nad podnieceniem. Dianna była tak gorąca i cias-



na, a on tak rozbudzony, że już pierwszy ruch mógł przynieść mu spełnienie. Dziewczyna poczuła, że ból mija, a jego miejsce zajmuje poczucie cudownego wypełnienia, w którym kryje się zapowiedź ukojenia. Kiedy mężczyzna zaczął wykonywać delikatne, ostrożne ruchy, natychmiast wezbrała w niej fala rozkoszy. Zawsze wydawał jej się wielki i zawsze, ilekroć myślała o tym, że mogłaby się z nim kochać, bała się tego. Teraz jednak zaczęła zdawać sobie sprawę, że byli do siebie cudownie dopasowani. Gdy ruchy Kita stały się śmielsze, odruchowo zaczęła poruszać się w rytmie narzuconym przez jego ciało. Spełnienie nadeszło szybciej, niż się spodziewała. Nagle poczuła dreszcze wstrząsające całym jej ciałem i nie pozostało jej nic innego, niż zapleść nogi na jego biodrach i zdać się całkowicie na dziki rytm jego nie kontrolowanych już teraz, spazmatycznych ruchów.

Jej serce ciągle waliło jak młotem, kiedy na tyle odzyskała przytomność, by zastanowić się nad tym, co przed momentem przeżyła. Kochał ją! Była tego pewna. Jakże inaczej mógłby tak cudownie, tak szaleńczo się z nią kochać? Uśmiechnęła się, zachwycona tym odkryciem i przesunęła ustami po ciele spoczywającego na niej mężczyzny. Kit wydał pomruk zadowolenia, tak głęboki, że niespodziewana vibracja przeniknęła całe jego ciało, aż do miejsca, w którym ciągle byli ze sobą złączeni.

Potem ocieężale, jakby stracił wszystkie siły, unióś się, oparł na łokciu i spojrzał na nią. Z roz-

rzucenymi na poduszce włosami, w których ciągle jeszcze znajdowały się pojedyncze kwiatki, z zarumienioną twarzą, rozchyłonymi, wilgotnymi ustami i nasyconymi rozkoszą oczami, Dianna Grey wydała mu się najpiękniejszą kobietą na świecie. Nigdy jeszcze nie kochał się z nikim w swoim własnym łóżku, jego przygody miłosne zawsze rozgrywały się w bezpiecznej odległości od rodzinnego gniazda. Dianna jednak w jakiś tajemniczy sposób pasowała do tego miejsca bardziej, niż jakakolwiek inna kobieta. Patrząc na nią, zastanawiał się, jak zaaranżować ich przyszłe spotkania. Gdyby ludzie dowiedzieli się, co wyprawia, byłoby niezłe zamieszanie, ale Dianna była doświadczoną kobietą z wielkiego świata i wiedział, że będzie mógł zaufać jej dyskrecji. Zwłaszcza że wyraz jej twarzy nie zostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że doświadczyła nie mniejszej niż on rozkoszy.

Łagodnie odsunął włosy z jej czoła.

- Och, Dianno, kochanie, jesteś jak bogini - powiedział. - Zawsze już, ilekroć będę o tobie myślał, będę cię widział skapaną w letnim słońcu. Jesteś cudowną kobietą, lady Grey. Cudowną, kuszącą kobietą. Musisz być w prostej linii córką Ewy.

Kiedy powiedział „zawsze”, serce Dianny забиło mocniej. Nigdy nie marzyła o tym, żeby taki wspaniały mężczyzna, jak Kit Sparhawk, mógł się w niej zakochać. Gdy przyciągnął ją do siebie, aby złożyć pocałunek na jej wilgotnych, gorących ustach, przywarła do niego całym ciałem.

dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ani przez moment nie zachowywała się, jak kobieta doświadczona w tych sprawach. Jej łono było tak cudownie ciasne. Teraz wiedział, dlaczego! Patrzyła na niego bezbronnymi oczami, niepewna, załęknioma, czekając, aż coś jej powie. Boże wielki, co on narobił?

Znów usłyszał wzywających go ludzi. Tym razem z dołu, z kuchni. Za chwilę przyjdą na górę. Pośpiesznie zawiązał rzemień, przytrzymujący bryczesy. Chciał pocałować dziewczynę na odchodnym, ale już nie było na to czasu.

- Dianno, obiecuję ci, że porozmawiamy o wszystkim - rzucił jej szybko. - Przysięgam, kochanie, ale teraz muszę do nich iść!

Oślupiałym wzrokiem patrzyła, jak wybiega z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Oddała mu swoje ciało i swoją niewinność, a on obiecuje jej rozmowę. Rozmowę! Ukryła twarz w dłoniach i starała się powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Na miłość boską, co ona najlepszego zrobiła?

Kit patrzył na rozciągniętego na stole mężczyznę. Wspomnienia ciążyły mu jak głaz. Zdarcie skalpu niekoniecznie musiało oznaczać śmierć. Najczęstszą jej przyczyną była dopiero gorączka, wywołująca się wskutek zakażenia. Tym razem ofiarą Indian padł młody, silny mężczyzna. Miał szansę. Kit zmówił krótką modlitwę o jego życie.

Jeżeli napad nie wiązał się z jakąś przypadkową obrazą lub nieporozumieniem, to, jako pułkownik miejscowej milicji, musi czym prędzej do-

wiedzieć się, które z okolicznych plemion wyko-  
pało topór wojenny i z jakiego powodu. Na po-  
czątek rozesłał gońców do odleglejszych farm,  
wzywając ludzi, aby schronili się w Plumstead.  
Teraz czekał, aż kolejni mężczyźni osiodłają ko-  
nie, by poprowadzić patrol.

Patrzył, jak Hester przemywa delikatnie stra-  
szliwą ranę i zakłada opatrunek. Ranny był czło-  
wiekiem spoza doliny, zapewne Francuzem, a są-  
dząc ze stroju - traperem. Dziwne wydało mu  
się, że Indianie nie obrabowali ofiary, pozostawia-  
jąc jej prawie nowe mokasyny i medalik na zło-  
tym łańcuszku. Najprawdopodobniej dokonujący  
obchodu swych pól Daviesowie spłoszyli napa-  
stników.

- To wszystko, co mogę zrobić, Kit - przer-  
wała milczenie Hester i zestawiała ze stołu  
miednicę z wodą czerwoną od krwi. Przenieście  
go teraz do pokoju obok, zobaczymy, co będzie  
dalej.

Kit skinął na Johna i Samuela Daviesów i ra-  
zem ostrożnie chwycili rannego. Mężczyzna  
otworzył oczy i wymamrotał coś po francusku.

- Francuz - mruknął z niechęcią Samuel.  
- Niech to diabli, że też musieliśmy uratować pa-  
pistę.

Kit uciszył go jednym zmarszczeniem brwi.

- Jesteś wśród Anglików, przyjacielu. Chcemy  
ci pomóc. Czy możesz powiedzieć, kto cię na-  
padł?

Ranny patrzył na niego, wyraźnie nic nie ro-  
zumiejąc i znów wybełkotał coś po francusku.

- Nic ci się tu złego nie stanie - odezwał się Kit, ale mężczyzna rozglądał się dookoła w panice i raz po raz powtarzał po francusku coś, czego nikt nie mógł zrozumieć.

Zrobił nawet gest, jakby zamierzał się podnieść, ale, powalony bólem, opuścił głowę i przymknął oczy. W tym momencie Sparhawk usłyszał za plecami inny głos, który odpowiedział ranemu w jego ojczystym języku. Odwrócił się i zobaczył za sobą Dianę. Dziewczyna podeszła do obcego, ujęła go za rękę i powiedziała łagodnym głosem coś, co sprawiło, że mężczyzna się uspokoił. Znowu zamknął oczy, ale tym razem wyglądało to po prostu, jakby stracił przytomność lub zasnął.

- Zapytaj go, kto to był - odezwał się Samuel niecierpliwie. - Zapytaj...

- Nie teraz, Samuelu - przerwała Hester ostrym tonem. - Zanieście go do łóżka i pomódlcie się za niego, bo w przeciwnym razie nigdy już nie odpowie wam na żadne pytanie.

Gdy podnieśli rannego, Kit uchwycił wreszcie spojrzenie Dianny. Włosy miała starannie ułożone, kwiaty zniknęły bez śladu, a zapięty pod szyję kaftanik skrywał przed światem podartą koszulę.

- Dziękuję za pomoc - odezwał się cicho.

- Nie miałem pojęcia, że mówisz po francusku.

Uniosła dumnie brodę i spojrzała mu hardo w oczy.

- Niewiele pan o mnie wie, panie Sparhawk

- odpowiedziała. - Jeżeli nie jestem już potrzeb-

na, to pójdę z Mercy do domu. Obiecałam Asie, że wrócimy przed zmierzchem.

- Nigdzie nie pójdziesz! - Lęk o nią sprawił, że odezwał się ostrzej, niż zamierzał. - Zostaniesz tutaj.

- Jestem wprawdzie służącą, ale nie twoją! - odparowała natychmiast, urażona jego apodyktycznym tonem.

- Zostaniecie tutaj, Dianno - powtórzył, sięgając po jedną ze stojących w kącie strzelb. - Jesteś jedyną osobą, która zna francuski i musisz wypytać go o wszystko, gdy tylko odzyska przytomność.

- Ale ja...

- Ani słowa - warknął.

Przed dom zajechał pierwszy wóz z płaczącymi kobietami i krzyczącymi dziećmi. Stojący koło stodoły mężczyźni, przeglądali broń. Kit przewiesił przez ramię róg z prochem i wyszedł na podwórze.

Dianna patrzyła za nim, skracając się ze złości na samą siebie. Ty idiotko, ty łatwowierna idiotko, powtarzała w duchu. Jak mogłaś uwierzyć, że ten mężczyzna cię kocha!

- Lepiej pożegnaj go uśmiechem, dziewczyno - odezwała się nagle Hester takim tonem, że Dianna spłonęła rumieńcem i zadała sobie pytanie, ile też stara służąca może wiedzieć o tym, co między nimi zaszło. - Pamiętaj, że jeszcze dziś może skończyć jak ten biedak.

Dianna miała tak zmieszaną minę, że Hester, zniecierpliwiona, wzniosła oczy do nieba.

- Gdzie ty masz rozum, dziewczyno? Myślisz, że ten Francuz zaciął się brzytwą przy goleniu? To robota Indian. Zdarli mu skalp i to samo zrobią tobie, Kitowi i każdemu innemu białemu, jeśli tylko go dopadną.

Dianna spojrzała na ruszających mężczyzn, szukając wśród nich wzrokiem złotej grzywy Kita. Jeżeli to, co powiedziała Hester, było prawdą, może go już nigdy nie ujrzeć.

- Zapomniałam, że ty przecież ledwo tu przyjechałaś - odezwała się stara życzliwszym tonem. - Tu, w Plumstead, jesteśmy bezpieczne. Ten dom to istna forteca, a Kit też wróci cało. Indianie są za sprytni na to, by atakować gromadę uzbrojonych mężczyzn. Te podłe dzikusy najchętniej napadają samotne farmy. Dlatego, dopóki Kit nie przywróci tu spokoju, będziemy mieć gości.

W tym samym momencie w drzwiach pojawiła się kobieta, którą Dianna zapamiętała z kościoła. Jedną ręką przytulała do piersi niemowlę, drugą prowadziła trzy-lub czteroletnią dziewczynkę, za którą pojawiła się jeszcze trójka dzieci. Jedno z nich płakało i Dianna bez namysłu wzięła je na ręce. Od tej pory do późnej nocy nie miała chwili wytchnienia. Obierała marchewki, topiła na kominku ołów na kule do muszkietu, ratowała kotki przed zbyt rozkochanymi w nich dziewczynkami. Do kolacji zasiadły przy stole trzydzieści cztery osoby. Kiedy zjedli, mężczyźni wyszli na podwórze, aby rozstawić na noc warty, a kobiety z dziećmi zaczęły układać się do snu w po-

kojach na górze. Szczęśliwszym przypadły łóżka lub same sienniki, ale reszta musiała się zadowolić spaniem na podłodze. Wszyscy byli zdenerwowani i wylęknieni, nikt nie wiedział, co przyniesie noc. Szorując ostatni garnek, Dianna czuła się kompletnie wyczerpana pracą, rozmowami, pocieszaniem wystraszonych i przygnębionych kobiet.

- No, przed nami jeszcze jedno zadanie i koniec na dziś - odezwała się Hester, stawiając koło kominka ceber z wodą. - Idę opatrzeć Francuza, chodź ze mną. Przyjrzyj się, jak to się robi i jutro będziesz się nim sama zajmowała.

W małym pokoiku obok kuchni, w którym leżał ranny, było gorąco i duszno. Ściana przylegała do kuchennego pieca, a okna i okiennice były szczelnie zamknięte. Gdy Hester zawiesiła latarnię na haku i rozwinęła opatrunek, Dianna jęknęła, przerażona widokiem, jaki ukazał się jej oczom. Spod zakrwawionych bandaży wyłoniła się zboczona krwią naga czaszka. Dziewczyna poczuła, że izdebka wiruje wokół niej.

- Tylko mi tu nie mdlej - mruknęła Hester, chwytając ją pod ramię. - Nie mogę zajmować się wami dwojgiem naraz.

Jej głos przebudził Francuza, który otworzył oczy i obrzucił je przerażonym wzrokiem.

- Solange! Solange! - jęknął boleśnie.

Hester skinęła na Dianę.

- Odezwij się do niego, dziewczyno. Potrzeba mu kogoś, kto zagada do niego w jego języku.

Dianna chwyciła rannego za rękę.



- Uspokój się, jesteś już bezpieczny - odezwała się po francusku. - Jestem przy tobie.

- O, tak dobrze. Tak go trzymaj, dopóki nie skończę. - Hester obmyła obdartą ze skóry czaškę i zaczęła owijać ją czystym bandażem.

- Uważaj teraz, bo rano będziesz musiała to zrobić sama. Gdyby miał gorączkę lub gdybyś zauważyła, że zbiera się ropa, wtedy mnie zawołaj.

- Dokończyła i podniosła wzrok na Dianę. - A co on właściwie mówi?

- Bierze mnie za jakąś kobietę, która ma na imię Solange. Pomyślałam, że lepiej zrobię, nie wyprowadzając go z błędu.

- Masz rację. Przez dzień czy dwa i tak nie będzie z niego wiele pożytku. Albo i nigdy. Zdarsza się, że po czymś takim ludzie na zawsze tracą rozum.

Hester podniosła się, zabierając ze sobą brudne bandaże i miskę z wodą.

- Zostań tu z nim na noc, na wypadek, gdyby się obudził. Na tym fotelu i tak się lepiej wyśpisz, niż gdybyś miała się ścisnąć tam na górze. Ja będę spała tu obok, w kuchni.

Dianna skinęła głową i opuściła wzrok na ranego. Piers mężczyzny unosiła się i opadała w równym rytmie. Znowu stracił przytomność. Delikatnie ułożyła mu ręce na piersi. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek dowie się, kim jest Solange, którą nieznajomy przyzywał w chwili udręki. Potem z westchnieniem usadowiła się na fotelu. Podwinęła pod siebie nogi i oparła głowę na złożonych na poręczu dłoniach. Słyszała od-

głosy rozmowy w kuchni, to Hester gawędziła z jednym z wartowników. Spoza domu dobiegało monotonne brzęczenie cykad. Dianna była zbyt zmęczona, by bronić się przed snem. Kiedy zapadała się w niebyt, mimowolnie powróciły do niej wspomnienia tego popołudnia. Niezależnie od tego, czy będzie tego żałować, czy nie, musiała przyznać przed samą sobą, że nigdy w życiu nie było jej równie słodko, jak w ramionach Kita.



Do świtu były jeszcze dobre dwie godziny. Kit stał, zadumany. Nie potrafił się zdobyć na to, by zbudzić Dianę. Ciepłe światło świecy otaczało jej twarz złotym blaskiem i nadawało włosom tajemnicze lśnienie. Wokół spokojnie oddychającej dziewczyny zdawało się skupiać wszystko, co dobre i przyjazne. Kit nie pragnął teraz niczego więcej, niż schronić się w jej ramionach przed wspomnieniami dawnych okropności i ponurymi obrazami szaleństwa, jakie rozpętywało się właśnie wokół Plumstead. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma żadnego prawa do pociechy z jej strony. Stracił je przez swoje postępowanie wobec niej. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że kochali się zaledwie kilkanaście godzin temu. Miał wrażenie, jakby od tego spokojnego słonecznego popołudnia, kiedy leżał przy niej w cichej sypialni, minęły wieki.

Daviesowie mieli wiele szczęścia. Ich dom, stajnia i stodoła spłonęły do szczytu, ale wypędzone na pastwisko zwierzęta nie doznały żadnej szkody. Gdyby bracia nie udali się z ranym Francuzem do Plumstead, skończyliby zapewne tak, jak ich sąsiedzi, Barnardowie. Napastnicy zakradli się pod ich dom, skryli w wy-

sokiej kukurydzy i niespodziewanie zaatakowali gospodarzy. Ciała Johna Barnarda i jego trzech synów leżały na podwórzu, jego żona Dorothy i dwie córki przepadły bez śladu. Indianie chętnie brali kobiety w niewolę. Zawsze można było dostać za nie okup lub sprzedać Francuzom. Kit aż za dobrze wiedział, że prawdopodobieństwo odszukania zaginionych kobiet jest niewielkie.

Objechał wraz ze swoim patrolem większość gospodarstw w okolicy. Choć nikt prócz Barnardów nie został napadnięty, zalecił wszystkim ostrożność i radził, aby schronili się w Plumstead. Wielu ludzi wolało pomimo wszystko pozostać w domu, co go zbytnio nie dziwiło. Ostatnie napady w okolicy Wickhamton miały miejsce wiele lat temu i ludzie, a zwłaszcza nowo przybyli, nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa. Niewielu z nich pamiętało wydarzenia, które Kitowi na zawsze wyryły się w pamięci, prześladowały go każdego dnia i - był tego pewny - miały pozostać w jego świadomości i snach już do końca życia.

Była wtedy wczesna jesień. W dzień było słonecznie i ciepło, ale nocą przymrozek ścinał kałuże cieniutką warstwą lodu. Amity Sparhawk spędziła noc w Wickhamton, pomagając odebrać skomplikowany poród. Kit miał jechać następnego dnia po matkę, ale w ostatniej chwili z jakiegoś powodu plany uległy zmianie i zamiast niego pojechał do miasteczka ojciec wraz z najmłodszą córką, Tamsin. Kiedy nie wrócili do kolacji, wy-

jechał im na spotkanie pewny, że zagadali się ze znajomymi.

Nie żywił żadnych złych przeczuc, kiedy galopując do miasteczka, ujrzał nagle ich zwłoki rozrzucone na drodze.

Gdyby pojechał wtedy zamiast ojca... Gdyby wyjechał im wcześniej na spotkanie!

Nikt nigdy nie winił go za to, co się wydarzyło. Pastor kazał mu nawet widzieć w tym dowód łaski Boga, który zechciał zachować go przy życiu. Tylko on w nieskończoność powtarzał sobie, że wszystko mogło wyglądać inaczej. Nieustannie rozpamiętywał wydarzenia tamtego dnia, starając się dociec, dlaczego potoczyły się właśnie tak. Kiedy kłęczał na pustej drodze nad ciałami najbliższych sobie ludzi, coś w nim na zawsze umarło. Wytropił czterech Mohikanów, będących sprawcami tej zbrodni, pojmał ich i oddał w ręce prawa. Gdy patrzył, jak ich wieszano, zrozumiał, że zemsta nie daje prawdziwej pociechy. Usiłował uciec przed cierpieniem w pracę, karczował lasy, ściagał nowych osadników, wznosił tartaki i młyny, wszystko to niewiele pomagało. Nic nie mogło ukoić jego cierpienia ani powetować straty.

Jak wyjaśnić te sprawy Diannie?

Nie potrafił oderwać od niej wzroku. Patrzył na nią ze świadomością, że bezpowrotnie upływają bezcenne chwile, jedyne, jakie będą mieli dla siebie w ciągu najbliższych dni lub nawet tygodni, a jednak nie mógł się zdobyć na to, by ją obudzić. Jeżeli nawet znajdzie słowa, którymi

mógłby jej wszystko opowiedzieć, to czy ona go zrozumie?

Zanim jeszcze otworzyła oczy, wiedziała, że Kit jest obok niej. Gdy wreszcie uniosła ciężkie powieki i zobaczyła jego zarośniętą, zakurzoną, pełną nieopisanego smutku twarz, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Sparhawk miał zaczerwienione oczy, a usta zaciśnięte w wąską linię. Nie wyglądał na człowieka, który miałby coś dobrego do powiedzenia.

- Musimy porozmawiać - zaczął.

Potrząsnęła wojowniczo głową.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

Czy to naprawdę musi tak wyglądać? pomyślał, śmiertelnie znużony. Wiedział już, że gdy Dianna jest w takim nastroju, nie sposób jej przekonać. Pomimo to postanowił spróbować.

- Dianno, kochanie, żałuję...

- Obejdę się bez twego żalu i bez ciebie! - ucięła stanowczym głosem. - Mam dosyć własnych kłopotów i nie życzę sobie, byś kiedykolwiek wspominał o wczorajszym dniu!

- Dianno...

- Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! - Pode-rwała się z fotela i chwyciła bandażę. - Muszę opatrzyć rannego i mam nadzieję, panie Sparhawk, że nie będzie mi pan w tym przeszkadzał.

Kit westchnął i potarł czoło. Co mógł jej powiedzieć przy tym półżywym Francuzie? Gdyby nie był tak zmęczony i przybity, roześmiałby się z całej sytuacji, ale w tej chwili po prostu nie miał na to siły.

- Powiedział coś ciekawego?

- Nic - odparła krótko.

Dianna zacisnęła zęby i zmieniała opatrunek na głowie Francuza, modląc się w duchu, by Bóg nie pozwolił jej zemdleć w obecności Kita. On zaś patrzył na nią z prawdziwym podziwem. Jej palce były sprawne i pewne, jakby była urodzoną pielęgniarką. Ranny poruszył się niespokojnie i Dianna odezwała się do niego po francusku. Niezrozumiałe słowa wydały się Kitowi przejmująco zmysłowe i uwodzicielskie. Kiedy skończyła i mężczyzna znów zapadł w odrętwienie, nie umiał powstrzymać się przed zadaniem jej pytania.

- Co mu powiedziałaś? - odezwał się niecierpliwie.

- Nikomu nie ufasz, prawda? Nie powiedziałam mu nic takiego, czego musiałabym się wstydzicie.

- Niech to diabli porwą, Dianno. Czterech osadników nie żyje, kobiety i dzieci zostały uprowadzone, a ty chcesz ode mnie...

- Pułkownik Sparhawk! - rozległ się zachrypnięty męski głos i ktoś bezceremonialnie załomotał do drzwi. - Poślaniec do garnizonu w Northfield gotów jest do drogi.

Kit jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł do kuchni pełnej mężczyzn. Był wściekły. Dookoła ginęli ludzie, jego podwładni czekali na niego przekonani, że przepytuje Francuza o okoliczności napadu, a on, jak idiota, próbuje dogadać się z kobietą, która ma w nosie wszystko, prócz własnych humorów.

- Gdzie Eleazer? Kopie listu trzeba wysłać jeszcze do lorda Bellomara, do fortu w Albany i do New Haven. Jeżeli to znowu Sagomutukowie, to trzeba ostrzec mieszkańców innych osad przed niebezpieczeństwem napaści.

- Eleazer pojechał do Deerfield, pułkownikowi - odpowiedział niepewnym głosem John Davies.  
- Sam go pan tam wysłał.

Kit zaklął i opadł ciężko na stojące za stołem krzesło.

- Po jakie лихо to zrobiłem? - rzucił w powietrze. Kątem oka zauważył przechodzącą wśród mężczyzn Dianę z cebrem w ręku. - Eleazer to jedyny człowiek, który potrafi wyraźnie pisać. Trudno, znowu będę musiał pisać sam.

Z westchnieniem sięgnął po pióro i papier.

- Ja mogę przepisać listy - odezwał się kobiecie głos. - Nie trzeba męskiej siły, żeby utrzymać w ręku pióro.

Wszyscy obejrzeni się na dziewczynę. Kit uniósł głowę, przyjrzał się Diannie spod ściągniętych brwi i popchnął w jej kierunku przybory do pisania.

- Potrzebne są trzy kopie, jedna do lorda Bellomara do Bostonu, dwie do gubernatorów Connecticut i Nowego Jorku. Napisz wszystko wyraźnie, bo zależy mi na tym, żeby ich wysokość mogły odczytać każde słowo.

Mężczyźni podjęli przerwane rozmowy, Kit opróżnił szklanek jabłecznika, którą postawiła przed nim Hester. Wiedział, że powinien coś zjeść, zanim wyruszy w drogę do najdalszych gospo-



darstw na swoim terenie, ale zbyt niepokoił się o los zamieszkujących je ludzi, żeby móc spokojnie usiedzieć na miejscu. Jeszcze tylko na moment zatrzymał się w drzwiach i rzucił okiem na Dianę pochyloną nad listami, które miała przepisać. Może to i dobrze, że je przeczyta, pomyślał. Być może wtedy wszystko zrozumie.

Dianna usiłowała się skupić na czytaniu, ale nie potrafiła zapanować nad nerwami i litery skakały jej przed oczami. Miała ochotę zabrać Mercy, wrócić do domu i nigdy więcej nie widzieć Kita na oczy. Potrzebowała samotności, a tymczasem w Plumstead czuła się jak więzień. Obecność Sparhawk w tym domu wydawała jej się równie przytłaczająca, jak groza napadu w mrocznym lesie. Ani słowem nie podziękował jej, że podjęła się przepisania jego listów, nie mówiąc już o tym, iż mógłby się z nią pożegnać! A wszystko tylko dlatego, że nie chciała słuchać jego kręctw. Że też mogła wierzyć w miłość ze strony takiego mężczyzny, ba, pragnąć jej!

Pismo Kita było takie samo, jak on, śmiałe i męskie. Gdy tylko przezwyciężyła irytację i zagłębiła się w treść listów, szybko zapomniała o swoich problemach. Kit w jasny i zwięzły sposób opisał znalezionego przez Daviesów Francuza, śmierć Barnardów, uprowadzenie kobiet, spalone gospodarstwa. Wszystko to, pisał w zakończeniu, mogło zapowiadać początek długiego, krwawego konfliktu.

- Czy to prawda, Hester? - zapytała stojąca obok kobietę, patrząc na nią z przerażeniem.

- Jeżeli Kit tak napisał, to znaczy że prawda - brzmiała odpowiedź. - Biedna Dorothy. Zawsze była taka niespokojna, a teraz jeszcze spadł na nią ten cios. Oby Bóg pozwolił jej wrócić do nas z dziewczętami!

- Kiedy gubernator przyśle żołnierzy, o których prosi Kit, to na pewno ją uratują!

Hester pokręciła głową.

- Nie ma nic pewnego na tym świecie, dziewczyno. To ogromny kraj i gubernator ze wszystkich stron dostaje prośby o pomoc. Jedna biedna rodzina w Wickhamton niewiele znaczy dla polityków z New Haven. Jeśli nawet żołnierze przyjadą, po tych nieszczęsnych kobietach nie będzie już śladu.

- A czy Kit ze swoimi ludźmi nie może dogonić Indian?

- Gdyby mógł, już dawno by to zrobił! Ale czerwonoskórzy mają przewagę kilkunastu godzin i potrafią maszerować przez las, nie zostawiając śladów. Pościg za nimi mógłby trwać tygodniami. Ludzie nie mogą sobie na to pozwolić, mają mnóstwo pracy w swoich gospodarstwach, zaś Kit... Trudno sobie w ogóle wyobrazić, że to wszystko mogłoby funkcjonować bez niego.

- Co Indianie robią z kobietami? - spytała Dianna. Znów przypomniał się jej napotkany w lesie Attawan. Co by się stało, gdyby trafiły wówczas na kogoś innego?

- Jeżeli nie zabijają ich na miejscu, to wloką ze sobą aż do Montrealu i sprzedają Francuzom,

którzy zmuszają biedaczki, aby wyrzekły się wiary i zostały papistkami. Zdarza się też, że zatrzymują je dla siebie i żyją z nimi w grzechu. Wielki Boże, sama nie wiem, co gorsze - zakończyła Hester z westchnieniem.

Dianna nie zadawała jej więcej pytań. Pochyliła się nad białą kartką i zaczęła pisać. Hester patrzyła przez chwilę na wychodzące spod pióra równiutkie litery.

- Ty naprawdę umiesz pisać! Czytać i pisać, jak prawdziwy dżentelmen - odezwała się wreszcie z podziwem. - Z twoim pisaniem i francuskim, i z tym wszystkim, co jeszcze potrafisz, Kit mógłby mieć z ciebie więcej pożytku, niż ze wszystkich innych kobiet w okolicy razem wziętych.

Ale Dianna pamiętała spojrzenie, jakim obrzucił ją, gdy podjęła się przepisania listów i nie miała wątpliwości, że Sparhawk miał dla niej tylko jedno zajęcie. Takie, które nie przyniosłoby wiele pożytku ani jej, ani jemu.

Przez następne dwa tygodnie Kit raz po raz wracał myślami do Dianny. Galopując przez rozległe łąki, przedzierając się wśród mrocznych lasów, z najwyższym trudem zmuszał się do myślenia o czymkolwiek innym. Nieustannie powracał do niego jej uśmiech, głos, widok rozpuszczonych na ramiona włosów. Odzyskując panowanie nad myślami, przeklinał swoją głupotę. Na jego barkach spoczywał los zbyt wielu ludzi, by mógł zachowywać się jak zakochany uczeń.

Przecież gdy się zamyślał, tracił czujność i z łatwością mógł paść ofiarą czerwonoskórych.

Wszystko to była, oczywiście, jej wina. Bóg mu świadkiem, że chciał z nią porozmawiać. Nigdy wcześniej nie dopuścił się czegoś takiego i gdyby wiedział, jak się sprawy mają, nie zrobiłby tego i teraz. Kiedy chciał podziękować jej za przepisanie listów, odburknęła mu coś niewyraźnie, nie zwracając najmniejszej uwagi na stojących wokół ludzi. Gdy zajrzał do swoich rękopisów, zauważył, że ostentacyjnie poprawiła jego błędy. Ilekroć starał się podnosić na duchu koczujące w Plumstead kobiety, jedna Dianna nigdy nie odpowiadała na jego żarty. Zachowywała się wobec niego z dystansem, a jednak raz po raz pojawiała się gdzieś w pobliżu, kusząc go każdym ruchem swojego zgrabnego, zwinnego ciała. Chwilami pragnął dziewczyny tak wściekle, że miał ochotę porwać ją pomiędzy ludzi, zanieść w ramionach do stodoły, rzucić na siano i kochać się z nią dopóty, dopóki znów nie będzie krzyczeć i wić się pod nim z rozkoszy. Jak to możliwe, zadawał sobie pytanie, że z taką łatwością oddała mu się ten jeden jedyny raz, a teraz znów nie zwraca na niego najmniejszej uwagi?

Być może sukces w łowach na morderców Barnardów poprawiłby mu samopoczucie, a tymczasem przeczesywanie lasów i nieustanne patrolowanie okolicy na nic się zdały. Dzień w dzień wracali do Plumstead o zmierzchu, zmęczeni i z pustymi rękami. Nie byli nawet w stanie dojść, jakie plemię dokonało napadu. Zabójcy uderzyli

raz i przypadli bez śladu. Nie sposób było ustalić ani kim byli, ani jakie motywy popchnęły ich do zbrodni.

Przez jakiś czas miał nadzieję, że ranny Francuz wyjaśni zagadkę. Ten jednak nigdy nie odzyskał przytomności na tyle, żeby można się było od niego czegoś dowiedzieć. Kiedy Hester powiedziała Kitowi, że zaczął gorączkować, stało się jasne, iż ostatnia nadzieja przypadła. Tylko Dianna nie straciła wiary w to, że ranny wróci do zdrowia. Całymi godzinami siedziała przy nim, przemawiając łagodnie w jego ojczystym języku i cierpliwie zmieniając opatrunki. Jej zachowanie dodatkowo irytowało Kita, który był pewny, że Francuz był równie grubiańskim i odpychającym typem, jak większość jego rodaków. Jego złość była tym większa, że sam był autorem pomysłu, by Dianna zaopiekowała się ofiarą napadu. Zazdrość o konającego mężczyznę była zupełnie groteskowa, ale fakt, że zdawał sobie z tego sprawę, w niczym nie poprawiał jego nastroju.

Pewnego wieczora siedział przy stole, popijając piwo z cynowego kufła i obserwując przez uchylone drzwi zmieniającą opatrunki dziewczynę. Dianna zaczęła nucić coś po francusku. Złote światło świecy opromieniało jej postać, przemieniając ją jakby we wróżkę z bajki, a niezrozumiała pieśń wydała się Kitowi tak zmysłowa i uwodzicielska, że nie umiał opanować złości.

Wielkimi krokami podszedł do dziewczyny

i brutalnie chwycił ją za ramię. Zaskoczona, uniosła ku niemu twarz.

- Czego chcesz? Nie masz żadnego powodu, żeby mnie tak szarpać! - zaczęła ostro, patrząc na niego roziskrzonymi gniewem oczami.

- Chciałaś, żebym cię nauczył strzelać z muszkietu - odparł. Jestem gotów.

- To czemu wtedy...

- Wszystko się zmieniło - uciął krótko.

Pociągnął ją za sobą, tylko na moment przystając w kuchni, by porwać strzelbę, proch i kule. Kiedy znaleźli się przed domem, Dianna natychmiast zaczęła się wrywać, ale trzymał ją z taką siłą, że jej wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie. Poddała się i ruszyła za nim już bez oporu.

- Mieliśmy się trzymać blisko domu! - wrzasnęła wściekłym tonem. - Takie były pańskie rozkazy, pułkowniku Sparhawk!

Kit, nie zwracając uwagi na jej słowa, ciągnął ją za sobą w stronę niewielkiego brzeźniaka. Księżyc w pełni oświetlał łąkę. Zatrzymali się w cieniu drzew.

- Zwariowałeś - powiedziała, odrzucając z twarzy włosy, które rozsypały się podczas szamotaniny.

Oboje ciężko oddychali. Ze złości i z napięcia, jakie rodziła w nich wzajemna bliskość. Przez dwa tygodnie Diannie udawało się ukrywać, nawet przed sobą samą, uczucia, jakie żywiła wobec Kita, teraz jednak sytuacja się zmieniła. Bez obecności innych ludzi, zapewniających bezpieczny

dystans, sam na sam z Kitem, poczuła się nagle, jakby stała nad przepaścią, zarazem przerażającą i pociągającą.

- Strzelać tu po ciemku, podczas gdy w lesie za naszymi plecami mogą się czaić czerwonoskórczy, to szaleństwo! Ja wracam!

- Nigdzie nie pójdziesz - odpowiedział twar- do i objął ją ramieniem.

Podczas gdy Dianna nadaremnie usiłowała wyswobodzić się z żelaznego uścisku, Kit pod- sypał prochu i lekko ugniół go palcem.

- Popatrz - odezwał się najspokojniej w świe- cie. - Tyle, nie więcej, bo w przeciwnym razie wybuch roztrzaska zamek.

Zamknął zamek, oparł broń kolbą o ziemię i sypnął prochu do lufy. Następnie umieścił w niej przybitkę i kulę, wyjął umocowany pod lufą wycior i wprawnymi ruchami wepchnął po- cisk na miejsce. Pomimo złości Dianna nie mogła oderwać wzroku, zafascynowana jego wprawnymi, oszczędnymi ruchami. Ręce Kita poruszały się lekko, jakby to był jakiś dziwny balet i dziewczyna nie mogła odpędzić od siebie wspomnienia chwil, kiedy te same palce równie lekko i wpraw- nie tańczyły po jej nagim ciele.

Ładowanie muszkietu było zajęciem, z którym Kit poradziłby sobie nawet po najdłuższej pija- tyce lub w gorączce. Jego ręce same wiedziały, co robić, i tylko to ratowało go teraz przed kom- promitacją, bo swoje reakcje na obecność Dianny porównać mógłby tylko do połączonego działa- nia gorączki i pijaństwa. Kręciło mu się w gło-

wie, a przez ciało przepływały fale dreszczy. Drobne ciało dziewczyny tak cudownie pasowało do jego ciała, że marzył, by na zawsze zostali złączeni. Włosy tak pachniały ziołami i polnymi kwiatami, że Kit z trudem bronił się przed odruchem, aby zanurzyć w nich twarz i zapomnieć o całym świecie. Puścił Dianne i wręczył jej muszkiet, a następnie wskazał na zwieszający się o kilkadziesiąt kroków przed nimi gruby konar.

Dianna przypomniała sobie, jak kiedyś ojciec pozwolił jej wystrzelić z myśliwskiej flinty. Ku rozbawieniu wszystkich obecnych przy tym wydarzeniu, siła odrzutu przewróciła ją wtedy na ziemię. Muszkiet był dłuższy i cięższy, więc bała się, że efektem strzału będzie przede wszystkim wybuch wesołości Kita. Jego ciepły oddech, wyraźnie wyczuwalny na włosach, wcale nie pomagał Diannie w koncentracji. Wciągnęła głęboko powietrze, zaparła się mocno nogami i wypaliła.

Huk wystrzału ogłuszył ją na moment, a siła odrzutu dosłownie wcisnęła w stojącego za nią mężczyznę. Ten nawet nie drgnął. Konar zakochał się, posypały się z niego liście i odłamki kory. Dianna odwróciła się i spojrzała na Kita dumnym spojrzeniem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś dziewczyną? - zapytał łagodnym tonem.

Dziewczyna natychmiast zeszywniała, całe radosne podniecenie ulotniło się z niej w mgnieniu oka.

- Co za różnica? - odpowiedziała zaczepnie.  
- Dziewica czy nie, i tak nie znaczą dla ciebie



więcej, niż którakolwiek z twoich dziwek. Jeszcze jedna biedaczka, zakochana po uszy w pułkowniku Sparhawk.

- Boże wielki - mruknął Kit z niedowierzaniem. Nie tego się spodziewał, ale, z drugiej strony, czy Dianna kiedykolwiek zachowała się w sposób przewidywalny?

- Czy dlatego, że jestem tylko kobietą, słabym, marnym stworzeniem, nie masz nawet zamiaru bronić się przed moimi zarzutami? - zapytała łamiącym się głosem, czując, że napięcie, w jakim żyje od dwóch tygodni, bierze górę nad jej dumą. - A co powiesz o Patience Tucker i jej dziecku? Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Gdybyś była mężczyzną - powiedział lodo-watym tonem - drogo zapłaciłabyś za wygadywanie takich bzdur.

Niczego w życiu Dianna nie pragnęła tak mocno, jak tego, żeby Kit otwarcie zaprzeczył oskarżeniom. Dlaczego nie powiesz mi, jaka jest prawda?, krzyczała w myślach. Błagam cię, powiedz, że się mylę! Poczowała, że łzy napływają jej do oczu. Otarła je grzbietem dłoni. - A co powiesz o Mercy? Przecież ona też jest twoim dzieckiem!

Nagle przestała panować nad sobą i wybuchnęła głośnym szlochem. Nie miała na co czekać! Upuściła na ziemię muskiet i odwróciła się, chcąc wracać do domu, gdy Kit chwycił ją w ramiona. Sam nie wiedział do końca, dlaczego to zrobił. Wyrósł w domu pełnym kobiet i nie przejmował się babskimi płaczami. Ale w zachowaniu

Dianny wyczuł rozpacz, która wstrząsnęła nim do głębi.

- Posłuchaj mnie, Dianno! - niemal krzyknął.  
- Posłuchaj mnie!

Potrząsnęła głową i uwięziona w jego ramionach, uparcie patrzyła w ziemię. Chwycił ją palcami pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Mąż Patience był marynarzem na „Prosperity”. Kiedy wypadł za burtę podczas sztormu, na mnie, jako właściciela statku, spadł obowiązek powiadomienia żony o jego śmierci. Nigdy w życiu z nią nie flirtowałem, przez myśl mi to nie przeszło. A jeśli idzie o Lucy Wing, to, na miłość boską, ona była żoną jednego z moich najbliższych przyjaciół! Wiem, że przyjechałaś tu ze świata, w którym takie rzeczy są na porządku dziennym, ale ja nie tknąłbym Lucy, nawet gdyby stanęła przede mną naga, jak ją pan Bóg stworzył!

- Ale Asa mówi...

- W takim razie kłamie - odpowiedział krótko. - Asa nigdy nie lubił ani Lucy, ani mnie. Uważał, że odbieramy mu syna, tak jak teraz sądzi, że chcę zabrać mu Mercy. Kocham tę małą, ale czy w tym jest coś złego?

Puścił ramię dziewczyny i łagodnie ujął jej twarz w ogromne, twarde dłonie. Patrzył Diannie prosto w oczy, gładząc jej policzki szorstkimi kciukami.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem święty i pewno niejedno mogłabyś usłyszeć na temat Jonathana i mnie, ale uwierz mi, że nie uwiodłem ani Lucy, ani Patience. I nie mam żadnych ba-

stardów, szafuję swoim nasieniem oszczędniej, niż mogłabyś sądzić!

Dianna zarumieniła się na jego bezceremonialne słowa, ale czuła, że otrzymała to, na co zasłużyła. Wpatrywała się w Kita przez łzy, modląc się w duchu, by jego słowa były prawdziwe.

Mężczyzna zauważył nieufność w jej oczach i westchnął.

- Wierz, w co chcesz, ale przysięgam ci na wszystko, co dla mnie najświętsze, że nie kłamię.  
- Nigdy jeszcze nie słyszała, by mówił równie poważnym głosem. - Powiedz teraz, dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że jesteś dziewczicą?

- Myślałam, że nie muszę - wyszeptała z trudem. - Wydawało mi się, że jesteś inny. Sądziłam, że nie uwierzyłeś memu wujowi, tylko mnie. Ale się myliłam, prawda? Wierzysz mu?

Mówiła bez złości, ale każde jej słowo zapadało boleśnie w sumienie i w serce Sparhawk.

- Nie kochanie, już nie - odpowiedział smutnym tonem. - Nie mam prawa spodziewać się, że kiedykolwiek zasłużę na twoje przebaczenie.

Słuchała go z niedowierzaniem. Poczuła, że Kit chce cofnąć ręce.

- Kit - przytrzymała jego dłonie swoimi. - Żadne z nas nie jest bez grzechu, ale, na szczęście, żadne z nas nie jest jeszcze potępione na wieki. Nawet Bóg wybacza skruszonym grzesznikom.

Twarz Kita rozjaśniła nieoczekiwana radość. Pocałował ją delikatnie w usta.

- Kocham cię, Dianno Grey - powiedział cicho i zdał sobie sprawę, że w tych prostych sło-

wach kryła się cała tajemnica czarodziejskiego wpływu, jaki dziewczyna od dawna na niego wywierała. - Gdybyś wiedziała, jak cię kocham!

- Nie więcej, niż ja ciebie, Kit! Mój jedyny, mój najdroższy! - odpowiedziała i teraz wiedziała już, że mu wierzy i że gdzieś w najgłębszym zakamarku serca zawsze mu wierzyła.

Ich usta połączył kolejny pocałunek. Tym razem głęboki, namiętny, głodny. Dianna przylgnęła do Kita całym ciałem i syciła się pocałunkami, których tak bardzo pragnęła. Ogarnął ją ramionami, a ona zapomniała o całym świecie. Pochylił się, wziął dziewczynę w ramiona i poniósł w głąb brzeźniaka. Gdy złożył ją pośród liści, nie puściła jego szyi i okryła go pocałunkami. Jej wilgotne usta wędrowały po twarzy Kita, po jego szyi, ramionach i piersi. Przewróciła go na plecy i ułożyła się na nim. Jej piersi przylgnęły do jego torsu, usta do ust, biodra do bioder. Dianna czuła wyraźnie przez ubranie, jak męskość Kita przeży się, gotowa do miłości.

Gładził jej plecy, pośladki, uda. Powoli unosił suknie i przesuwiał dłońmi po nagim ciele. Gdy rozchyliła usta, wsunął wyprężony język między gorące wargi. Przeniósł ręce wyżej i uwolnił piersi Dianny z obcisłego kaftanika. Pieścił je delikatnie przez płótno koszuli i czuł, jak sutki dziewczyny tężeją pod pieszczotą jego palców. Westchnęła głośno, nie odrywając od niego ust i wczepiła się palcami w jego włosy. Kit znów przewędrował dłońmi plecy dziewczyny i niecierpliwie zadarł jej spódnicę. Dianna odruchowo

przesunęła się wyżej, aby mógł w nią wejść, a gdy to nastąpiło, wydała jęk rozkoszy. Mężczyzna zacisnął palce na biodrach dziewczyny, a ustami chwycił pierś. Pieszczota jego ust prze-filtrowana przez cieniutki, mokry materiał sprawiła, że ciało Dianny przeszło tysiąc cudownych dreszczy. Oparła ręce na ramionach Kita i poddała się rytmowi narzuconemu przez jego ręce. Unosiła się i opadała w takt wspólnych westchnień i głośnych oddechów. Byli tak spragnieni siebie, że oboje szybko dotarli do mety. Rozkosz, która przeniknęła kochanków, miała w sobie słodczy całkowitego spełnienia, nasyciła ich zmysły i dała poczucie całkowitego zjednoczenia. Dianna opadła na Kita i przez dłuższą chwilę leżeli bez ruchu.

- Kocham cię, kocham cię, Dianno - powtarzał, łagodnie gładząc ją po włosach. - Najchętniej przeleżałbym tu z tobą całą noc, aż do świtu, kochając się raz po raz i zawstydzając księżyc.

Roześmiała się z jego słów, ale w głębi duszy marzyła o tym samym. Podniosła głowę i spojrzała na twarz Kita. Po raz pierwszy od tyłu dni był naprawdę spokojny. Zamknął oczy i powoli, równomiernie oddychał. W pewnym momencie pomyślała, że usnął.

- Ja też cię kocham, Kit. Kocham cię przy księżycu i w słońcu, na morzu i wśród łąk - powiedziała cicho i pocałowała go lekko w usta.

- Mhmm... - mruknął i ku jej zaskoczeniu otworzył oczy. - Pogadam z Asą, zapłacę mu

dziesięć gwinei i skończymy z tym całym przymusowym osiedleniem.

Dianna położyła mu palec na ustach.

- Nic nie mów. Nic mi nie obiecuj. Niczego od ciebie nie chcę tej nocy. Wystarczy, że mnie kochasz.

Kit objął ją ramionami, modląc się w duchu, by jej słowa okazały się prorocze. Czego bowiem można było być pewnym na tej równie hojnej, jak okrutnej ziemi?

- Ale nie możemy tu zostać przez całą noc, prawda?

- Nie możemy, niestety - uśmiechnął się do niej szeroko i Dianna pomyślała, że nigdy w życiu nie widziała równie pięknego mężczyzny. Wyjął spośród jej włosów zabłąkany liść. - Chodź, musimy wracać.

Podnieśli się i wśród pocałunków i przekomarzania doprowadzili do porządku stroje. Kit objął Dianę ramieniem i ruszyli przez łąkę w stronę domu. Trawa była już mokra od rosy. Nagle Sparhawk roześmiał się i zawrócił w stronę lasu.

- No i masz, co dobrego wynika z miłości? Niewiele brakowało, a zostawiłbym dzikusom muszkiet, proch i kule.

Mimo że powiedział to żartobliwym tonem, oboje natychmiast wrócili do rzeczywistości. Nastrój radości prysł bezpowrotnie. Szli, trzymając się za ręce, ale gdy znaleźli się w zasięgu wzroku strażników, Dianna wysunęła swoją dłoń z dłoni Kita, a on nie zaprotestował.

- Pułkowniku! Pułkowniku! - krzyknął jeden z mężczyzn, gdy tylko podeszli bliżej. - W całym domu jest straszny rwetes z powodu tej dziewczyny! Nigdzie jej nie ma, a Francuz umiera!



Klękając przy łóżku Francuza, Dianna natychmiast dostrzegła zmianę w jego wyglądzie. Choć nigdy jeszcze nie widziała umierającego człowieka, to jednak nie miała żadnych wątpliwości, że jest świadkiem ostatnich chwil trapera. Sprawiał wrażenie, jakby zapadł się w sobie. Oddychał wolno, z wyraźnym wysiłkiem, a jego skóra nabrała woskowożółtej barwy. Już teraz bardziej przypominał trupa, niż żywego człowieka.

- Nie dożyje świtu, dziewczyno - odezwała się Hester, kładąc rękę na ramieniu Dianny. - Zrobiłaś dla niego wszystko, co było w twojej mocy, ale Bóg widać zapragnął powołać do siebie duszę tego biedaka.

- Jak to możliwe? - odpowiedziała Dianna nie swoim głosem. - Nie wiem nawet, jak miał na imię.

Słyszając jej pełen bólu głos, stojący w drzwiach Kit zastanawiał się, w jaki sposób mógłby pomóc dziewczynie w pogodzeniu się z nieuchronnym wyrokiem losu. Nie był już zazdrosny o francuskiego trapera, czuł żal z powodu niepotrzebnej, bezsensownej straty. Tyle razy był świadkiem śmierci, a jednak ciągle nie umiał się z nią pogodzić.



Francuz jękiem odpowiedział na głos Dianny i z wyraźnym wysiłkiem otworzył oczy.

- To ty, Solange? Jesteś tu - odezwał się z ulgą, unosząc odrobinę głowę.

- Śpij spokojnie - odpowiedziała dziewczyna po francusku i lekko dotknęła rozpalonego policzka mężczyzny.

- Powiedz Francois, że go widziałem - powiedział z trudem. - Próbował się ukryć, łąjdak, ale poznałem jego twarz!

Dianna pochyliła się niżej, przejęta niespodziewanym wyznaniem konającego.

- Gdzie go widziałas? Powiedz!

- Chował się wśród drzew... ale go poznałem. To tchórz... Przekłety Robillard!

Słyszac znajome imię, Kit podszedł do łóżka.

- Co on mówi, Dianno? - zapytał niecierpliwie. - Boże wielki, jeśli Robillard maczał w tym palce...

- Mówi, że gdy go napadli, ujrzał Robillarda, kryjącego się wśród drzew - odpowiedziała, nie spuszczać wzroku z rannego.

- Spytaj go, kim byli ci inni!

W tym momencie jednak głowa Francuza opadła na poduszkę, a z jego nagle zwiotczałych rysów zniknęły ostatnie ślady życia.

- Żegnaj, przyjacielu - szepnęła po francusku Dianna, podczas gdy Hester zamknęła powieki zmarłego. - Żegnaj.

Pochowali go następnego ranka. Upał nie pozwalał dłużej zwlekać. Tylko Dianna i Kit odpro-

wadzali zmarłego na ostatni spoczynek. Niektórzy, jak Hester, nie chcieli wziąć udziału w pogrzebie papisty. Inni byli zbyt zajęci pakowaniem dobytku i przygotowaniami do drogi. Kit bowiem oznajmił wszystkim, że w jego przekonaniu niebezpieczeństwo jest chwilowo zażegnane. Tym niemniej opuszczającym Plumstead wozom towarzyszyli żołnierze z garnizonu w Northfield, którzy mieli patrolować okolicę.

Teraz, gdy wiadomo już było, kto stał za napadami, Kit uznał, że przyszła pora na przejęcie inicjatywy. Nie umiał się jednak zdecydować, co ma zrobić. Wezwanie większej liczby żołnierzy i napadnięcie w odwecie na francuskich osadników nie miało sensu. Wywołałoby jedynie kolejny atak ze strony Francuzów i sprzymierzonych z nimi Indian, nowy rozlew krwi i nowe cierpienia. Jednak zignorowanie napaści też nie było dobrym wyjściem. Bezkarność zachęciłaby bowiem napastników do ponowienia ataków, mordów i porwań.

Jasne było jedno: Robillard chciał ziemi Sparhawków. Kit nie miał wątpliwości, że zamiarem Francuza jest wypędzenie angielskich osadników. Później zapewne będzie chciał uderzyć na osłabione Plumstead. Oskalpowany traper najprawdopodobniej miał po prostu pecha i przypadkowo znalazł się w pobliżu gospodarstwa Daviesów w momencie napaści. Kit zastanawiał się, czy wynajęci przez Robillarda zabójcy byli Francuzami czy Indianami. W tym drugim przypadku mogło się okazać, że jego przeciwnik igra z og-

niem. Manipulowanie czerwonoskórymi nie było wcale bezpiecznym zajęciem, łatwo bowiem mogło doprowadzić do wojny w trudnej do przewidywania skali.

Przypadkowi grabarze usypali mogiłę, ustawili prosty krzyż i z zarzuconymi na ramię szpadlami ruszyli w kierunku domu. Dianna położyła na grobie naprędcę upleciony wieniec i zmówiła po francusku modlitwę za duszę zmarłego. Nie płakała, lecz twarz miała skupioną i poważną. Kit widział, że śmierć trapera poruszyła ją bardziej, niż miała ochotę przyznać. Gdy wracali, przytulił ją w milczeniu. Była taka drobna, niemal krucha. Ciągle miał w pamięci ubiegłą noc i pieszczoty pod bladym obliczem księżycy. Jego dłoń niemal mimo woli zsunęła się na biodra dziewczyny i przyciągnęła ją bliżej. Dianna odwróciła ku niemu zaskoczone spojrzenie.

- Kusisz mnie każdym swoim ruchem, dziewczyno - odezwał się zachrypniętym z podniecenia głosem. - Mam ochotę tu, na środku drogi, pokazać ci, jak niebezpieczne są rezultaty takiego postępowania.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Jak to się dzieje, zadała sobie pytanie, że Kit potrafi jednym dotknięciem obudzić jej zmysły?

- Wobec tego spotkajmy się wieczorem w brzeźniaku - odparła. - Pokażesz mi wszystkie niebezpieczeństwa, jakie wynikają z każdego mego ruchu.

Patrząc na jej zarumienioną lekko twarz, Kit z trudem powstrzymał chęć przyciągnięcia jej do

siebie i obsypania pocałunkami. Nagle przyszło mu do głowy, że Dianna, która tak się przejmowała jego domniemanymi dziećmi, sama przecież może być w ciąży. W pierwszej chwili poczuł po prostu radość. Zaraz potem zdał sobie sprawę, że ojcostwo oznaczało obowiązki. A przede wszystkim obowiązek zapewnienia najbliższemu bezpieczeństwu. Zrozumiał, że musi rozstrzygnąć wreszcie swój stary spór z Robillardem.

- Nie, kochanie, nie dzisiaj. Teraz będę cię musiał pożegnać - odezwał się i zaraz poczuł, że przemówił zbyt gwałtownie i za szorstko.

- Muszę znaleźć Robillarda - dodał, patrząc w zdumione oczy Dianny. - Wiem już, że w tym wszystkim chodzi o mnie i o moją ziemię. Nie ma innego wyjścia, trzeba mu raz na zawsze dowieść, że nie ma do niej żadnych praw, choćbym nawet miał jechać w tym celu do Quebecu.

- Pojedziesz z żołnierzami?

- Nie, nie mam zamiaru dać mu najmniejszego pretekstu do okazania braku gościnności. - Żadne z nich nie zaśmiało się z żartu, którym Kit próbował rozładować napięcie. - Wezmę tylko Attawana, jeżeli spotkam go po drodze. Nikogo więcej.

Dianna wyswobodziła się z jego objęć.

- Ze wszystkich głupich pomysłów, o jakich w życiu słyszałam...

- Całe swoje życie przeżyłem na tej ziemi. Znam ją jak własną kieszeń.

- Nie o to mi chodzi. Masz zamiar oddać się w ręce człowieka, który niczego nie pragnie bar-

dziej, niż tylko twojej śmierci. Zamierzasz postępować jak rycerz wobec podstępного mordercy, który z zasadzki napada na spokojnych ludzi?

Machnęła ręką w stronę grobu, który właśnie zostawili za sobą.

- Pomyśl tylko o tym, co zrobił z własnym rodakiem! Sądzisz, że ciebie potraktuje inaczej, tylko dlatego że oddasz się, bezbronny, w jego ręce?

- Nie rozumiesz, że trzeba to jakoś zakończyć? Trzeba położyć kres nienawiści! Inaczej nigdy nie będzie tu spokoju, Dianno. To nie jest tylko sprawa ziemi, to kwestia życia ludzi, których tu ściągnąłem. I twojego także. - Pragnął wypowiedzieć jakoś przepełniające jego serce uczucia, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. - Kocham cię, Dianno - zakończył więc po prostu.

- Dziwny znalazłeś sobie sposób, żeby wyrazić swoją miłość, Kit!

- Dianno, posłuchaj mnie...

- Nie, to ty posłuchaj mnie! Chcesz narazić życie dla próżnej ambicji! Gotów jesteś zginąć tylko po to, żeby ludzie kiwali głowami nad twoim grobem, pełni podziwu dla bohaterskiego Christophera Sparhawka. Rzeczywiście, nadzwyczajny pomysł! - Kit chciał ją chwycić w ramiona, ale się wyrwała. - Czy nie rozumiesz, że przez cały czas, kiedy siedziałam przy tym biedaku, myślałam o tym, co bym zrobiła, gdybyś to ty tak leżał, nieprzytomny i z dnia na dzień bliższy śmierci?

Głos Dianny załamał się nagle.

- Nienawidzę tego kraju! - krzyknęła, szlochając bezsilnie. - Nienawidzę tego, że człowiek,

żeby przeżyć, musi się tu stać dziką bestią! Nie-  
nawidzę nieustannej walki i przelewu krwi! Nie-  
nawidzę samej siebie za to, że tu teraz płaczę, za-  
miast pozwolić ci jechać na złamanie karku!

Jeszcze raz chwycił ją w ramiona, lecz znów  
mu się wyrwała, odskoczyła i popatrzyła na nie-  
go przez łyzy.

- Zawsze jesteś taki sam, Kit. Wszystko chcesz  
zrobić po swojemu, z niczym i z nikim się nie  
liczysz. Ale nie sądz, że ci się to uda z Robillar-  
dem! I nie sądz, że ci się to uda ze mną!

Odwróciła się i pobiegła przed siebie, pozosta-  
wiając Kita samego na pustej drodze. Miała wra-  
żenie, że serce jej pęknie. Nie tylko z wysiłku, lecz  
przede wszystkim ze smutku, żalu i bezsilnej roz-  
paczy. Pobiegła prosto do stajni. Teraz, gdy ludzie  
byli w polu, a zwierzęta na pastwisku, było to  
jedyne miejsce, w którym spodziewała się zna-  
leźć trochę samotności. Zatrzymała się dopiero  
w środku, dysząc ciężko i czekając, aż jej oczy  
przyzwyczajają się do półmroku.

- Dianno! - z pustego boksu wyłoniła się Mer-  
cy z puszystym białym kotkiem w objęciach.  
Zwierzątko spało błogo, przytulone do piersi  
dziewczynki. Dianna odruchowo poprawiła cze-  
pek na jej głowie i strzepnęła z niego źdźbła sło-  
my.

- Cieszę się, że w końcu przyszedłeś poznać Lily  
- odezwała się mała przejętym tonem. - Lily, to  
Dianna. Dianna będzie dla ciebie miła. Nie będzie  
cię odganiać, tak jak Hester.

Mała wyciągnęła łapkę kotka w kierunku

Dianny. Dziewczyna ujęła ją i potrząsnęła leciutko. Kociak zamruczał i wcisnął się głębiej w objęcia Mercy.

- Zobaczysz, jaka będzie piękna, gdy wyrośnie - Mercy pogładziła futerko zwierzątka, spojrzała Diannie w twarz i umilkła, zaskoczona.

- Płaczesz dlatego, że Francuz umarł, tak? - odezwała się po chwili. - Tutaj będziesz mogła spokojnie się wypłakać. Nikomu nie powiem, że tu jesteś.

Dianna uklękła i wzięła dziewczynkę w ramiona. Przycisnęła ją do siebie tak mocno, że obudzony kotek zaprotestował, miaucząc głośno. Dianna wypuściła małą z objęć i spojrzała na nią ze smutnym uśmiechem. W ciągu ostatnich tygodni nie miała dla niej wiele czasu i teraz czuła, jak bardzo jej samej brakowało kontaktu z dziewczynką.

- Gdy wrócimy do domu, zrobimy dla niej posłanie na strychu, obok naszego. W ten sposób, jeśli przyśni jej się coś złego, będzie się mogła do ciebie od razu przytulić.

Mercy uśmiechnęła się w odpowiedzi i Dianna zauważyła z zaskoczeniem, że dziewczynce wypadł kolejny mleczny ząb.

- Podziękuj teraz Kitowi za Lily i za gościnę. Pewnie jest już w domu.

- Nie, Mercy. Jestem tu z wami - odezwał się za nimi znajomy głos. Dianna obejrzała się i w prześwietlnym słońcem prostokącie drzwi ujrzała barczystą sylwetkę Kita. Stał na szeroko rozstawionych nogach i choć nie widziała

jego twarzy, od razu zorientowała się po tonie jego głosu, że jest zły. Podniosła się powoli i patrzyła, jak porywa w ramiona dziewczynka która podbiegła do niego z radosnym okrzykiem.

- Dbaj o Lily - przykazał Kit małej surowym łonem. - Pamiętaj, że nie dałbym ci córki Tygrysa, gdybym nie ufał, że będziesz potrafiła się nią zaopiekować.

- Wolisz je trzymać we własnej stajni, prawda?  
- odpowiedziała Mercy z radosnym chichotem.

Hester mówi, że Jonathan musi tu przywozić szczury okrętowe, bo inaczej koty nie miałyby co jeść. Tyle ich jest.

- Może to prawda, a może nie. W każdym razie dobrze, że bierzesz Lily ze sobą. - Pocałował dziewczynkę w czoło i odstawił na ziemię. - A teraz zmykaj do domu. Chcę porozmawiać z twoją przyjaciółką.

W jego głosie zabrzmiał złowróźbny ton. Diana wzięła się pod boki, gotowa do walki. Niech sobie nie myśli, że łatwo ją pokona!

- Możliwe, że jestem dumny, może nawet rozpiera mnie pycha - zaczął Kit, nie tracąc czasu.

- Ale przynajmniej nie uciekam z pola walki po oddaniu pierwszej salwy. Zapamiętaj sobie, nie radzę ci więcej tak mnie zostawiać!

- Myślałam, że powiedziałaś wszystko, co miałeś mi do powiedzenia.

- Pomyliłaś się, skarbie.

Zanim zdążyła znowu otworzyć usta, już stał przy niej. Niecierpliwymi rękami objął biodra



dziewczyny i przyciągnął do siebie. Duma nie pozwoliła Diannie wyrwać się z jego objęć. Chciała spojrzeć mu w oczy, tak żeby zrozumiała, że nie wygra z nią siłą, ale zanim podniosła wzrok dostatecznie wysoko, nieoczekiwanie dla siebie samej zatrzymała spojrzenie na szerokiej piersi Kita, na wysuwających się spod koszuli skłębionych włosach, na silnym podbródku i rozchylonych ustach. Wspomnienie pieszczot i pocałunków sprawiło, że jej uczucia uległy gwałtownej zmianie. Miejsce gniewu zajęło pożądanie i Dianna z zaskoczeniem uświadomiła sobie, jak ściśle splatają się te dwie emocje.

Kit usiłował zebrać myśli i przypomnieć sobie, co właściwie zamierzał powiedzieć, ale okazało się, że nie ma w nim miejsca na nic, poza nieoczekiwaną radością, że jednak trzyma ją w ramionach. Uniósł dziewczynę i posadził na poręczy boksu, tak że ich twarze znalazły się naprzeciw siebie.

- Wiem, że nie stchórzyłaś, Dianno - szepnął i pieszczotliwie dotknął jej policzka. - Jesteś odważną, piękną kobietą. Kocham cię. Nie masz pojęcia, jak trudno będzie mi się z tobą rozstać, ale myślę, że w głębi serca rozumiesz mnie lepiej, niż chcesz przyznać.

Objął ją mocno i przyciągnął jej usta do swoich. Tym razem w ich pocałunkach nie było niczego, poza nagą namiętnością, poza pragnieniem zjednoczenia się dwóch istot tak nieznośnie rozdartych między dwa osobne ciała. Żadne z nich nie potrafiłoby powiedzieć, jak dłu-

go trwali złączeni w tym nienasyconym pocałunku.

Wreszcie Kit oderwał usta od warg Dianny. Miał zamknięte oczy, oddychał z trudem. Chciał się odsunąć, ale nie potrafił. Pochylił głowę i oparł o czoło dziewczyny.

- Właśnie tak się rozstańmy, Dianno. Na pół obłąkani z pragnienia. Teraz będziesz pewna, że nic nie powstrzyma mnie przed powrotem. Kocham cię i nic nie zmieni mojej miłości do ciebie, przysięgam ci to z całego serca!

Wkrótce potem wyruszył. Zamiast jechać konno, popłynął łodzią. Wiedział, że łatwiej będzie dotrzeć na miejsce wodą, niż przedzierać się przez splątany gąszcz. Na dnie kanoe leżał tylko zapas jedzenia, strzelba i szczelne zawiniątko z prochem. Kit miał zamiar popłynąć rzeką Wickham na południowy wschód, do Connecticut, a stamtąd na północ - do Springfield i Deerfield, aby w końcu dotrzeć do Kanady. Tylko raz w życiu przemierzał tę drogę kiedyś z ojcem, a jednak nie miał żadnych wątpliwości, że trafi. Wiedział też, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach podróż do posiadłości Ko billarda zajmie mu co najmniej tydzień.

Choć słońce grzało go w plecy, a z czoła spływał pot, nie przestawał wiosłować. Wysięk nie przeszkadzał mu rozglądać się zachwyconym wzrokiem po okolicy. Tereny, na których znalazł się po południu, były całkowicie bezludne i, w przeciwieństwie do najbliższych okolic Plum

stead, zachowały jeszcze pełny urok dziewiczej natury. Co jakiś czas plusk wody płoszył stada kaczek, które z krzykiem podrywały się do lotu. Z toni wynurzały się wąsate pyski bobrów i szopów. Z nadbrzeżnych łąk spokojnie przyglądały mu się jelenie i łosie. Tego najbardziej brakowało mu podczas podróży do Anglii. Poczucia niczym nie ograniczonej swobody. Wiosłując rytmicznie, zaczął nucić jakąś melodię i dopiero po dłuższym czasie odkrył, że to ta sama miłosna pieśń, którą Dianna przegnała z Plumstead Constance.

O zmierzchu odłożył wiosło, wyciągnął nogi i zjadł kolację złożoną z wędzonego mięsa i sucharów. Potem podniósł się z dna łodzi i znów wiosłował. Był zbyt podniecony, by zasnąć. Drogę oświetlał mu księżyc w pełni, ten sam, który poprzedniej nocy patrzył na niego i Dianę, gdy kochali się w brzozowym zagajniku.

Drugiego wieczora wylądował na niewielkiej wysepce, wyciągnął kanoe na brzeg i ukrył w krzakach. Przed laty często przypływali tu z Jonathanem, wysepka była wtedy warownią piratów, polujących na bogate statki kupieckie. Jego samego zdumiewała myśl, że ciągle jeszcze znajduje się na ziemi, należącej do Sparhawków. Tak przynajmniej głosił pergamin, pochodzący jeszcze z czasów jego dziadka. Kit dobrze pamiętał postawnego starca z bujną siwą czupryną. Dziadek walczył u boku Cromwella pod Marston Moor i w nagrodę nadano mu tę ziemię, jakby wiadomo było, że nikt inny sobie z nią nie poradzi. Stary

Sparhawk zapanował nad rozległą okolicą i zaczął ją cywilizować. Swego syna i wnuków nauczył nie tylko władać szpadą i celnie strzelać, lecz także pisać i czytać, tak by nigdy nie zapomnieli, kim są i skąd pochodzą.

Kit zrezygnował ze skromnego luksusu ogniska i zadowolili się zimną kolacją. Kiedy zjadł, zawinął się w koc i ułożył do snu, po jednej stronie mając nóż, a po drugiej strzelbę. Słuchając szumu rzeki, wrócił myślami do Dianny. Wystarczyło zamknąć powieki i już miał przed oczami jej uśmiech, błyszczące oczy i lekko rozchyłone usta, oczekujące jego warg.

Mogła nie chcieć rozmawiać o przyszłości, ale nie mogła zakazać mu myślenia o niej. Kit był zdecydowany poślubić ją, gdy tylko wróci do domu. Nie poślubić, poprawił się w myślach, tylko poprosić, żeby zechciała mu oddać rękę i modlić się, by ta dumna, porywcza kobieta spełniła jego prośbę. Wiedział, że mimo całego jego majątku, a nawet pomimo że go kocha, Dianna Grey zawsze pozostanie sobą, damą z arystokratycznego rodu, która nigdy nie ustąpi przed okolicznościami.

W ostatniej chwili ujrzał nad sobą wzniesione ramię. W mgnieniu oka przeturlał się na bok i z nożem w dłoni poderwał z ziemi, gotów do walki.

Napastnik natomiast najspokojniej w świecie zasiadł w miejscu, które przed momentem opuścił Kit.

- Stajesz się nieostrożny, Sparhawk - odezwał

się, kręcąc głową. - Mogłem cię dziesięć razy zabić, zanim się zbudziłeś.

- A ja mogłem cię rozpłatać na pół, zanim jeszcze otworzyłem oczy, Attawan - odpowiedział Kit, szczerząc zęby w radosnym uśmiechu.

Kit i Attawan byli przyjaciółmi od dzieciństwa, odkąd Sparhawkowie zaopiekowali się zranioną przez nie znanych im Anglików Indianką i jej dzieckiem.

- Nie było cię u mnie, odkąd wróciłem.

- Tej wiosny Anglicy za szybko sięgają po muszkiety na widok Indianina, Sparhawk - odpowiedział Attawan ze wzruszeniem ramion.

Kit z westchnieniem zasiadł naprzeciw przyjaciela. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Trudno ich winić po tym, co stało się w Deerfield i Wickhamton.

- To sprawa Abenakich i Mohikanów, nie Pocumtucków.

- Czterech mężczyzn nie żyje, a kobieta z dwiema córkami przepadła bez śladu. Nie mogę winić swoich ludzi, że się chcą bronić.

- I teraz jedziesz szukać zemsty. Sam do Quebecu?

- Nie sądzę, żeby na moich ludzi napadli ci sami Indianie, którzy zaatakowali Deerfield - odpowiedział Kit powoli. - Myślę, że ten, kto to naprawdę zrobił, chciał, żebyśmy tak sądzili. Przypuszczam też, że tym kimś jest Robillard.

Attawan spojrzał na mówiącego spod uniesionych brwi, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Traper, którego oskalpowali napastnicy, żył

jeszcze, kiedy przywieziono go do Plumstead, i powiedział, że widział wśród drzew Robillarda. Sądzę, że on chce wywołać panikę wśród moich ludzi. Liczy na to, że, podobnie jak po napadzie na Deerfield, porzucą swoje pola i wyniosą się stąd. A wtedy wszystko wpadnie w jego ręce. Mam zamiar pokazać mu, że się myli.

Attawan zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad słowami Kita.

- Jesteś człowiekiem, który ma więcej odwagi niż rozumu - odezwał się w końcu.

Sparhawk uśmiechnął się lekko, ale jego oczy zachowały wyraz skupionej powagi.

- Nie pierwszy mi to mówisz. Ale wiem, że Robillard jest tchórzem. Rzuca się do walki tylko wtedy, gdy wie, że ludzie wokół niego nie dopuszczą do rozlewu krwi. Będzie bluffować, ale nie odważy się mnie zabić. Dobrze wie, że jeśli bym nie wrócił, będzie miał na karku całą Nową Anglię, z moim bratem na czele.

- Robillard ma wśród swoich ludzi całą sforę Abenakich - odezwał się Attawan. - Przestałeś być ostrożny, potrzeba ci kogoś, kto będzie czuwał nad tobą, gdy zaśniesz w drodze powrotnej.

Kit wyciągnął dłoń i ujął Indianina za rękę.

- Liczyłem na to, że tak właśnie powiesz, przyjacielu.

Domostwo Francois Robillarda sprawiało wrażenie żałosnej rudery. Mimo zmęczenia Kit nie mógł tego nie zauważyć. Plotka głosiła, że Robillard był francuskim szlachcicem, który spędził

dłuższy czas w Turcji, ale jeden rzut oka wystarczył, żeby być pewnym, iż gospodarz tego śmietnika musi być wzbogaconym traperem lub handlarzem drewnem, niczym więcej. Zdradzał także, że musi żyć w nieustannym lęku przed zemstą ludzi, których kiedyś skrzywdził.

Wzniesiony na wzgórzu nad rzeką gmach przypominał raczej warownię niż dom. Zbudowany był z ciężkich, ledwo ociosanych pni. Obok stały rozwalające się szopy i stajnie. Po podwórzu wałęsało się stado kundli, na ławce pod ścianą siedzieli trzej Indianie z plemienia Abenakich i francuski żołnierz w rozpiętym mundurze. Kiedy zauważyli Kita i Attawana, wyciągających kanoe na brzeg, wszyscy poderwali się z miejsca. Francuz ochrypłym głosem wydał jakiś rozkaz, jeden z Indian wpadł do domu, pozostali porwali za broń i wymierzili ją w nowo przybyłych.

Kit zignorował ich kompletnie. Bez pośpiechu wydobył z dna łodzi strzelbę i przerzucił ją przez ramię. Attawan nie odrywał wzroku od stojących na podwórzu mężczyzn. Sparhawk czuł, że jego towarzysz jest niespokojny i napięty. Gdy zagwizdał melodię, której nauczyła go Dianna, Indianin powiedział coś ostro w swoim języku. Kit nie miał wątpliwości, że Attawan rzucił pod jego adresem przekleństwo. Uśmiechnął się, zadowolony. Na razie wszystko szło po jego myśli.

Powoli wspinał się po zboczu. Widok wymierzonych w niego muszkietów podobał mu się nie bardziej niż Attawanowi, ale nie miał najmniejszego zamiaru pokazać tego po sobie. Byli o kil-

kanaście kroków od domu, gdy żołnierz, wrzeszcząc po francusku, zażądał, by się zatrzymali.

Kit wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie.

- Kto idzie? - warknął Francuz.

- Christopher Sparhawk. Twój pan wie, kim jestem - odpowiedział Kit. - Idź, powiedz mu, że przyszedłem.

Żołnierz spojrział na niego wilkiem i nie ruszył się z miejsca. Kątem oka Kit dojrzał jakiś ruch w sieni domu. Na ganku pojawił się brodaty mężczyzna, trzymający w ręku rewolwer z lśniąca lufą.

- Dzień dobry, Sparhawk - odezwał się szyderczym tonem. Z krzywym uśmiechem odwiódł kurek. - A może raczej żegnaj, co?





Przez chwilę, która trwała wieczność, Kit zastanawiał się, czy jednak nie popełnił pomyłki. Mierzyło w nich pięć luf. Robillard był tchórzem, ale, zaślepiony nienawiścią, mógł zlekceważyć perspektywę odległej zemsty i korzystając z okazji, załatwić stare porachunki. Jeśliby się na to zdecydował, on i Attawan byłiby bez szans.

Podczas gdy Kit starał się ocenić sytuację, tłusty brzuch Robillarda powtórnie zatrzęsł się ze śmiechu.

- Nawet ja nie zachowuję się w taki sposób, Sparhawk - odezwał się szyderczo. - Musiałeś kompletnie zgłupieć, żeby tu przyjść. Czy nikt cię nie ostrzegł, że mogę cię zastrzelić jak kaczkę, bang, bang?

Wymachiwał pistoletem, zachwycony swoim dowcipem. Kit miał chęć dać temu tłustemu głupcowi w twarz, ale, biorąc pod uwagę, że pozostali mężczyźni cały czas mierzyli w niego z broni, uznał, że nie jest to najlepszy pomysł.

- Owszem - odpowiedział, powściągając gniew. - Ostrzegali mnie. Ale pomyślałem, że najpierw będziesz chciał ze mną pogadać.

Zaintrygowany Robillard potarł podbródek i zmarszczył brwi.

- W takim razie mów, co masz do powiedzenia.

- Nie tu, Robillard. Będziemy rozmawiać w domu. Sami. To, co ci mam do powiedzenia, nie jest przeznaczone dla nikogo, prócz nas dwóch. - Pewny, że Francuz się zgodzi, ruszył w stronę domu. - Mój człowiek też tu zostanie.

Robillard wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. I tak mam cię w garści.

Kit poczekał, aż Abenaki i francuski żołnierz odstawią strzelby pod ścianę i zasiądą z powrotem na ławce. Zignorował burczenie niezadowolonego Attawana, który nie wypuszczając muszketu, zasiadł z dala od pozostałych mężczyzn. Dopiero wtedy wszedł za Robillardem do wnętrza, schylając głowę w niskich drzwiach.

Frontowy pokój był najbardziej reprezentacyjnym pomieszczeniem w całym domu. Na krzesłach z wysokimi oparciami leżały skórzane poduszki, na ciężki stół narzucony był barwny turecki dywan. Między oknami wisiał rzeźbiony i polichromowany krucyfiks. Pomimo tych świadectw zamożności, wnętrze sprawiało nędzne i nieprzyjemne wrażenie, które potęgował wszechobecny brud.

Robillard wskazał Kitowi krzesło, a sam opadł na fotel, który aż zajęczał pod jego ciężarem. Sparhawk nie zajął proponowanego miejsca. Usiadł na innym krześle, skąd mógł jednym spojrzeniem objąć okna i drzwi. Tak jak Attawan, wolał nie rozstawać się z bronią, choć wiedział, że we-

wnętrz domu więcej pożytku miałyby z noża niż z nieporęcznego muszkietu.

- To co, Sparhawk? Przyjechałeś do mnie z wizytą, jak dobry sąsiad? - zaczął Robillard jowialnym tonem. - No i jak, podoba ci się u mnie?

Kit podziękował Bogu, że Francuz nigdy nie miał okazji zwiedzić domu w Plumstead. Po takiej wizycie bez wątpienia trudniej byłoby mu być dumnym ze stanu własnego gospodarstwa.

- Niczego sobie - zgodził się uprzejmie. - Szlachecka siedziba. Ale sprawy, o których chciałem pogadać, nie wyglądają już ani tak szlachetnie, ani...

Urwał, kiedy do pokoju weszła młoda Indianka z dwiema szklankami brandy. Kiedy, odwrócona tyłem do mężczyzn, pochyliła się, aby postawić je na stole, Robillard bezceremonialnie poklepał ją po wypiętych pośladkach. Kobieta zachichotała zmysłowo, wyraźnie zachwycona pieszczotą. Francuz pociągnął ją na kolana i przejechał ręką po wysoko odsłoniętych udach.

- Wy, Anglicy, nie lubicie tutejszych kobiet, no nie? - zapytał, miętosząc obfite piersi kobiety.

Kit z niesmakiem pokręcił głową. Robillard pozwolił dziewczynie stanąć na nogi i na pożegnanie poklepał ją jeszcze raz.

- Szkoda, szkoda. Ta ślicznotka ma siostrę. Równie pulchną i apetyczną jak ona sama.

Na twarzy Francuza pojawił się szyderczy uśmiech.

- Ależ ja kompletnie zapomniałem! Przecież ty się żenisz! Moje gratulacje!

Kit znieruchomiał, nie wierząc własnym uszom. Cóż to u licha za pomysł? Przecież Francuz nie mógł wiedzieć o Diannie!

- Ktoś musiał cię źle poinformować, Robillard.

- No, jak to, a ta dziewczuszka, jak jej tam, Constance Lindsey? Słyszałem, że jest twoją narzeczoną.

- Nie, nie jest. - Ładne rzeczy, pomyślał Kit, więc ambicje tej biednej Constance rzeczywiście sięgały aż tak daleko? - Nie jestem zaręczony z panną Lindsey.

- No, to bierz tę moją dziewczuchę. Zobaczysz, Sparhawk, zrobi ci buzią wszystko, co tylko zechcesz. Już ja ją wyćwiczyłem...

- Dosyć tego - uciał ostro Kit. - Słuchaj, Robillard, zamordowałeś czterech moich ludzi i uprowadziłeś trzy kobiety. Chcę je mieć z powrotem. Gotów jestem nawet zapłacić za nie okup, o ile tylko złoto dostaną Indianie, a nie ty. Po drugie chcę, żebyś złożył przysięgę, że nigdy więcej nie wedrzesz się na mój teren.

Twarz Francuza spochmurniała.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. To musi być robota Indian. Wszyscy mamy takie same kłopoty z tymi dzikusami.

- Nie kłam, Robillard. Twoi ludzie natrafili przypadkiem na jednego z Francuzów. Oskalpowali go i porzucili, aby umarł. Ale zanim skonał, biedak zdążył mi opowiedzieć, co go spotkało i kogo widział wśród napastników.

- A czy ty myślisz, że Indianie nie skalpują Francuzów? - wybuchnął Robillard, ale jego spłoszony wzrok zdradził Kitowi, że kłamie. - Mam wrogów, tak jak każdy. Ten traper musiał być jednym z nich. To wszystko. Po co miałbym go skalpować na polu kukurydzy, należącym do jakiegoś angielskiego farmera?

- Nie wiem, po co. Ważniejsze jest, że to zrobiłeś! Bo skąd wiedziałbyś, że zamordowany Francuz był traperem i zginął na polu kukurydzy? Jeżeli nie jesteś jasnowidzem, w co wątpię, to musiałeś być na miejscu!

Kit zerwał się na równe nogi i spojrzał z góry na wystraszonego Francuza.

- Nie chcę wojny, Robillard, więc na razie wszystko pozostanie między nami. Zrób, jak powiedziałem i będziemy żyli w pokoju. Ale jeżeli jeszcze kiedykolwiek wejdiesz mi w drogę, wrócę tu, żeby spalić twój piękny dom i powiesić cię, jak pospolitego mordercę. Zapamiętaj sobie, te trzy kobiety, które uprowadziłeś, mają wrócić do domu, a ty masz się trzymać z dala od mojej ziemi.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Ruszył w dół zbocza, nad rzekę, nie odwracając się nawet do goniącego go Attawana. Nie miał najmniejszej ochoty dawać swoim przeciwnikom choćby cienia satysfakcji. Czuł, że i tak, pomimo najszczerzych chęci, żaden z nich nie odważy się wypalić w jego kierunku.

Robillard przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Kiedy wreszcie ochłonał nieco, zaczął od

opróżnienia duszkiem obu szklanek brandy. Z trudem podniósł się z miejsca i wyszedł na ganek. Kit i Attawan znajdowali się już na środku rzeki. Przeklinając ich w duchu, Robillard odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

- Mówiłem ci, że ten Sparhawk to kompletny głupiec, *un tres gros foul* - wybuchnął. - Trzeba było zastrzelić go jak psa, dopóki mieliśmy go w ręku!

- Jedynym głupcem tutaj jesteś ty, Robillard - odparował wściekłym tonem pułkownik Hertel de Rouville.

Zirytowany, zabębnił palcami po poręcz ganku. Fakt że on, Jean Baptiste Hertel de Rouville, specjalny wysłannik i przyjaciel markiza de Vaudreuil, gubernatora Kanady, on, który zmiotł z powierzchni ziemi nędzny angielski zaścianek w Deerfield, musi siedzieć tu z tym tłustym prostakiem, Robillardem, doprowadzał go do szału.

- Zabrakło ci odwagi, durniu! Na widok mężczyzny tracisz rozum ze strachu! - warknął.

- Sparhawk nie jest wart nawet kuli! - zaprotestował wściekły Robillard.

- Wart jest dziesięciu takich jak ty - odparł Hertel de Rouville, czując, że ogarnia go obrzydzenie. - Dobrze wiesz, że gdybyś go tknął, w ciągu tygodnia miałbyś na karku dobrą setkę Anglików, którzy powiesiliby cię na ruinach tej twojej budy. Nie ma wątpliwości, że nie przyjechałby tu tak śmiało bez wiedzy brytyjskiego gubernatora.

- Sam mi obiecałeś jego ziemię, jeżeli ci pomogę - odparł zirytowanym tonem Robillard.

- Moim zadaniem jest wypędzić Anglików z ziemi, która należy do króla Francji, a nie pomnażać twój majątek! - zniecierpliwiał się Hertel de Rouville.

Podwinął zakończony koronkami rękaw koszuli i podrapał się w rękę. Indianka, która czekała na niego ubiegłej nocy pod kołdrą, na pewno miała pchły, daj Boże, żeby nic więcej! Westchnął, zastanawiając się, kiedy wreszcie będzie mógł wrócić do czystych i pachnących dam z Montrealu.

- Sparhawk musi zginać, to jasne. Ale wszystko trzeba zaaranżować tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Musimy go sprowokować, żeby sam oddał się w nasze ręce.

- Gdyby tylko miał żonę albo dziecko - odezwał się zgodnym tonem Robillard - sprawa byłaby prosta. Wystarczyłoby porwać takie słodkie maleństwo i nasz bohater przygnałby do nas na łeb, na szyję, nikomu nic nie mówiąc.

- Żony pewnie jeszcze nie ma, ale może znalazłaby się jakaś kobieta? Zauważyłeś, jaką zrobił minę, kiedy wspomniałeś o tej Lindsey? - Hertel de Rouville zachichotał, zachwycony własną spozstrzegawczością. - Pojedziesz do niego do domu, Robillard, i dowiesz się o jego *amourette*.

Robillard potrząsnął głową.

- Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł, *mon ami* - powiedział z powątpiewaniem. Nie chciał sprzeciwiać się człowiekowi obdarzonemu taką

władzą, jak Hertel de Rouville, ale poczuł nagle nieprzyjemne świerzbiecie karku. - Słyszałeś, co powiedział Sparhawk. Jeżeli pojawię się w jego posiadłości, każe mnie powiesić!

- Jeżeli przywieziesz mu wieści o trzech porwanych kobietach, nic ci się nie stanie. Możesz nawet wziąć za nie okup, jeśli chcesz.

- Oddasz mu te kobiety? - zapytał Robillard z niedowierzaniem w głosie.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparł pułkownik z niedbałym wzruszeniem ramion.

- Stara za bardzo się wlokła, żeby można ją było ciągnąć. A dla dziewczyn będzie lepiej, jeśli poznają prawdziwą wiarę u sióstr w Quebecu.

De Rouville zaśmiał się do siebie, zacisnął dłoń na ramieniu Robillarda i spojrzał mu groźnie w oczy.

- Powiesz Sparhawkowi, co ci się podoba, rozumiesz? Ale nie waż mi się tu wracać, dopóki nie będziesz wiedział, kim jest jego kochanka i gdzie ją znaleźć! A wtedy, *mon ami*, nasi drodzy Abenaki złożą jej wyrazy uszanowania.

- Gdybyśmy wrócili w nocy - przerwał milczenie Attawan - moglibyśmy go zabić.

- A potem oni zabiliby nas - dopowiedział Kit. - A potem znowu Jonathan zabiłby kogoś z nich i tak bez końca.

Siedzieli na stromym brzegu, wysoko nad wodą. Kit patrzył na zachodzące za Górami Zielonymi słońce, Attawan czyścił złapane po drodze



ryby. Upał zelżał i w powietrzu czuć było przyjemny chłód.

- Widzieliśmy czterech ludzi - ciągnął Kit. - I nie mamy pojęcia, ilu jeszcze kryło się w domu czy w stodole. Poza tym, Robillard jest tchórzem i nie spodziewając się po nas niczego lepszego, na pewno wzmocni strażę dzisiejszej nocy.

Attawan zacisnął pięści.

- Nie jestem tchórzem, Sparhawk.

- No i kto ma teraz więcej odwagi niż rozumu? - zapytał Kit, szczerząc zęby w tryumfalnym uśmiechu. - Sam chętnie powiesiłbym tego tłustego łajdaka na pierwszej gałęzi, ale lepiej, żeby wszystko zostało tak, jak jest. Kiedy Robillard zwróci porwane kobiety, będziemy mogli odszukać Abenakich, którzy mu pomagali i oddać ich pod sąd w Wickhamton.

Attawan prychnął, otrzepując z rąk srebrne łuski.

- Naprawdę myślisz, że ten tłuścioch odda kobiety? Nie sądzę, żeby to leżało w jego mocy.

- Jeżeli tylko będzie mógł, to je odda. Robillard ma taką samą ochotę zobaczyć angielskich żołnierzy na swojej ziemi, jak ja pragnę odwiedzin francuskich.

- Nie wiesz o tym, że już cię odwiedzali?

Kit zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na przyjaciela.

- Abenaki i Mohikanie, którzy spustoszyli Deerfield, byli wspierani przez francuskich żołnierzy. Dwustu żołnierzy w podkutych butach,

- Przysięgniesz na to? - zapytał osłupiały Kit.

Attawan, urażony tym brakiem zaufania, nie odpowiedział, lecz Sparhawk był w tej chwili zbyt poruszony, żeby zwracać uwagę na uczucia przyjaciela.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? Tego dnia zginęło stu czterdziestu dwóch Anglików i wszystko poszło na rachunek Indian!

- Ci Francuzi nie są głupi - odezwał się z niezmaconym spokojem Attawan, który w fakcie, że winą za napad obarcza się Indian, nie widział nic niezwykłego. - Puścili Abenakich przodem, .1 gdy było już po wszystkim, wówczas sami weszli do wsi. Tak samo było w Pascommuck, choć tam było mniej ofiar.

- Tylko czterdzieści osób - uściślił Kit z gorzkim uśmiechem. - Jeszcze dziś popłyniemy do Deerfield, żeby ostrzec kapitana Ferrisa. Wiedziałem o tym, że Francuzi sprzymierzyli się z Indianami na wschodzie, ale nie miałem pojęcia, że i tutaj próbują tych sztuczek. Za długo mnie tu nie było, Attawan. Powinienem był wiedzieć, co się święci. Gdybym nie pojechał do Anglii, zamiast Jonathana...

- Bolać cię stare blizny, przyjacielu. Anglicy to twoje plemię, zgoda. Ale nie przywrócą ci rodziny. Ani nie zmienisz przeszłości, ani nie powinieneś iść na oślep przed siebie.

Kit wiedział, że Indianin ma rację. Sam nie chciał więcej krwi, bólu i cierpienia. Gdyby skończył się rozlew krwi, może przestałaby śnić mu się wreszcie po nocach krzycząca, przerażona

Tamsin. Chciał tylko spokojnie żyć z Dianną w Plumstead. Czy to naprawdę tak wiele?

Muszkiet wypalił. Gdy dym się rozwiął, Dianna zobaczyła, że kamień, który położyła na płocie, zniknął, a drewniany słupek nie nosi ani śladu draśnięcia przez kulę.

- No, no, lepszy z ciebie strzelec niż z niejednego chłopa - odezwała się Hester, nie kryjąc uznania. - Nie przejmuj się tym, co wygaduje Asa. To, że nauczysz się strzelać, na pewno ci nie zaszkodzi. Zwłaszcza że raz po raz zostajecie z Mercy same.

Dianna starannie oczyściła lufę.

- My jesteśmy bezpieczne, Hester. Mieszkamy za blisko Plumstead i Wickhamton, żeby Indianie ośmielili się do nas zapuścić. Poza tym Asa obiecał, że na razie nie będzie oddalał się na dłużej, niż trzy dni.

- Wszystko jedno, lepiej, żebyś zawsze miała muszkiet pod ręką. To, że dzicy się wycofali, wcale nie znaczy, że więcej nie uderzą. Od rzezi w Deerfield do napadu na Barnardów upłynęły całe dwa miesiące. - Ośłoniła ręką oczy i po długości cieni oceniła godzinę. - Pora robić kolację i wracać do domu. Kit głowę by mi urwał, gdybym pozwoliła ci iść przez las po zapadnięciu zmierzchu.

Dianna, która pochyliła się właśnie po kule i rozek z prochem, w duchu podziękowała Bogu, że Hester nie widzi rumieńca, jaki wywołało na jej twarzy wspomnienie Kita. Nie było na to

radę, ilekroć o nim słyszała, tylekroć się czerwieniła. Fakt, że nie było go już od przeszło czterech tygodni, w niczym nie poprawiał sytuacji, podobnie jak w najmniejszym stopniu nie zmniejszył dręczącego ją nieustannie niepokoju. Dianna nie miała dotychczas pojęcia o tym aspekcie miłości. Z jednej strony wierzyła, że Kit wróci cało do domu, z drugiej jednak nie potrafiła uwolnić się od nachodzących ją obaw.

Żeby nie myśleć o zagrażających mu niebezpieczeństwach, rzuciła się w wir pracy. Zbierała i suszyła zioła, ćwiczyła się w strzelaniu z muszketu, uczyła Mercy czytać. Wszystko na nic. Choć miała pełne ręce roboty, jej myśli raz po raz wędrowały do Kita. Zасыpiając, wiedziała, że znów jej się będzie śnił.

- Słowo daję, ten chłopak mógłby już wrócić - odezwała się Hester zatroskanym głosem, jakby czytając w myślach Dianny. - Za długo go już nie ma.

Dziewczyna natychmiast poczuła, że zamiera w niej serce. Dopóki tylko ona się bała, mogła sobie wmawiać, że po prostu nie ma pojęcia o tym kraju, ale skoro nawet Hester przyznawała, że nieobecność Kita zbyt się przeciąga, to musiało się stać coś złego.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że coś mu się mogło stać? - zapytała niespokojnym głosem.

Kobieta westchnęła i pokręciła głową.

- Wiem, że naprawdę nie ma żadnych powodów do obaw. Kit jest młody i silny, umie władać bronią i zna las, jak własną kieszeń. I nie brak

mu rozum. Jeżeli uznał, że może się wybrać do Robillarda, to znaczy, że wiedział, co robi. A mimo to coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Sparhawkowie nigdy nie mieli szczęścia do Indian i Kit nie powinien kusić losu.

- Nie mieli szczęścia do Indian? - powtórzyła Dianna pytającym tonem i Hester natychmiast zdała sobie sprawę, że palnęła głupstwo.

- Kit nic nie mówił? - spytała, by ukryć zakłopotanie. - No cóż, nie do mnie należy informowanie cię o tym - burczała, poirytowana własnym gadulstwem.

- Wiem, że ojciec Kita był przed nim dowódcą miejscowej milicji - naciskała ją Dianna, zdecydowana poznać prawdę. - Czy zabili go Indianie?

- Tak. Biednego pana Samuela zabili czerwonoskórzy. Zabili i zdarli z niego skalp. To Kit go znalazł.

- Biedny Kit! - krzyknęła dziewczyna.

Dobrze wiedziała, jak bolesna jest nagła utrata ojca, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jakie uczucia może wzbudzić znalezienie tak strasznie okaleczonego ciała. Teraz dopiero zrozumiała reakcję Kita na widok rannego trapera. Tak była wtedy pogrążona we własnych troskach, że w ogóle nie zwróciła uwagi na to, co on przeżywa. Och, jak żałowała swojej ówczesnej ślepoty!

- No właśnie, teraz rozumiesz, czemu się o niego martwię - odezwała się Hester z wahaniem, nie patrząc Diannie w oczy. - A jeśli w dodatku spotkał tego całego Attawana...? Wiem,

wiem, Kit mówi, że nie można oceniać człowieka po kolorze skóry i twierdzi, że Attawan jest uczciwszy od niejednego Anglika, ale powiedz sama: czy to Anglicy spalili Deerfield? Pan Samuel i pani Amity oboje byli z Indianami za pan brat i co im to pomogło? Im prędzej się ich stąd wygna albo wybije do nogi, tym lepiej dla porządných chrześcijan.

W tym momencie, ku zaskoczeniu Dianny, twarz Hester nieoczekiwanie złagodniała, a w oczach pojawiły się łzy.

- Wiesz, dziewczyno, że nie mam własnej rodziny - wyjaśniła ochrypłym głosem. - Żadnych dzieciaków, o które mogłabym się martwić. Ale Kit, Jonathan i ich siostry byli dla mnie jak rodzina. Martwię się o Kita i kocham go, jak własne dziecko.

Dianna poczuła, że pod powiekami wzbierają jej łzy. Objęła starą za szyję i przytuliła.

- Zobaczysz, że Kit wróci. Wiem to na pewno - powiedziała zdecydowanym głosem, w równej mierze chcąc przekonać Hester, co siebie. - Przyśiągł mi, że wróci, a wiesz przecież, że Sparhawkowie nie rzucają słów na wiatr!

- Prawda, prawda, dziewczyno. - Zakłopotana sytuacją Hester zrobiła krok do tyłu, otarła oczy chustką i głośno wytarła nos. - No, dosyć już tych głupot. Bierzmy się za robotę, bo nie zdążymy z kolacją.

Ramię w ramię pośpieszyły do domu i, jakby się zmówiły, żadna z nich nie wspomniała już Ki-ta.

- Przynieś ser - odezwała się Hester, gdy znalazły się w kuchni.

Dianna posłusznie weszła do chłodnej spiżarni, aby poszukać sera. Nagle znieruchomiała, słysząc ciężkie kroki i obcy męski głos. Robotnicy jeszcze nie wrócili z pracy, więc nie mógł to być żaden z nich. Gdy rozległ się ostry krzyk Hester, dziewczyna ostrożnie wyjrzała przez uchylone drzwi. Na środku kuchni brodaty grubas wykręcał ramiona służącej.

Dianna cofnęła się w głąb spiżarni, modląc się, by mężczyzna jej nie zauważył. Natychmiast poznała Robillarda. Odepchnęła od siebie niespokojne myśli, co stało się z Kitem, skoro Francuz ma odwagę napaść w biały dzień na Plumstead, i skupiła uwagę na tym, co działo się obok niej. Pamiętała, że pomimo tuszy i pozornej ociężałości, Robillard potrafił wtedy, pod kościołem, błyskawicznie sięgnąć po nóż. Jeśli chce uratować Hester, musi okazać się szybsza od niego. Muszkiet stał oparty o ścianę, o trzy kroki od drzwi. Wstrzymała oddech i skoczyła w jego stronę.

Zanim Robillard zorientował się, co się dzieje, lufa strzelby już mierzyła prosto w jego zaskoczoną twarz.

- Puść panią Holcomb - odezwała się Dianna, sama zdumiona spokojnym brzmieniem swego głosu. - I wynoś się stąd. Nie masz tu czego szukać!

Francuz zmierzył ją uważnym spojrzeniem i odzyskał pewność siebie.

- Myślisz, że się ciebie przestraszę, *ma petite filie*?

Pogarda w jego głosie dopiekła dziewczynie do żywego.

- Lepsza malutka, niż taka *cochon enorme*, jak ty! - odparowała ostrym tonem i odwiodła kurek.

Nie miała wątpliwości, że trafi Robillarda, modliła się tylko, by przy okazji nie zranić Hester.

Francuz znieruchomiał, zapominając kompletnie o kobiecie, której wykręcił ręce. Ciemnowłosa dziewczyna z dzikim spojrzeniem była dla niego kompletną zagadką. Ubrana jak żona pierwszego lepszego farmera, przemawiała jak wielkie damy, które widział kiedyś w Montrealu. Poczuł, że za jej twardym tonem stoi gotowość do wprowadzenia groźby w czyn. Zakłopotany, zaklął pod nosem po francusku.

- Jak śmiesz obrażać moje uszy! - krzyknęła tajemnicza dziewczyna w najczystszej francuszczyźnie. - Powiadam ci, wypuść panią Holcomb i odejdz stąd, zanim będę zmuszona ci w tym pomóc!

Teraz już Robillard kompletnie stracił głowę. Na miłość boską, czy to możliwe, żeby ona była Francuzką?

- Co ty tu robisz, *ma petite*? - zagadnął ją, zastanawiając się gorączkowo, czy przypadkiem nie stoi właśnie przed kobietą, w poszukiwaniu której przybył do siedziby swego śmiertelnego wroga. Zawsze uważał Sparhawk za pobożnego an-



gielskiego idiotę i do głowy by mu nie przyszło, że ten cwaniak może trzymać we własnym domu taką słodką dziewczynkę.

- Przestań kusić los, Robillard - odezwała się Hester. - Ta dziewczyna ma mniej cierpliwości, niż ci się zdaje.

Francuz puścił służącą, która schowała się za plecami Dianny, rozcierając zbolałe ramiona.

- A nie chcecie wiedzieć, z czym do was przyjechałem?

- Pana Sparhawk nie ma w domu - powiedziała Dianna.

- Myślisz, że o tym nie wiem, *ma petite*? - odezwał się zjadliwym tonem, odzyskawszy dobry humor. - Właśnie mam od niego wiadomość.

Dziewczyna opuściła lufę muszkietu.

- Wiadomość od Kita? - zapytała podnieconym głosem. - Widziałeś go? Jak się czuje?

Na twarzy Robillarda pokazał się zadowolony uśmiech. Więc się nie mylił. Miał kobietę, której szukał. Nie była tak piękna, jak się spodziewał, ale jej skryte pod prostą sukienką ciało było apetycznie zaokrąglone, a pełne usta aż się prosiły o całusa. W dodatku musiała być przynajmniej półkrwi Francuzką, rzecz nie do pogardzenia wśród zimnokrwistych Angielek. Im dłużej jej się przyglądał, tym mniej się dziwił, że Sparhawk wzgardził oferowaną mu Indianką. Łakomie przeciągnął językiem po wyschniętych ustach.

- Kiedy Sparhawk był u mnie, czuł się dobrze. Ale to było co najmniej dwa tygodnie temu. Sądziłem, że już trafił do domu.

Lęk na twarzy Dianny upewnił go, że się nie pomylił. Ależ ten Sparhawk zrobi minę, kiedy się dowie, że Indianie porwali jego laleczkę!

- Kiedy wróci, powiedzcie mu, że znalazłem wojowników, którzy uprowadzili jego kobiety. Wróć tu, gdy tylko zapłaci za nie okup.

Zrobił krok do przodu, chcąc odebrać dziewczynie broń, ale błyskawicznie uniosła lufę. Była zła na siebie, że dała się podejść temu obrzydliwemu grubasowi. Nie miał żadnej wiadomości od Kita, a jednak zdołał uśpić jej czujność i omal nie odebrał broni.

- Dlaczego Kit miałby cokolwiek płacić?

- Powtórz mu wiadomość, *ma chere*, i nie zadawaj zbędnych pytań.

- Jeżeli nie masz nic więcej do powiedzenia, to zmiataj stąd - odezwała się zirytowana Dianna. - Jeszcze chwila, a dojdę do wniosku, że lepiej zrobię, strzelając ci w łeb i oszczędzając Kitowi kłopotów na przyszłość.

- Już idę, *mademoiselle*, już idę. - Schylił się po leżący na ziemi kapelusz i ruszył w stronę drzwi. - Bądź tak dobra i przekaż Sparhawkowi, co ci powiedziałem. Jeżeli chce mieć na powrót swoje kobiety, niech za nie zapłaci.

Tym razem Dianna nie opuściła broni, dopóki Robillard nie dosiadł konia i nie wyjechał z podwórka. Dopiero kiedy zniknął, zdała sobie sprawę, że od dźwigania, ciężkiej strzelby rozboleły ją ręce. Odłożyła muszkiet na stół i zaczęła machać dłońmi, aby rozluźnić napięte mięśnie.

- Nie wierzę, żeby on naprawdę coś wiedział, a ty, Hester? - zapytała znużonym głosem.

Stara służąca przez długą chwilę wpatrywała się w nią w milczeniu osłupiałym wzrokiem.

- Ty i Kit - odezwała się wreszcie i aż gwizdnęła z podziwu. - Jak ja mogłam tego nie zauważyć?



- No i gdzie ty się znowu wybierasz, Annie?  
- zapytał Asa, kiedy Dianna i Mercy wyłoniły się z szopy z dwoma wielkimi koszami. - Wiesz, że nie lubię, gdy chodzicie za daleko.

- Nie dalej niż do sadu w Plumstead - odpowiedziała Dianna, spoglądając surowo na chichoczącą dziewczynkę. Jeżeli mała się nie uspokoi, zirytowany Asa nie pozwoli im wyjść i z pikniku będą nici. - Idziemy nazbierać jabłek na jutrzejszą szarlotkę.

- Na szarlotkę? Na jaką szarlotkę? - burczał stary.

- Na poczęstunek po ćwiczeniach. Obiecałeś, że nas weźmiesz - cierpliwie wyjaśniała Dianna, choć oboje doskonale wiedzieli, o co chodzi.

Wing westchnął ciężko.

- Ano tak, zgodziłem się. Chociaż na ćwiczeniach wcale nie będzie w tym roku tak wesoło, jak wam się wydaje. Jeżeli chłopaki mają choć trochę przyzwoitości i rozumu w głowie, to zamiast się oglądać za dziewczynami, będą ciężko pracować. Zobaczycie, że kapitan Tyler lepiej ich przećwiczy niż sam pułkownik Sparhawk. Po pierwsze, pułkownik jest zbyt łagodny dla tych

huncwotów, a po drugie, sam jest za szybki do kobiet i trunków.

Asa rozsiadł się wygodnie na ławie, pociągnął parę razy z fajki, by rozniecić żar i wypuścił kłęb dymu.

- A może spodobał ci się jakiś chłopak, co, Annie? Pamiętaj, że chcesz czy nie chcesz, musisz odsłużyć u mnie siedem lat. Wcześniej nie chcę słyszeć ani słowa na temat małżeństwa. Dziesięć gwinei to za duża suma, żeby tak ją wyrzucić na wiatr.

- Nie chodzi mi o żadnego chłopaka z Wickhamton - odezwała się Dianna, starannie ważąc słowa. Jak mógłby się jej spodobać ktokolwiek, oprócz Kita, pomyślała, zdziwiona niedomyślnością Asy. - Chcę iść ze względu na Mercy. Zbyt rzadko spotyka się ze swoimi rówieśnikami.

- Skoro tak, to wszystko w porządku - odparł rozpogodzony Asa. - Sam mam dziś coś do załatwienia w Wickhamton, ale rano was wezmę, tak jak obiecałem. Pewna jesteś, że dacie sobie radę beze mnie?

- Idź już, dziadku, do swojej roboty i puść nas z Dianną do naszej - odezwała się Mercy zniecierpliwionym tonem. !

Asa burczał jeszcze coś pod nosem, ale pocałował serdecznie wnuczkę i poszedł.

Dianna skończyła pakowanie jedzenia. Lubiła robić Mercy małe niespodzianki, tak jak przed laty lubiła, gdy robił jej niespodzianki ojciec. Zawsze wzruszała ją radość dziewczynki. Teraz też spojrzała z uśmiechem na małą, która tuląc ko-

ciaka, przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę-

Dianna podała Mercy jeden z pustych koszy na jabłka, sama wzięła drugi i do tego mniejszy koszyk z jedzeniem. Sięgnęła po ukryty za kredensem muszkiet. Zadawała sobie czasem pytanie, co bardziej zirytowałoby Ase: czy fakt, że ma strzelbę, czy to, że należy ona do Sparhawków? Tej jesieni jednak nic nie odwiodłoby jej od noszenia przy sobie broni.

Było chłodno i rześko. Na dębach i klonach zaczęły już żółknąć pierwsze liście. Gałęzie jabłoni uginały się pod ciężarem owoców, w powietrzu unosił się słodki zapach jabłek. Podczas gdy Lily uganiała się po trawie za unoszonymi przez wiatr liśćmi, Dianna i Mercy szybko napełniały koszyki. Za obietnicę, że pomogą przy żniwach, mogły zebrać jabłka na jabłecznik i do suszenia.

- Nie mogłobyśmy czegoś zjeść? - jęknęła Mercy. - Lily za chwilę zemdleje z głodu.

Dianna spojrzała sceptycznie na wesoło figlującego, pulchnego kotka.

- Jest jeszcze wcześniej, ale jeżeli Lily uważa, że już czas na jedzenie, to nie będę się z nią kłócić.

- To tak jedzą dżentelmeni i damy z Londynu? - zapytała podniecona Mercy, gdy Dianna rozłożyła na trawie dużą płócienną serwetę i zaczęła wypakowywać z kosza jedzenie. - Czy wolą jeść w ogrodzie, czy raczej w salach bankietowych?

- Nawet najelegantsza sala bankietowa może

się w końcu znudzić - odpowiedziała dziewczyna z powagą. - Oczywiście, to wszystko powinni przygotować lokaje przed naszym przybyciem. Tam, w cieniu, powinni siedzieć muzycy, którzy graliby podczas obiadu, a kiedy skończymy jeść, same mogłybyśmy śpiewać i tańczyć wśród drzew.

Im dłużej opowiadała Mercy o rzeczach, które kiedyś składały się na jej codzienne życie, tym bardziej sama odczuwała te opowieści jako fantastyczne i nierzeczywiste. Miała wrażenie, jakby to wszystko, o czym mówi, było tylko bajką. A co było jeszcze dziwniejsze, to fakt, że mieszkając w nędznej chacie pośród lasów lub zbierając z małą dziewczynką jabłka, czuła się znacznie szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd. Jeżeli tylko Kit kiedyś wróci, pomyślała i zaraz się poprawiła: Gdy już wreszcie Kit wróci...

- A jakie buty noszą damy do tańca? - dopytywała się Mercy.

- Pantofelki z takiej delikatnej skórki, że wystarczy jedna noc, żeby je do cna zedrzeć w tańcu - odpowiedziała Dianna z niezmaconą powagą.  
- Haftowane złotą nicią, ozdobione perłami i srebrnymi gwiazdkami, z brylantami na klamerkach. Kiedy tancerka machnie nogą wysoko w powietrzu, wszyscy myślą, że to gwiazdka spada z nieba.

Oczy zasłuchanej dziewczynki błyszcząły jak najprawdziwsze brylanty i Dianna po raz kolejny poczuła radość, że Mercy tak bardzo zmieniła się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. W tym samym

momencie twarz małej niespodziewanie spoważniała.

- Dziadek mówi, że to grzech tańczyć - odezwała się tonem do złudzenia przypominającym głos Asy. - Powiada, że to grzeszne zajęcie, które bierze się z nieróbstwa.

Dianna zawahała się przez chwilę. Nie chciała podważać nauk starego, ale z drugiej strony, co złego mogło się kryć w tańcu i śpiewie?

- Kiedy już człowiek zrobi wszystko, co miał do zrobienia - zaczęła ostrożnie - to wydaje mi się, że wtedy nie ma w zabawie nic złego.

Mercy przytuliła policzek do miękkiego kociego futerka i rzuciła Diannie szelmowskie spojrzenie.

- A więc, jeżeli nauczysz mnie tańczyć, gdy już skończymy zbierać jabłka, to nie będzie w tym nic złego, prawda?

Dianna westchnęła ciężko, a potem wybuchnęła śmiechem. Porwała małą na ręce i zakręciła w kółko, unosząc przy tym dziewczynkę wysoko w powietrze.

- Och, Mercy, Mercy. Nie powinnaś w ogóle wpadać na takie pomysły. Ale skoro już się tak stało... Chyba rzeczywiście nie będzie to grzech.

Kręciły się jak szalone, gdy nagle Dianna zauważyła pomiędzy drzewami postać idącego w ich stronę mężczyzny. Natychmiast postawiła dziewczynkę na ziemię i chwyciła oparty o pień jabłoni muszkiet. Tak jej się kręciło w głowie, że nie mogła się zorientować, czy zna człowieka, który się do nich zbliża, czy też jest to ktoś obcy. Na wszelki wypadek uniosła lufę strzelby.



- Nie boję się! - krzyknęła z bijącym sercem, przeklinając głupotę, która kazała jej kręcić się do upadłego.

Poczuła palce Mercy zaciśnięte na spódnicy. Miała nadzieję, że dziewczynka nie wyczuwa jej lęku. Diannie wydawało się, że widziała pośród drzew tylko jedną sylwetkę, zdawała sobie sprawę, że gdyby napastników było więcej lub gdyby chybiła, nie zdążyłaby nabić muszkietu powtórnie.

- Wyjdź i poddaj się! - krzyknęła. - Bo strzele!

W końcu drzewa przestały wirować wokół niej. Kapelusz z szerokim rondem ocieniał twarz wysokiego mężczyzny, idącego spokojnie w ich stronę.

- Ładne powitanie! - krzyknął i Dianna natychmiast poznała jego głos. - Nigdy nie przypuszczałem, że wracając do domu, trafię do kraju żądnych męskiej krwi Amazonek!

Obie jednocześnie wykrzyknęły to samo imię, ale Dianna pierwsza dopadła Kita.

- Och, Kit, Bogu niech będą dzięki, że wróciłeś! Tak się bałam...

- Zmartwiłabyś się, gdybyś mnie zabiła na powitanie, czy cieszyłabyś się z celnego strzału? - dopytywał się ze śmiechem.

Boże wielki!, pomyślał. Tyle razy układał sobie w głowie powitalne przemówienie, a gdy przyszło co do czego, droczy się z Dianną, tak jak zwykle ze swoimi siostrami. A jednak nigdy jeszcze nie czuł takiej radości, jak w tej chwili, przytulając dziewczynę.

Natychmiast zapomniał o całym zmęczeniu. Dianna dopiero teraz oprzytomniała.

- Przecież mogłam cię zabić - jęknęła, przerażona.

- Podejrzewam, że jednak chybiłabyś. Chwiałaś się jak pijana. Głowę dam, że musiałyście podczas zabawy opróżnić niejedną butelkę jabłecznika.

- Nic nie rozumiesz, Kit - odezwała się poważnym tonem Mercy. Dorośli podświadomie odstąpili od siebie na krok, choć Kit nie puścił ręki dziewczyny. Tak długo spotykał ją jedynie w snach, że nie mógłby nasycić się teraz samym jej widokiem.

- Jadłyśmy tu śniadanie na trawie.

- Co takiego?

- Śniadanie na trawie - powtórzyła za dziewczynką Dianna.

Kit po raz kolejny wybuchnął śmiechem. Miał wrażenie, że śni. Po trudach wyprawy, po bezdomności i niebezpieczeństwach stał nagle w pełnym jabłek sadzie, obok kobiety, którą kochał, nad szczebiocącym dzieckiem, patrząc na rozłożony na trawie obrus. Ta scena była tak spokojna i sielankowa, że aż trudno było uwierzyć w jej realność.

Dianna z kolei patrzyła na Kita z podziwem. Wychudł, skórę na twarzy miał tak ciemną, że wyglądał niemal jak Indianin. Tylko złociste włosy i jasna broda zdradzały, że nie jest czerwono-skórym. Tak wyraźnie promieniał zadowoleniem, że nawet nie musiała pytać, czy jego wysiłki uwieńczył sukces.

- To francuski zwyczaj. Damy i kawalerowie

jedzą na łące, zamiast w pałacu. A potem tańczą  
- wyjaśniała Mercy.

Tym razem roześmieli się oboje.

- Nie wszystko, co francuskie, jest złe, Kit -  
odezwała się Dianna, niepewna, co jej na to od-  
powie.

- A czy ty wiesz, że Attawan i ja przez ostat-  
nich sześć tygodni jadaliśmy wyłącznie śniadania  
na trawie? - zwrócił się Kit do Mercy. - Jak naj-  
prawdziwsi kawalerowie.

Ujął Dianę za rękę i z zaskoczeniem stwier-  
dził, że delikatna jeszcze niedawno skóra dziew-  
czyny zrobiła się szorstka. Zachowując cały swój  
wdzięk, Dianna z dnia na dzień stawała się coraz  
bardziej Amerykanką.

- I tak się do tego przyzwyczaiłem, że dziś  
z przyjemnością przyłączę się do waszego śnia-  
dania - dodał Kit.

Nie zwlekając, usiedli na trawie i Dianna za-  
częła rozpakowywać koszyk z jedzeniem. Podała  
mężczyźnie wielką porcję zapiekanej w cieście  
wołowiny. Obwąchał ją starannie i spojrzał jej  
w oczy zaskoczonym wzrokiem.

- Skąd to się wzięło? - zapytał nieufnie.

- Upiekłam wczoraj - wyjaśniła.

- Boże wielki, widzę, że nie marnowałaś tu  
czasu. Ja jeszcze ciągle mam przed oczami ku-  
chnię spowitą kłębam dymu, a ty tymczasem za-  
piekasz wołowinę z ziołami. Jeszcze trochę i He-  
ster będzie musiała wybrać się do ciebie po naukę.

- Ugryzł wielki kęs i wzniosł oczy do nieba.  
- Cudowne!

Dianna uśmiechnęła się, zadowolona. Nawet biorąc pod uwagę, że Kit musiał być nieźle wyposzczony, przyjemnie było widzieć i słyszeć jego zachwyty. W ich dotychczasowej znajomości było więcej napięcia i dramatycznych przeżyć, niż zwykłych prostych radości, więc oboje doceniali to, że mogą teraz tak spokojnie siedzieć na trawie, zajadając zapasy i popijając jabłecznikiem.

- A ja upiekłam ciasto! - odezwała się Mercy, która nie bez zazdrości przyglądała się, jak Sparhawk z apetytem zajada wypieki Dianny.

- Z przyjemnością spróbuję - odparł Kit z uśmiechem.

Dumna, że i ona ma się czym pochwalić, dziewczynka zaczęła rozwijać czystą ściereczkę. Rozłożyła ją na obrusie i ułamała duży kawał ciasta.

- Masz; tak sobie myślałam, gdy je piekłam, że może wrócisz - powiedziała i Dianna zdała sobie sprawę, że nie tylko ona i Hester czekały niecierpliwie na powrót Kita.

- Poczekaj - odezwała się, gdy ten wziął ciasto z rąk Mercy. - Poleję ci miodem.

Trochę miodu pociekło jej po palcach. Zanim zdążyła wytrzeć dłoń w ściereczkę, Kit chwycił ją za rękę i po kolei przeciągnął wargami wzdłuż każdego palca. Dotknięcie jego wilgotnych ust i delikatna pieszczota języka sprawiły, że po plecach przebiegły Diannie mrówki. Przypomniała sobie chwilę pożegnania, kiedy Kit całował ją w ciemnej stajni i gdy obiecał, że wróci, aby za-

doścuczynić pragnieniu, które tak silnie oboje odczuwali.

Zapatrzona w zielone oczy Kita, mimo woli pochyliła ku niemu głowę.

- No wiesz, Kit, jak możesz? - odezwała się zdegustowana Mercy. - Lizać komuś palce!

Dianna, zawstydzona, że zapomniała o obecności dziecka, chciała cofnąć rękę, ale Kit jej na to nie pozwolił.

- Mercy, kochanie - odezwał się, nie puszczać dłoni Dianny. - Gdzie się podziała Lily? Nie boisz się, że się zgubi?

Zakłopotana dziewczynka rozejrzała się dookoła, a nie widząc kociaka, zerwała się na równe nogi i pobiegła między drzewa.

- Tęskniłem za tobą - odezwał się mężczyzna z uśmiechem, od którego świat znów zawirował Diannie przed oczami.

- A ja za tobą - odpowiedziała i pogłaskała go po policzku. - Teraz, kiedy wróciłeś, czuję się tak, jakby po srogiej zimie znów nadeszła wiosna.

- Stajesz się przy mnie poetką?

- Poetką albo wariatką, sama nie wiem - westchnęła. - Może to dlatego, że nie spotykam się z nikim, oprócz Mercy. Asa trzyma się z dala od domu. Siedzimy we dwie i patrzymy na las, łąki, na kwiaty i drzewa. To wszystko jest tak cudownie, niesamowicie piękne, że aż zapiera dech.

- Od tego na pewno się nie wariuje - odpowiedział Kit z przekonaniem. - Zwariować można w Londynie, Paryżu albo innym wielkim mie-

ście. Ale cieszę się, że spodobało ci się tutaj. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, nienawidziłaś tej ziemi i jej mieszkańców.

Dianna zarumieniła się na wspomnienie tamtych słów.

- To było w złości - odpowiedziała szybko i zawstydzona, opuściła głowę.

Ich czoła znalazły się tuż obok siebie. Kit nagle spoważniał. Tak dawno się nie widzieli, tyle rzeczy się zmieniło. Słowa rzucone w złości straciły dla Dianny swoje znaczenie. A te inne? Te, które także wypowiadała w uniesieniu, przytulając się do niego? Pierwszy raz w życiu bał się utracić czyjeś uczucie. Dotychczas nigdy nie czuł się naprawdę związany z żadną kobietą, wszystkie wydawały mu się równie słodkie i podobne do siebie. Teraz było inaczej.

- Dianno - zaczął i sam był zaskoczony powagą swego głosu - powiedz mi, czy inne rzeczy, które mi wtedy mówiłaś... czy też mają się inaczej, niż wtedy gdy wyruszałem?

- Inne rzeczy? - spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Niech to diabli! Kochasz mnie jeszcze? - odezwał się, nie kryjąc przejęcia. - Bo ja tak! Kocham cię, Dianno i jeżeli nie mam twojej wzajemności, to...

- Och, Kit - westchnęła, nie wiedząc, co ma mu właściwie powiedzieć. Objęła dłońmi jego zmęczoną twarz i spojrzała mu prosto w oczy. - Kochałam cię, gdy odpływałeś, kocham cię teraz i będę cię kochać już zawsze.

Przyłgnęła wargami do jego ust. W pierwszej chwili w ich pocałunku była tylko radość ze spotkania, ale już po chwili w obojgu obudziła się ta sama pasja i namiętność, z jaką się żegnali. Kit objął Dianne mocno za szyję i przyciągnął do siebie.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę - szepnął, odrywając usta od jej ust.

- Ja też cię pragnę, Kit - odpowiedziała bez tchu. - Ale zaraz wróci Mercy. Gdyby nas zobaczyła... Byłby to dla niej szok!

- Masz rację.

Wypuścił ją i przewrócił się na plecy. Był zdumiony zmianą, jaka zaszła w Diannie pod jego nieobecność. Dłonie dziewczyny stwardniały od pracy, a w jej sercu pojawiło się poczucie odpowiedzialności, które czyniło ją tym bardziej godną miłości. Przypomniał sobie, że kiedyś miał ją za zdeprawowaną rozpustnicę i omal nie wybuchnął śmiechem. Ta dziewczyna, mimo swojej namiętności i urody, będzie najcnotliwszą i najrozważniejszą żoną, jaką mógłby znaleźć w całej Ameryce. Potem przyszło mu do głowy, że gdy ożeni się z Dianną, Asa, być może, pozwoli im zaadoptować Mercy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to zanim jeszcze spadnie śnieg, będzie mieszkał w Plumstead z żoną i z dzieckiem!

- Dianno - odezwał się z błogim westchnieniem. - Tyle mam ci do powiedzenia. Jutro są ćwiczenia w Wickhamton...

- Wiem, Asa obiecał, że zabierze nas ze sobą. Mamy upiec szarlotkę.

- Wobec tego spotkajmy się wieczorem na wzgórzu za placem ćwiczeń. Tylko ty i ja.

Dianna dostrzegła kątem oka wracającą Mercy. Dziewczynka podskakiwała wesoło z kotkiem na ramieniu. Po raz ostatni musnęła wargami usta Kita.

- Do jutra zatem - szepnęła. - Wreszcie będziemy mieli dość czasu na rozmowę.

- Jesteś pewny, że ona jest kochanką Sparhawk? - Hertel de Rouville nie ukrywał wątpliwości. - Zwykła służąca?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - odparł Robillard pewnym tonem. - I wcale nie jest taka zwykła. Ludzie w Wickhamton mówią, że przywiózł ją z Londynu. A co najdziwniejsze, dziewczyna wcale nie mieszka ze Sparhawkiem, tylko ze starym zdziwaczalym traperem i jego wnuczką.

Pułkownik prychnął, zniecierpliwiony.

- Czuję, że to wszystko nie ma sensu. Może on z nią sypia, ale wątpię, żeby to było coś poważnego.

- Poczekaj aż ją zobaczysz. To wyjątkowa dziewczyna. Ma temperament jak Francuzka, a maniery jak najwytworniejsza dama.

- Domyślam się, że będziesz chciał zatrzymać ją dla siebie. - westchnął ciężko Hertel de Rouville.

W oczach Robillarda zabłysło podniecenie. Od tak dawna nie miał już białej kobiety. A w dodatku takiej, która znałaby francuski. Najbardziej



jednak cieszyła go myśl, że odbierze dziewczynę temu cholernemu Anglikowi.

- To chyba uczciwy podział, dla ciebie Sparhawk, a dla mnie dziewczyna?

Pułkownik powoli wysączył ostatnie krople brandy i odstawił pustą szklanę.

- Jeżeli, jak twierdzisz, uda się dzięki niej zważyć Sparhawk i o ile, oczywiście, ona sama przeżyje, to będzie twoja. - Przesłał Robillardowi uśmiech lodowaty jak ścięta mrozem rzeka. - Ale jeżeli gadasz bzdury i nie będziemy mieli z niej więcej pożytku, niż z jakiegokolwiek innej Angielki wtedy, *mon ami*, będziesz mógł tylko przyjrzeć się, jak rozprawia się z nią Abenaki. Powoli, bez pośpiechu, tak jak to lubią robić z białymi. A gdy już skończą, wtedy przyjdzie kolej na ciebie.



- Pięć, sześć, siedem, osiem... uuuch! - Dianna szybko wyciągnęła rękę i zamachała nią w powietrzu.

Piec był wreszcie dostatecznie gorący, by wsunąć do niego czekające na stole ciasto. Dianna rozпалиła ogień o świcie i przez kilka godzin nieustannie go podsycala, by mocno rozgrzać ścianki pieca. Przed chwilą wygarnęła płonące węgle i właśnie sprawdzała temperaturę. Wiedziała, że jeśli nie wytrzyma do dziesięciu, będzie to znaczyło, że piec jest dość gorący, by upiekły się w nim chrupiące złociste szarlotki. Kobiety w Wickhamton na pewno nie będą jej pobłażać, jeśli ciasto będzie nie dopieczone. Na ostatku wsunęła specjalną szarlotkę dla Sparhawk, ozdobioną sercami z ciasta.

Uśmiechnęła się, zadowolona. Kit był z powrotem w domu, był bezpieczny i kochał ją. Kochał ją! Czy mogłaby chcieć od życia czegoś więcej? Przez całą noc nie mogła zasnąć, nie mogła doczekać się ranka. Wiedziała, że jako dowódcy miejscowej milicji, Kitowi nie będzie łatwo wyrwać się spośród ludzi i spotkać z nią sam na sam. Tym bardziej cieszyło ją, że nie zamierzał odwlekać tego spotkania. Przypomniała sobie, jak

poprzedniego dnia w sędzie sprytnie pozbył się Mercy i zachichotała. Czuła, że Kit będzie równie gorliwie scałowywał jabłka z jej ust, jak miód z palców.

Otrząsnęła się z rozmarzenia. Na razie mogła zostawić ciasto w spokoju i zająć się sobą. Jeżeli nie chce powitać Kita z twarzą czerwoną od żaru i umorusaną popiołem, w pobielonej mąką sukni, to powinna czym prędzej przebrać się i umyć. Zanim skończy, ciasto będzie gotowe, a wkrótce potem zjawi się Asa i weźmie je do Wickhamton.

Razem z Mercy umyły się w strumieniu. Woda była chłodna i świeża. Chlapały na siebie i śmiały się, podniecone myślami o czekającym je popołudniu. Dianna najpierw splukała włosy wodą z octem, aby nadać im połysk, a potem ziołami, żeby pachniały. Wreszcie usiadły przed domem i czesały włosy, susząc je na słońcu.

Dianna zaplotła Mercy gruby warkocz i związała go czerwoną wstążką. Sama postanowiła ani nie zaplatać włosów, ani nie chować ich pod czepkiem czy chustą. Wiedziała, że starsi ludzie będą narzekać na obyczaje zepsutej młodzieży, ale niewiele ją to w tej chwili obchodziło. Szła do Wickhamton tylko dla Kita i dobrze wiedziała, że jemu będzie się tak podobać.

Prawdopodobnie mieszkańcy będą też wydziwiać nad jej strojem. Choć wprawna krawcowa zapewne niejedno mogłaby zarzucić jej ściegom, to na pewno nikt w okolicy nie miał takiej fantazji, jak ona. W prostej sukni wycięła głęboki dekolt i zwężyła talię, tak by lepiej uwydatnić swoją

zgrabną sylwetkę. Bez litości spruła czarną suknię, w której przybyła do Nowej Anglii, aby wykorzystać resztki koronek. Pocięła stare spodnie Toma Winga i zrobiła z materiału czerwone róże, którymi obszyła całą suknię. Wprawdzie suknia różniła się od tych, jakie nosiła w Londynie, ale była pewna, że i tak żadna kobieta w okolicy nie będzie miała równie fantastycznego stroju. A już na pewno żadna służąca. Kiedy się ubrała, pojawił się przed nią nieoczekiwany problem. Przerabiając suknię, miała na myśli wyłącznie Kita i nie wątpiła, że on będzie zachwycony. Gdyby nie wrócił, miała zamiar pójść ubrana jak zwykle. Ale co będzie, jeśli Asa uzna teraz, że przesadziła i każe jej się przebrać? Poprawiając nerwowo dekolt, który nagle wydał się jej zbyt śmiały, Dianna nie mogła odżałować, że nie ma lustra, w którym mogłaby ocenić ostateczny efekt.

- Och, Dianno, jak cudownie wyglądasz! - wykrzyknęła z zachwytem Mercy, zaglądając do niej na strych. - Jak królowa elfów!

- A nie wydaje ci się, że dziadek będzie niezadowolony? Że ta suknia wyda mu się nieskromna?

- Na pewno! Ale będzie się wstydził o tym powiedzieć!

Dianna przygryzła wargę i zastanawiała się, co począć.

- A może po prostu narzucę na ramiona chustę i zasłonę dekolt - zaproponowała.

- Nie! Nie rób tego. Tak jest dobrze. Zobaczysz, Kit zupełnie oniemieje na twój widok!

Dianna przyjrzała się dziewczynce uważnie, zastanawiając się, co właściwie Mercy może wiedzieć o jej związku z Kitem. Już, już gotowa była opowiedzieć o wszystkim, ale ostatecznie doszła do wniosku, że mała nie może mieć o niczym pojęcia i że na razie lepiej będzie jej nie wtajemniczać.

- Kit będzie taki zajęty i tyle będzie miał do opowiadania o swoich przygodach, że wątpię, aby znalazł dla nas choć chwilę - odezwała się wreszcie pełnym powątpiewania tonem.

- On zawsze ma czas dla przyjaciół - nie poddawała się Mercy. - Ledwo wczoraj wrócił, od razu przyszedł się z nami przywitać.

Dianna wołała nie zagłębiać się w te rozważania, więc zmieniła temat.

- Wydaje mi się, Mercy, że powinnaś zostawić Lily w domu. Między ludźmi będzie wystraszona, a gdy do tego zaczną strzelać, to gotowa jeszcze uciec nam do lasu.

Mercy z ciężkim westchnieniem odłożyła swoją ulubienicę na poduszkę. Bluzka dziewczynki pokryta była kocim puchem, ale Dianna postanowiła nie pogłębiać żalu małej próżnym strofowaniem. W drodze do Wickhamton będzie miała dość czasu, by doprowadzić strój Mercy do porządku.

- Powiedz jej teraz „do widzenia” i zejdź do mnie - powiedziała, schodząc po drabinie. - Za chwilę przyjdzie dziadek, nie każmy mu na siebie czekać.

Starając się nie pobrudzić sukni, Dianna ostroż-

nie wyciągała z pieca pięknie wypieczone ciasta i układała je na parapecie, by szybciej wystygły. Właśnie zsuwała ostatnią szarlotkę z drewnianej piekarskiej łopaty na długim trzonku, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi.

- Jesteśmy gotowe, Asa - odezwała się, zadowolona. - Chciałybyśmy zdążyć na strzelanie...

Odwróciła się, by powitać starego i głos zamarł jej w krtani. W drzwiach stali dwaj Indianie z muszkietami i tomahawkami. Ich torsy przecinały czerwone pasy, a białe i czarne kreski nadawały twarzom groźny wygląd.

Nie namyślała się ani chwili. Z całej siły uderzyła jednego z napastników łopata w głowę. Indianin zachwiał się pod ciosem, nie stracił jednak przytomności umysłu i wyrwał jej narzędzie z rąk. Drugi jednym skokiem dopadł Dianny. Jedną ręką objął ją w pasie, a drugą chwycił za włosy, popchnął i przycisnął do stołu.

Dziewczyna czuła ostry zapach niedźwiedziego sadła, którym wysmarowany był czerwono-skóry. Upragniony muszkiet znajdował się za kredensem, poza zasięgiem jej rąk. Przypomniała sobie o leżącym na stole nożu do owoców i na oślep sięgnęła za plecy. Kurczowo chwyciła trzonek noża i przerażona myślą, że być może za chwilę zabije człowieka, zadała cios. Indianin w ostatniej chwili wyczuł jej ruch. Nóż trafił go wprawdzie w ramię, ale nie zrobił większej krzywdy. Napastnik warknął wściekle, puścił włosy dziewczyny i zacisnął stalowe palce na jej

nadgarstku. Dianna krzyknęła z bólu i nóż sam wypadł jej z ręki.

Indianin wykręcił jej ręce i przewrócił na ziemię. Przez chwilę, która dłużyła się jak wieczność, dziewczyna spodziewała się ciosu tomahawkiem. Zacisnęła oczy, jakby uciekając w głąb samej siebie przed straszną śmiercią. I wtedy niespodziewanie poczuła się znowu lady Dianna Grey, dziewczeczka nazwiska, którego nigdy nie splamiło tchórzostwo. Otworzyła oczy. Indianin żelaznymi palcami ścisnął jej nadgarstki i jednym szarpnięciem postawił na nogi. Pomimo potwornego bólu wykręconych ramion, Dianna nie wydała nawet jęku. Spojrzała swojemu napastnikowi prosto w oczy. Były kompletnie czarne i ziała z nich taka nienawiść, że dziewczynie ciarki przebiegły po plecach.

- Dianno! - wrzasnęła przeraźliwie Mercy, którą stojący na drabinie drugi Indianin ścigał właśnie ze strychu.

Kotek wypadł z rąk dziewczynki. Przerazone, zalane łzami dziecko nadaremnie wyciągnęło ręce ku swemu ulubieńcowi.

- Nic się nie bój, kochanie - odezwała się Dianna, z całych sił walcząc z drżeniem głosu. - Koty zawsze spadają na cztery łapy. Nic jej nie będzie.

Gorzej będzie z nami, dodała w myślach. Przez otwarte na oścież drzwi widziała płonąca stodołę. Płomienie błyskawicznie pożerały wysuszoną przez słońce strzechę. Na podwórzu miały się wystraszone kury. Indianin postawił płaczącą Mercy na ziemi i popchnął ją w stronę

Dianny. Dziewczynka schowała twarz w jej sukni, skulonymi plecami raz po raz wstrząsało łkanie. Czerwonoskóry podniósł z ziemi porzucony nóż. Jednym ruchem oberwał płócienną zasłonę z okna, oddarł pasek materiału, zawinął wokół ostrza i wsunął w płonący na kominku ogień. Płótno natychmiast zajęło się płomieniem. Mężczyzna przytknął zaimprovizowaną pochodnię do drugiej zasłony, wiszącej jeszcze na miejscu, a gdy stanęła w płomieniach, rzucił nóż między stojące w kącie koszyki.

- Dzikusy! - krzyknęła Dianna na widok ognia, błyskawicznie wspinającego się po drewnianej ścianie i łakomie liżącego strop. - Bezduzne dzikusy! Macie nas! To nie dość? Musicie jeszcze zniszczyć nasz dom?

Nikt jej nie odpowiedział. Indianin popchnął ją w stronę drzwi. Gdy zatrzymały się przy płocie, otaczającym gospodarstwo Asy, płomienie wyłoniły się nagle z pokrytego gontami dachu domu. Szybkość, z jaką dokonywało się dzieło zniszczenia, była przerażająca. Indianin puścił ręce Dianny, pewny, że mu nie ucieknie. Nie mylił się, dziewczyna klękła przed zapłakaną Mercy i objęła jej wstrząsane szlochem plecy. Czerwonoskóry warknął coś do niej, a gdy odwróciła się w jego kierunku, bez słowa machnął tomahawkim, jakby ostrzegając przed skutkami nieposłuszeństwa. Ten wymowny gest był bardziej przerażający niż wszelkie groźby. Wielki Boże, przemknęło jej przez myśl, czym ja sobie na to wszystko zasłużyłam?



Zwróciła spojrzenie na dom. Pomarańczowe płomienie buchały wysoko w niebo i spełzały po ścianach w dół, a żar ognia czuć było nawet w miejscu, w którym stały. Uświadomiła sobie, że z powierzchni ziemi znika nieodwołalnie jej dom. Tak właśnie pomyślała o nędznej chacie Asy. Zdażyła się tu zadomowić na tysiąc sposobów. Przypomniały jej się zioła, które zawiesiła pod stropem, muskiet stojący bezużytecznie za kredensem, wyszorowane w pocie czoła garnki, dynie i kolby kukurydzy, które pracowicie wyhodowała w ogródku. Wszystko to znikało raz na zawsze, ku uciechu mściwych dzikusów. Doceniła nagle to, co tak ją początkowo przerażało. Zwinność Kita, gotowość sięgnięcia w każdej chwili po nóż, brak wahania przed odebraniem życia napastnikowi, wszystko to miało głęboki sens, służąc ochronie budowanego w trudzie ładu.

Z całych sił powstrzymywała łzy, gromadzące się pod powiekami. Gdyby Asa wrócił do domu godzinę wcześniej, pomyślała z gorącością, byłybyśmy teraz razem ze wszystkimi, bezpieczne w Wickhamton. Zadała sobie pytanie, ile czasu upłynie, nim stary traper wróci do domu i odkryje, co się stało. Zanim dotrze do Wickhamton i wezwie pomoc, one obie będą już zmierzały ku swemu przeznaczeniu. Co je czeka? Czy trafią do zakonnicy, czy będą się musiały modlić do katolickich świętych? Czy też spędzą resztę życia w obozie czerwonoskórych? I jak długa będzie ta reszta życia?

Indianie nie zostawili jej wiele czasu na snucie rozważań. Jeden z nich popchnął mocno Dianę w stronę lasu, dając jej w ten sposób znać, że ma ruszyć z miejsca. Dziewczyna ujęła Mercy za rękę i poszły przed siebie. Zanim doszły do krańca polany, rozległ się za nimi huk. Dianna obejrzała się i zobaczyła, jak wali się dach, pod którym przeżyła kilka trudnych, a jednak tak szczęśliwych miesięcy.

Dla Kita najprzyjemniejszą częścią ćwiczeń były zawody strzeleckie. Choć sam, ze względu na sprawowaną funkcję, nie brał w nich udziału, lubił patrzeć na młodych mężczyzn, walczących o nagrody i na podziwiające ich dziewczęta. Wojskowi nie byli zachwyceni, ich zdaniem więcej czasu należało poświęcić na ćwiczenie szyku i zwrotów, ale Kit niewiele sobie z nich robił. W walce z niespodziewanie wyłaniającym się z lasu i równie szybko niknącym bez śladu nieprzyjacielem nie było miejsca na paradny krok i formowanie szyków. Tutaj liczyła się szybkość i celność każdego strzelca, a bardziej jeszcze nieustanna czujność i gotowość do walki.

Z rozmyślań wyrwały go gwizdy i śmiechy. Jeden ze strzelców chybił tarczy, budząc tym wesołość zgromadzonych. Kit skrzywił się, niezadowolony. Podejrzewał, że wśród ludzi pojawiło się już piwo, rum i jabłecznik, które miały zamknąć ćwiczenia. Większość osadników niedawno przybyła z Anglii i nie miała jeszcze pojęcia, jak potrzebna jest umiejętność posługiwania się bronią.

Może po powrocie do domu zastanowią się lepiej nad jego krótkim sprawozdaniem z wydarzeń, które rozegrały się w Deerfield i w przyszłości bardziej przyłożą się do ćwiczeń.

Kolejny strzelec nie chybił wprawdzie tarczy, lecz ulokował kulę na obrzeżu. Kit znowu skrzywił się z niezadowolenia. Z tego, co mówiła Hester wynikało, że Dianna pobiłaby na głowę większość zgromadzonych na placu mężczyzn. Myśl o tym, że drobna, wojownicza dziewczyna mogłaby nauczyć moresu tych wszystkich niezgrabnych chłopów, wydała mu się komiczna. Po raz kolejny przeszukał zniecierpliwionym wzrokiem twarze ludzi, stojących wokół placu. Dianny nie było.

Niech to diabli, powinny już dawno przyjść! Zamiast zdać się na Asę, trzeba było samemu je tu przywieźć. Przy całej nabożnej gadaninie o świętości rodzinnych więzi, ten stary bałwan nie miał najmniejszego poczucia odpowiedzialności za rodzinę, żywił natomiast szczere zamiłowanie do sprowadzanej z Quebecu taniej brandy. Na myśl, że Asa spokojnie drzemie gdzieś w cieniu drzew, Kit aż zatrzęsł się ze złości.

Opuścił strzelnicę i podszedł do miejsca, gdzie starsze kobiety szykowały wieczorny posiłek. Przypomniał sobie, że Dianna zamierzała upiec ciasto. Być może znajdzie ją przy stołach z jedzeniem. Przebiegł wzrokiem zgromadzone wokół kobiety. Bez rezultatu.

- Nie masz jej co szukać, chłopcze - odezwała się Hester, zanim jeszcze otworzył usta. - I pier-

wszy raz widzę, żeby Dianna się spóźniała. Nie pokłóciliście się chyba wczoraj? - Wyraz twarzy Kita w pełni wystarczył Hester za odpowiedź. - W takim razie Asa musiał je zatrzymać w domu. Trzeba będzie jeszcze poczekać.

- Pojadę po nie.

- Weź kogoś ze sobą - odpowiedziała, marszcząc zatroskana brwi. - Nic nie powinno się zdarzyć, ale diabli wiedzą... - urwała, lecz Sparhawk świetnie wiedział, że oboje myśleli o tym samym.

- Szybciej będzie, jeśli pojadę sam.

- Nie możesz jeździć do niej sam. Całe miasteczko będzie jutro mówić tylko o was!

- A niech sobie ludzie mówią, co im ślina na język przyniesie! - zawołał, biegnąc w stronę uwiązanych w cieniu drzew koni. - Wrócę z Dianną i Mercy, i Asą, jeśli tylko natknę się gdzieś po drodze na tego starego osła!

Dosiadł Pioruna i ruszył z kopyta. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie trzeba było zjechać z drogi, aby trafić do domu Wingów, zwolnił. Słońce było już nisko i na ziemi kładły się gęste cienie. Było cicho i spokojnie. Przy strumieniu Piorun gwałtownie zarżał i przysiadł. W powietrze uniosła się chmara kruków. Podczas gdy spłoszone ptaki sadowiły się na gałęziach drzew, Kit zeskoczył z konia i ze strzelbą w ręku powoli ruszył przed siebie. Wiedział, że zwierzęta często przychodzą umrzeć do wodopoju i czuł, że nie ominie go wyciąganie padliny z wody. Trzeba było to zrobić, żeby rozkładający się trup nie zatruwał strumie-

nia. Ostrożnie rozgarnął lufą gałęzie i ujrzał przed sobą ciało Asy.

Mężczyzna leżał na brzuchu, z karkiem zgruchotanym przez kulę. Nie został oskalpowany, lecz mordercy zdarli z niego ubranie.

Kit cofnął się, czując, jak uginają się pod nim nogi. Widział już w życiu gorsze widoki, znacznie gorsze, tym razem jednak nie chodziło o Asę. Nie mógł nic na to poradzić. Przed oczami miał matkę i Tamsin, Dianę i Mercy.

- Nie, tylko nie to! - szepnął bez tchu i nieoczekiwany skurcz ścisnął mu gardło. Oparł się o drzewo. W uszach dudniła mu krew. Nie mógł się ruszyć z miejsca. Przeklinał własną słabość. Boże miłosierny, nie Dianna, nie Mercy! Zebrał siły i dosiadł konia. Przejechał strumień i nie przestając szeptać słów modlitwy, pogalopował na wzgórze. Zapach dymu odebrał mu resztkę nadziei.

To, co zastał na miejscu, nie różniło się od widoku, jaki przedstawiała przed paroma miesiącami farma Barnardów. Dymiące zgliszcza, wśród których ledwo rysował się zarys domu z wznoszącym się pośrodku kominem. Ze stodoły i stajni nie pozostało dosłownie nic.

Kit wykrzyknął parę razy imiona Dianny i Mercy w nadziei, że może schroniły się gdzieś w lesie. Bez rezultatu. Uwiązał konia do drzewa i przepatrzył zgliszcza w poszukiwaniu ciał. Fakt, że ich nie znalazł, był już jakąś pociechą, choć niewielką. Podwórze przecinały ślady stóp. Dwóch mężczyzn w mokasynach i małe nóżki

w butach. Indianie byli tak pewni siebie, że nawet nie zadali sobie trudu, by zatrzeć ślady. Trop prowadził do lasu. Tu jego odnalezienie było już trudniejsze, ale Kit nie darmo wychował się wśród myśliwych.

Wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Sądząc ze zgliszcz, pożar wybuchł nie później niż sześć godzin temu. Wracając do Plumstead po pomoc, zmarnowałyby następną godzinę. W dodatku większa gromada ludzi mogłaby wypłoszyć Indian, którzy gotowi by zabić Dianę i Mercy. Z drugiej strony, napastników było tylko dwóch. Kit gotów był stawić im czoło.

W pewnym momencie jego uwagę przykuł dziwny kształt w piasku, tuż koło podwaliny domu. Przykucnął. Ciasto pękło, spadając z parapetu, i zwęgliło się w żarze, ale mimo to można było poznać zarys dwóch serc.

Coś otarło się o jego nogę. Lily zamiauczała żałośnie. Na jej grzbiecie znajdowały się ślady sady. Kit podniósł kotka i przycisnął do piersi.

- Nie jest najlepiej, Lily - szepnął zachrypłym głosem. - Ale nic się nie martw, znajdę je. Teraz już im się nie uda. Przysięgam ci na Boga, że tym razem nie zawiodę.



Marsz trwał już dziesięć dni. Indianie unikali otwartej przestrzeni, cały czas trzymając się lasu. Dianna dziękowała Bogu, że obie z Mercy przyzwyczajone były do długich marszów, bo Indianie szli szybko, robiąc jedynie krótkie przerwy na sen. Pamiętała jeszcze dobrze, jak po przymusowej bezczynności na pokładzie „Prosperity” z trudem nadażała za Asą, prowadzącym ją do domu. Jasne było, że czerwonoskórzy nie wykazyliby takiej wyrozumiałości wobec niej, jak stary traper. Nie miała pojęcia, ile kilometrów już przebyli ani ile im jeszcze pozostało do nieznanego celu. Zauważyła tylko, że słońce nieodmiennie zachodzi za jej lewym ramieniem i wyciągnęła stąd wniosek, że idą na północ.

Każdego dnia, przez wiele godzin marszu, Dianna miała przed sobą kark tego Indianina, który zawsze szedł na przedzie. Szybko dostrzegła różnicę między obu czerwonoskórymi. Ten, którego zraniła, najwyraźniej dowodził dwuosobowym oddziałem. Na imię miał Mattasoit. Dianna nie rozumiała, co prawda, języka porywaczy, zauważyła jednak, że tak właśnie zwracał się do niego jego towarzysz. Mattasoit był wysoki, szczupły i silny. Poruszał się z gracją drapieżni-

ka, podobnie jak Kit. Dziewczynę uderzyło to podobieństwo i zdała sobie sprawę, jak dalece Kit różnił się od innych Anglików i jak bardzo płynnością swych ruchów przypominał rdzennych mieszkańców tej ziemi. W tej myśli było jednak coś niepokojącego i Dianna wolała się skupić raczej na różnicach niż analogiach.

Najbardziej uderzająca była odmienność fryzury. Na czubku starannie wygolonej po bokach głowy czerwonoskórego wznosiła się wysoka kita włosów, w które wplecione były sznureczki z nanizanymi na nie kolorowymi muszlami i ptasie pióra. Pod farbą widać było tatuaż, ciemne kropki znaczyły wystające kości policzkowe, na ramieniu rysowała się sylwetka jelenia. W drugie ramię Dianna ugodziła go nożem. Indianin ostentacyjnie lekceważył ranę i w ogóle jej nie opatrzył. Dziewczyna wyciągnęła stąd wniosek, że choć nie udało jej się zabić napastnika, to przynajmniej zraniła boleśnie jego dumę. Ta myśl napawała ją skrytą radością. Nie była aż tak bezbronna, jak się spodziewali!

Choć drugi Indianin z pozoru nie różnił się od pierwszego, na jego twarzy pojawiało się czasem coś jakby wahanie, co łagodziło dziki wyraz pokrywających ją malunków. Co prawda, bez litości poszturchiwał Dianne muszkietem, ilekroć choćby na moment zwolniła kroku, ale w stosunku do Mercy wykazywał więcej cierpliwości. Czasem nawet dzielił się z nią wydobytą z worka kukurydzą i zebranych w marszu jagodami. Pomimo to Dianna nie potrafiła wzbudzić w sobie życ-



liwości wobec niego. Ilekroć wykonał jakiś ludzki gest, przypominało jej się, że to on podpalił jej dom. Mattasoit nazywał go Quabaugiem. Żaden z Indian nie miał koszuli ani kurtki. Ich odzienie ograniczało się do skórzanych mokasynów i obcisłych spodni, ramiona okrywali kocami. Przechodząc się przez zarośla i raz po raz zaczepiając falbanami sukni o kolczaste gałęzie, Dianna zadrzeżała czerwonoskórym ich strojów. Droga, którą wybrali, stanowczo nie była przeznaczona do przechadzek w paradnej sukni. Kiedy jednak któryś raz z rzędu, zniecierpliwiona, szarpała się z utrudniającymi jej marsz krzewami, niespodziewanie uświadomiła sobie, że każda pozostawiona wśród cierni koronka, każdy strzęp ubrania, znaczą trasę ich marszu i stanowią wskazówkę dla pogoni. Od tej pory, tak często, jak było to możliwe, starała się pozostawiać na ciernistych krzewach strzępy swojej sukni.

O ile tylko zdążyła za nimi jakaś pogoń. Z całego serca chciała wierzyć, że zostaną uratowane, ale, z drugiej strony, aż za dobrze pamiętała wszystkie powody, dla których nie ścigano porywaczy Dorothy Barnard i jej córek. Nie było żadnych przyczyn, by w ich przypadku sprawy miały się inaczej. Kto miałby się puszczać w pogoń za służącą starego traperera i jego wnuczką?

Kit!, odpowiadała sobie za każdym razem na to pytanie. Kit kocha ciebie i Mercy! Co myślał sobie, czekając na nią w dniu ćwiczeń w Wickhamton? Czy był zły, że nie przyszła, czy cierpiał, sądząc, że zmieniła zamiary? Pamiętała niepew-

ność, z jaką pytał ją po powrocie, czy go jeszcze kocha. Nie umiała zrozumieć, że ten silny mężczyzna może być tak wrażliwy. Nie chciała go ranić, nawet teraz, gdy stało się to nie z jej winy, pragnęłaby zaoszczędzić mu cierpienia. Pocięszała się myślą, że jest jeszcze Asa. Stary jest nieobliczalny, ale kocha Mercy i pewne jest, że zrobi wszystko by ją uratować.

A Kit, powtarzała sobie za każdym razem, gdy ogarniało ją zwątpienie, kocha ciebie! Cały czas pamiętała, że uratował ją w Londynie przed gniewem wuja, a potem wyniósł ją z domu, w którym omal nie uległa zezadzeniu. Kit ją kocha i nie zostawi jej bez pomocy. Ta myśl była dla niej jedyną pociechą, podczas gdy pograżali się coraz głębiej w odwiecznej puszczy.

Najbardziej troskała się o Mercy. Odkąd straciły z oczu dom, dziewczynka przestała szlochać i kompletnie zamknęła się w sobie. Szła obok Dianny z twarzą pozbawioną wyrazu, nie reagowała na to, co się do niej mówiło, a gdy zatrzymywali się na spoczynek, związała się w kłębek, zamykając oczy. Najpierw utraciła rodziców, teraz dom i ukochane stworzenie, które w jakiś sposób zastępowało jej rodzinne ciepło. Patrząc na nią, Dianna przypominała sobie martwą twarz Jeremiaha i zadawała sobie pytanie, czy uda się uratować Mercy przed podobnym losem, o ile w ogóle uda się uratować jej życie. Każdego ranka trudniej było obudzić małą, która z dnia na dzień traciła siły. Dianna nie miała wątpliwości, że Indianie mogą ją w końcu uznać za zbędny

ciężar i najzwyczajniej w świecie zabić. Myśl o tym i świadomość własnej bezsilności przyprawiła ją o rozpacz.

Tego wieczora, gdy przebyli rzekę, Dianna miała wrażenie, że jej najgorsze przeczucia stają się rzeczywistością. Indianie nie zatrzymali się, mimo że zaczął zapadać zmierzch, lecz nieprzerwanie maszerowali przed siebie. Zmęczona Dianna raz po raz potykała się o kamienie, a gałęzie chłostały ją po twarzy. Wieczór był chłodny, w powietrzu czuło się tchnienie nadciągającej zimy. Pomimo nieustannego marszu Dianna drżała na całym ciele i czuła, że idąca obok niej dziewczynka traci resztki sił.

- Musimy się trzymać, Mercy - odezwała się, chcąc w równej mierze dodać otuchy dziewczynce, jak sobie. - Kiedy idziemy, jest cieplej, niż wtedy gdy odpoczywamy.

W pewnym momencie usłyszała szum wody i po chwili wyszli spomiędzy drzew i znaleźli się nad rzeką. Skłębiony nurt huczał, rozbijając się o wielkie głazy. Mattasoit jednym susem dostał się na pierwszy z nich, potem przeskoczył na drugi, obejrzał się za siebie i niecierpliwym ruchem dał im znak, że mają podążać w jego ślady.

- Nie, Dianno, nie przeskoczę! - zaproponowała Mercy, potrząsając głową i cofając się w stronę lasu. - Wpadnę do wody i się utopię, a oni nawet nie zwrócą na to uwagi!

- Uspokój się, osiołku. Jestem przy tobie i nie pozwolę ci się utopić. Popatrz, tu nie jest wcale głęboko, nawet jeśli wpadniesz, to cię wyciągnę.

Dianna łagodnie pociągnęła dziewczynkę w stronę rzeki. Czuła na sobie niecierpliwe spojrzenie Mattasoita. Nie chciała straszyć Mercy, ale nie miała wątpliwości, że nie mogą się ociągać. Kit powiedział jej kiedyś, iż droga z Deerfield do Cjuebecu usiana była ciałami kobiet i dzieci, które nie były w stanie wytrzymać tempa marszu.

- U nas w strumieniu skakałaś po kamieniach jak żabka, pamiętasz? - odezwała się, chcąc dodać małej otuchy. - Chodź, będę trzymała cię za rękę i nie pozwolę ci wpaść do wody, ale nie możemy zwlekać, Mercy.

Z trudem udało jej się dociągnąć dziewczynkę nad brzeg.

- Policzę do trzech i skaczemy. Uważaj... raz, dwa, trzy i hop!

Głaz był mokry i bardziej śliski, niż się spodziewała. Diannie z trudem udało się utrzymać równowagę i uchronić Mercy przed upadkiem. Wzięła głęboki oddech i przymierzyła się do kolejnego skoku. Woda pomiędzy skałami huczała ogłuszająco, kłębiąc się wściekle wokół ich stóp. Rzeka, którą musiały przejść, w niczym nie przypominała strumienia koło domu, ale nie miały wyboru. Mattasoit patrzył na nie złym wzrokiem, a gdy napotkał spojrzenie Dianny, wymownym ruchem oparł dłoń na zatkniętym za pas tomahawku. Boże, jakże nienawidziła tego gestu, jakże nienawidziła tego potwornego człowieka!

- No, chodź, Mercy. Najważniejszy jest dobry początek, a nam już się udało zrobić pierwszy krok. Raz, dwa, trzy i hop!

Skoczyły tak czternaście razy i od przeciwnego brzegu dzielił je już tylko jeden sus.

- No i gotowe - odezwała się Dianna z westchnieniem ulgi. - Wiedziałam, że się nam uda.

Mercy odpowiedziała słabym uśmiechem i puściła jej dłoń.

- Rzeczywiście, nie było tak źle - odezwała się drżącym głosem.

Dziewczynka skoczyła po raz ostatni. Nie wzięła jednak pod uwagę, że porośnięty trawą brzeg był miękki i śliski. Przez moment wymachiwała rozpaczliwie rękoma, nie udało jej się jednak utrzymać równowagi i z rozpaczliwym krzykiem runęła do rzeki. Dianna natychmiast skoczyła za nią. Woda nie była głęboka i dziewczyna poczuła pod nogami kamieniste dno. Chwyła Mercy i z trudem wyciągnęła ją na brzeg. Żaden z Indian nie wykonał najmniejszego ruchu, aby im pomóc.

- Spokojnie, Mercy, nic się nie stało. Już jesteśmy bezpieczne - szeptała do ucha przerażonej dziewczynki. Obie miały mokre suknie, Mercy trzęsała się i szczękała zębami. Dianna poczuła na ramieniu dłoń Indianina. Nie rozumiała jego słów, ale widziała wyraźnie, że Mattasoit nie ma zamiaru zwlekać z dalszym marszem. Stała na równe nogi i spojrzała czerwonoskóremu w oczy.

- Nie możemy iść dalej - odezwała się zdesperowanym głosem, zapominając, że Indianin nie rozumie ani słowa. - Trzeba wysuszyć ubrania tego dziecka i ogrzać je przy ogniu.

Nie myślała w tej chwili o sobie. Wiedziała, że pomimo zimna nic jej się nie stanie, ale myśl o tym, jakie konsekwencje może mieć nieoczekiwana kąpiel dla Mercy, przejmowała ją przerażeniem.

Oczy mężczyzny zwięzły się w dwie szparki. Jego niecierpliwy gest jednoznacznie nakazywał im dalszy marsz.

- Nigdzie nie pójdziemy - odezwała się Diana zdecydowanym tonem. - Nie będziecie nas pędzić jak stada zwierząt!

Rozwścieczony czerwonoskóry z rozmachem uderzył ją w twarz. Zachwiała się, ale nie upadła na ziemię. Zamiast się przestraszyć, zapłonęła teraz gniewem, na który złożyło się wspomnienie wszystkich upokorzeń doznanych w ciągu tych dziesięciu dni.

- Nie masz prawa traktować mnie w taki sposób! - wrzasnęła wojowniczo. - Nie jestem twoją brudną żoną, jestem angielską damą i nic, co zrobisz, tego nie zmieni! Wielki mi wojownik, wszystko, co potrafisz, to znęcać się nad bezbronną kobietą i dzieckiem! Mercy i ja jesteśmy od ciebie sto razy dzielniejsze! Jesteś nikczemnym tchórzem i powiem o tym każdemu, kogo napotkam w Quebecu!

Z niezrozumiałych dla siebie samej przyczyn powtórzyła to ostatnie zdanie także po francusku. Mattasoit aż zatrząsł się ze złości i ku zdumieniu Dianny odpowiedział jej kulawą francuszczyzną.

- Gdybyś nie była tyle warta, wyrwałbym ci język, żebyś nie mogła więcej wygadywać takich

kłamstw! Masz nazywać mnie panem i masz słu-  
chać moich rozkazów!

Dianna była tak zaskoczona, że aż zapomniała  
o gniewie.

- W takim razie musisz zrozumieć...

Dłoń Indianina przecięła powietrze tuż przed  
jej twarzą.

- Niczego nie muszę! - zaprotestował ostrym  
tonem. - Ukryłaś przed swoim panem, że umiesz  
mówić po francusku. Twemu panu się to nie po-  
doba. Mam cię doprowadzić cało na miejsce, ale  
nikt nie wspominał o dziecku. Jeżeli zaraz nie ru-  
szysz, utopię je!

- Nie! - krzyknęła dziko Dianna. Jej spojrze-  
nie powędrowało w kierunku skulonej nad brze-  
giem rzeki Mercy i pochylonego nad nią Quabau-  
ga. - Zrób ze mną, co chcesz, ale zostaw w spo-  
koju to dziecko! Co ona ci złego zrobiła?

- Masz być posłuszna, bo zabiję twoje dziecko  
- powtórzył swoją groźbę Mattasoit, wyraźnie za-  
adowolony, że zdobył władzę nad Dianna.

Dziewczyna poczuła, że wszystko się w niej  
buntuje, ale dla dobra Mercy była zmuszona prze-  
łknąć to upokorzenie.

- Moja córka jest zmęczona, jeżeli nie rozgrzeje  
się przy ogniu, zachoruje. Jej choroba opóźni tylko  
dalszy marsz.

Mattasoit pokręcił głową.

- To nic. Jeżeli nie będzie mogła iść, zginie.  
- Uśmiechnął się błogo. - Pan pułkownik Hertel  
de Rouville da mi cztery sztuki złota za skalp an-  
gielskiego dziecka.

- Nie zrobisz tego!

- Twoje słowa drażnią moje uszy, Angielko. Złóścisz swego pana. Twoje dziecko nic mnie nie obchodzi. To Quabaug chciał ją wziąć, nie ja. Chce ją dać swojej siostrze, której dziecko umarło w zeszłym roku. Byłem zdania, że to żaden podarek, takie dziecko. Powiedziałem mu to, ale on się uparł.

Quabaug tymczasem ściągnął z nóg Mercy mokre pończochy i rozcierał jej stopy wprawny-  
mi ruchami. Kiedy tylko dziewczynka poczuła, że wraca jej krążenie, zawstydzona podkuliła nogi i ukryła je pod sukienką. Zamiast jednak udać się do Dianny, patrzyła rozszerzonymi oczami, jak Indianin rozpakowuje swój worek. Cjuabaug wy-  
ciągnął skórzane mokasyny i przymierzył je do trzewików dziewczynki. Wypchawszy czubki mokasynów suchymi liśćmi, tak by pasowały na nogę dziecka, podał je Mercy. Mała wahała się przez chwilę, ale przyjęła podarunek. Wsunęła stopy w mokasyny i spojrzała na Dianę, oczekując z jej strony aprobaty.

Ona tymczasem nie mogła oderwać oczu od innego przedmiotu, od starej płóciennej koszuli, którą Indianin położył na trawie, opróżniając worek. Angielska koszula z cerami, łatami i przenicowanym kołnierzykiem. Natychmiast ją poznała, nie dalej jak przed tygodniem miała ją w rękach. Na płótnie wyraźnie widać było rude plamy zaschniętej krwi.

Powoli, jak w koszmarnym śnie, podeszła bliżej i przewyciężając opór serca, przyjrzała się



strzelbie Indianina. Jak to możliwe, że do tej pory nie zauważyła wyraźnych korbów, znaczących lufę? Nie miała wątpliwości. Muszkiet należał do Asy.

Skrzyżowała ramiona na piersi i z trudem powstrzymała wybuch histerycznego śmiechu. Nikt ich nie uratuje, nikt nie będzie ścigał Indian, bo nikt nie ma pojęcia, że zostały porwane! Nie pozostawało jej nic innego, niż nienaganną francuszczyzną targować się o życie z Indianinem, którego twarz zdobiły pręgi, naśladujące wzory na grzbiecie skunksa.

Kiedy wreszcie zatrzymali się, by odpocząć, na parę godzin przed świtem, Mercy miała już ceglaste wypieki na policzkach i rozpalone czoło.

- Z... z... zimno mi D... Dianno - skarżyła się dziewczynka, walcząc z wstrząsającymi jej ciałem dreszczami.

Dianna przyłożyła rękę do jej czoła. Nie miała wyjścia. Z zaciśniętymi zębami podeszła do Mattasoita.

- Błagam cię - poprosiła, z trudem pokonując poczucie upokorzenia - Moja córka musi zjeść coś gorącego. Jeżeli ty albo Quabaug przynieslibyście królika albo jakiegoś ptaka, zrobiłabym pieczeń.

- Chcesz, żebym wypalił z muszkietu? - prychnął rozbawiony Mattasoit. - Tak, żeby każdy Anglik wiedział, gdzie jesteśmy? Nie jestem taki głupi, Angielko.

- Więc choć rozpalcie ogień. Choćby najmniejszy, żeby ona mogła się ogrzać.

- Ogień? Czego jeszcze chcesz? Może mam wspiąć się na drzewo i krzyczeć na cały głos, gdzie mają nas szukać?

- Ale przecież tu nikogo nie ma - jęknęła.  
- Błagam cię...

- Milcz, Angielko, jeżeli nie chcesz, żebym zaraz skończył z twoimi zmartwieniami - uciał Indianin i po raz kolejny opuścił rękę na tomahawk. - Ruszamy o wschodzie słońca.

Dianna patrzyła bez słowa, jak czerwonoskórczy zawijają się w koce i zdają natychmiast zapadać w sen. Skulona obok niej Mercy także spała, choć zrodzone z gorączki koszmary sprawiały, że dziewczynka wierciła się niespokojnie i jęczała przez sen. Starając się nie obudzić małej, Dianna objęła ją ramieniem i usiłowała ogrzać własnym ciałem. Mercy oddychała z trudem, jej pierś unosiła się i opadała niespokojnie. W pewnym momencie zakasłała. Nie było wątpliwości, dziecko dostało zapalenia płuc. Dziewczyna poczuła, że po policzkach spływają jej gorące łzy. Otarła je niecierpliwie wierzchem dłoni. Płacz nic tu nie pomoże, pomyślała. Uświadomiła sobie jednak z goryczą, że nie ma pojęcia, czy cokolwiek na świecie mogłoby im jeszcze pomóc.

Przez pożółkłe liście dębów zaczęły przedzierać się pierwsze promienie słońca. Gęsta mgła unosiła się nisko nad ziemią, spowijając pnie drzew w tajemnicze welony. W lesie było dziwnie cicho, jakby cała natura wyczekiwała na coś

niezwykłego. Dianna przypomniała sobie elfy, skrzaty i innych tajemniczych mieszkańców lasu, o których w dzieciństwie opowiadał jej ojciec. Tu jednak, w dziewiczej puszczy, ich obecność zdała się dziewczynie stokroć bardziej realna niż w Anglii.

Mercy poruszyła się niespokojnie i otworzyła oczy.

- Dianno? - szepnęła, z trudem chwytając ustami powietrze.

- Cicho, maleńka, śpij. Jeszcze nie idziemy.

Pogładziła dziewczynkę po rozpalonym czole.

- Nie mogę oddychać!

- To usiądź mi na kolanach. Może wtedy będzie lepiej.

Mercy posłusznie usadowiła się na jej udach i Dianna otuliła dziewczynkę ramionami. Ciężki, świszczący oddech małej nie pozostawiał wątpliwości, że ma zapalenie płuc. Myśl o czekającym je marszu napawała Dianę przerażeniem. Nie pozwoli tym dzikusom zostawić Mercy w lesie, nie pozwoli jej tknąć, choćby sama miała zginąć.

- Zaśpiewasz mi, Dianno? - szepnęła dziewczynka. - Tę piękną pieśń płaczącej królowej.

Dianna zawahała się przez chwilę. Nie chciała zbudzić Indian, ale Mercy ponowiła prośbę.

- Proszę cię. Tak bardzo lubię tę piosenkę.

Dianna uświadomiła sobie, że zaśpiewanie piosenki jest wszystkim, co może zrobić dla chorego dziecka. A jeśli to jest ostatnia prośba Mercy? Zdawała sobie sprawę, że życie dziewczynki wisi

na włosku. Dlaczego miała się liczyć ze śpiącymi obok nich mordercami?

- No, jeżeli to twoja ulubiona piosenka, to co innego - ustąpiła.

Zaczęła cicho, z trudem pokonując opór zaciśniętego z lęku gardła, ale czarodziejskie piękno muzyki sprawiło, że w końcu przestała myśleć o grozie sytuacji. Zamknęła oczy i podniosła głos, pozwalając pieśni rozbrzmiewać w zaczerpniętym lesie.

Gdy skończyła i otworzyła oczy, ujrzała przed sobą Mattasoita. Indianin kucnął o kilka kroków od nich i patrzył na nią wylęknionym wzrokiem.

- Jesteś *metulin*, Angielko? - odezwał się niespokojnie. - Nic mi o tym nie powiedzieli, kiedy wyruszałem.

- *Metulin?* - powtórzyła Dianna niepewnym głosem.

Mattasoit był wyraźnie zaniepokojony, a Quabaug wyglądał wręcz na przerażonego.

- *Metulin, metulin* - Indianin zastanawiał się, w jaki sposób wytłumaczyć Diannie po francusku, o co mu chodzi. - Rozmawiasz z duchami, tak? Umiesz czarować?

Nagle pojęła znaczenie jego słów. Chodziło o śpiew. Dla uszu czerwonoskórego aria z opery brzmiała jak czarodziejskie zaklęcie!

- Tak! - odpowiedziała pewnym siebie tonem, czując, że nie ma nic do stracenia. - Mówię do duchów i one mnie słuchają!

Mattasoit aż skulił się w sobie.

- A co im powiedziałaś? - Usiłował nadać

swojemu głosowi spokojne brzmienie, ale Dianna widziała, że jest teraz równie wystraszony jak Quabaug.

- Skarzyłam im się na to, jak nas traktujesz - odparła spokojnie.

- Jesteśmy o dwa dni drogi od wsi, Angielko - odpowiedział Indianin nerwowo. - W wiosce siostra Quabauga zaopiekuje się twoją córką. Nie będzie musiała więcej chodzić. Quabaug da jej swój koc i będzie ją niósł. Powiesz o tym duchom, Angielko? Powiesz im, żeby nie karały Mattasoita i Quabauga?

Po chwili namysłu Dianna skinęła głową.

- Powiem - odpowiedziała i poczuła, że otucha na powrót wstępuje w jej serce.



- Masz rację, Sparhawk - odezwał się Attawan. - Kobieta i dziecko są we wsi.

Kit zaklął i w bezsilnej złości uderzył ręką o ziemię. Byli tak blisko, niespełna pół dnia drogi dzieliło ich od celu.

- Widziałeś je? Czy nic im się nie stało?

Attawan siadł obok Kita.

- Kobieta jest zdrowa, ale dziewczynka choruje na płuca. Nie miała sił, by iść i dlatego Quabaug ją niósł.

Kit pokręcił głową. Kiedy odciski mokasynów zastąpiły ślady butów Mercy, był stropiony. Gdy zniknęły, uparł się, żeby przetrząsnąć okolicę w poszukiwaniu dziewczynki. Podejrzewał, że porywacze mogli ją zostawić w lesie. Nie mógł porzucić małej na pastwę losu, by ratować Dianę. Tom Wing zasłużył sobie na to. I Asa. I Tamsin...

Tymczasem okazało się, że Indianie po prostu nieśli Mercy. Banalnie proste wytłumaczenie jednego ze stu błędów, których nie przestawał sobie wyrzucać. Po pierwsze, Indianie nie poszli prosto na północ, jak to zakładał, ale na północny zachód. Zaścielające ziemię liście zacierały ich ślady skuteczniej niż śnieg. Jedynym znakiem, że

ktoś szedł przed nimi, była a to złamana gałązka, a to przewrócony kamień. Pierwszy skrawek koronki, znaleziony na kolczastej gałęzi, wydał mu się cudownym zrządzeniem losu. Gdy zorientował się, że Dianna umyślnie zostawia po drodze ślady, jego podziw dla niej wzrósł bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Zbierał każdy strzęp, jaki napotkał i składał wszystkie w kieszeni na piersi, jak talizman gwarantujący, że uda mu się ocalić Dianę. A teraz miał ją niemal na wyciągnięcie ręki. Dzieliła ich tylko góra i strumień.

- Ilu jest strażników? - dopytywał się niecierpliwie. - Czy trzymają je w domu, czy mogą wychodzić na dwór? Czy...

- Nie wydawało mi się roztropne zadawać za dużo pytań.

- Niech cię diabli porwą, Attawan. Nie po to cię ze sobą zabrałem, żeby słuchać twoich opinii!

- W ogóle nie zabrałeś mnie ze sobą. Sam się do ciebie przyłączyłem. I przypomnij sobie, że gdyby nie ja, czekałbyś teraz, związany jak baran, aż kobiety ze wsi zaczną cię torturować.

Indianin zamilkł i zaczął poprawiać rzemieńne wiązanie mokasynów. Najwyraźniej zastanawiał się, czy ma się obrazić na przyjaciela, czy darować mu porywcze słowa. W końcu rozstrzygnął na korzyść Kita. To zły duch musiał podszeptać Sparhawkowi jego głupią uwagę. Do niego, Attawana, należało teraz dopilnować, by biedak nie dał się popchnąć duchom do jeszcze głębszych czynów, które mogłyby kosztować go życie.

- Pamiętaj, że Pocumtuckowie nie kochają Anglików. Nawet takich baranich łbów, jak ty.

Kit westchnął ciężko.

- Masz rację, jestem barani łeb - przyznał. - I bez twojej pomocy nawet tu bym nie dotarł. Ale muszę je odzyskać, Attawan. Wrócimy dziś razem do wioski i odnajdziemy je.

Attawan skinął głową, zadowolony ze słów Kita. Sięgnął do torby, wydobył z niej fajkę i woreczek z tytoniem. Mimo że Sparhawk aż się palił z niecierpliwości, nie było nawet mowy, by zrobić cokolwiek przed zapadnięciem zmierzchu.

- Są więźniami Mattasoita, wojownika z plemienia Abenaki. To dzielny wojownik i Pocumtuckowie pozwolili mu się zatrzymać we wsi, bo się go boją. Dziwi mnie tylko, że tę kobietę, która u was jest zwykłą niewolnicą, traktują tak, jakby była bardzo cennym jeńcem.

- Służącą, Attawan, nie niewolnicą - poprawił go odruchowo Kit. - Ale masz rację, to bardzo dziwne.

- Mattasoit jest przekonany, że ona jest *metulin*, że umie rozmawiać z duchami.

Kit spojrział na przyjaciela z niedowierzaniem.

- Co takiego ona mogła wymyślić? To dobra chrześcijanka, nie żadna czarownica!

Attawan zasepił się, słysząc słowa Kita.

- Miejmy nadzieję, że Mattasoit niczego się nie domyśli. Gdyby się okazało, że go nabrała, wszyscy by się z niego śmiali. Zbiłyby ją wtedy, może nawet zabiłyby za to. W każdym razie nie byłaby już potem taką dobrą służącą, jak dotąd.



Dym z fajki unosił się w powietrzu i przyjemnie drażnił nozdrza. Kit uznał, że nadeszła pora, by powiedzieć przyjacielowi prawdę.

- Kiedy wrócimy do Plumstead, przestanie być służącą. Jeżeli tylko zechce, zostanie moją żoną.

Attawan nie okazał najmniejszego zdziwienia. Skinął tylko głową na znak, że rozumie.

- W takim razie dziś wieczorem uwolnimy twoją kobietę.

Dianna i Mercy zostały ulokowane w niewielkim wigwamie pośrodku wioski. Choć dziewczyna zdawała sobie sprawę, że Indianie zrobili to tylko po to, by łatwiej było ich strzec, to i tak odczuła prawdziwą ulgę, mogąc wreszcie zamknąć za sobą wejście do wigwamu i odizolować się od świata. Jediną osobą, która odwiedzała ją i Mercy, była stara Indianka. Nie podnosząc oczu, kobieta stawiała na matach glinianą miskę z jedzeniem i dzbanek z wodą, a potem wychodziła, nie patrząc na nie. Mattasoit i Quabaug trzymali nieprzerwanie straż przed wigwamem, ale nie zaglądali do środka, najwyraźniej unikając spotkania z Dianną.

Niewielki ogień, płonący pośrodku wigwamu, dawał przyjemne ciepło. Kiedy oddech Mercy uspokoił się trochę i dziewczynka wreszcie mocno usnęła, Dianna odetchnęła z ulgą. Pogładziła kędzierzawą główkę małej i poprawiła okrywający ją koc. Ilekroć Mercy otwierała oczy, nakłaniała ją do jedzenia. Stara kobieta przynosiła im

fasolę, placki kukurydziane, kawałki pieczonego mięsa. Fakt, że mieszkańcy wsi najwyraźniej dzielili się z nimi wszystkim, co tylko mieli dobrego, był niezwykły. O czymś takim Dianna nigdy nie słyszała w Plumstead. Inna sprawa, że nigdy nie słyszała również, by jakaś biała kobieta uznana została za *metulin*.

Drugiego dnia po południu poczekała, aż Mercy zaśnie i podciągnęła zamykającą wejście do namiotu skórę, by porozmawiać z Mattasoitem. Nie zdawała sobie sprawy, jak ciemno było wewnątrz wigwamu i gdy wyszła, oślepił ją blask zachodzącego słońca.

- Schowaj się do środka, Angielko - odezwał się Mattasoit głosem, w którym można było wyczuć cień dawnej buty. Indianin miał świeżo pomalowaną twarz, a we włosach więcej niż dotąd piór i muszelek. - Nie powinnaś się pokazywać.

Dianna władczo uniosła głowę i obdarzyła czerwonoskórego surowym spojrzeniem.

- Widzę wyraźnie, że nie jesteśmy w twojej wsi. To nie twoje plemię - zaczęła. - Czemu się tu zatrzymaliśmy? To nie są tacy wielcy wojownicy, jak ty.

Zauważyła, że Mattasoitowi pochlebił jej komplement.

- Czekamy tu na ludzi, którzy cię szukają.

- Co to za ludzie? - zapytała szybko, nie potrafiąc ukryć podniecenia. Przyszło jej do głowy, że Indianinowi chodzi o wysłanników z okupem.

- Najpierw przyjadą Francuzi - odpowie-

dział, odbierając Diannie ostatnią nadzieję.  
- Grubas obiecał mi za ciebie czterdzieści sztuk złota. Bardzo mu zależało na tym, żeby cię dostać.

- Jak on ma na imię? - spytała, z trudem kryjąc przerażenie.

A więc nie została porwana przypadkiem! Wybrano ją z rozmysłem. Grubasem, o którym mówił jej Indianin, mógł być tylko Robillard, nikt inny nie miał pojęcia o jej istnieniu. Przypomniała sobie pożądlivy wzrok, jakim tłuścioch patrzył na nią w Plumstead. Mattasoit ma rację, Robillard jej pragnie, pomyślała i zrobiło jej się niedobrze.

- Duchy ci nie powiedziały? - spytał Indianin z leciutką nutką ironii w głosie.

Dianna nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego uszczypliwość.

- Duchy nie przejmują się takim nędznym psem, jak jakiś tłusty Francuz.

Mattasoit odwrócił od niej wzrok i potarł palcem lufę muszkietu.

- Francuz. Nie wiem, jak mu na imię i nic mnie to nie obchodzi. Ważne, żeby przywiózł złoto. Potem sobie ciebie weźmie, a Quabaug weźmie twoją córkę. Później przyjedzie Anglik.

- Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Jesteś jak kura, którą się uwiązuje w zasadzce, żeby zwabić wilka.

Ze zgrozą pojęła wreszcie, o co chodzi. Chcieli się nią posłużyć, by zwabić Kita w pułapkę.

- On tu nie przyjedzie! - wybuchnęła, daremnie walcząc z dławiącym lękiem. - Gdyby szedł

naszym tropem, już by cię miał. Słyszysz? Nie przyjedzie!

- Przyjedzie i zginie. Ty pójdiesz do Francuza, a twoja córka do siostry Quabauga. - Uśmiech zniknął z twarzy Indianina. Chwytał się palcami za dolną wargę. - Posłuchaj swoich duchów, *metulin*. Zobaczysz, powiedzą ci, że to wszystko prawda.

Dianna podniosła jelenią skórę i skryła się w namiocie, świat wirował jej przed oczami. Teraz, kiedy wiedziała już, że Kit nie powinien iść za nimi, była zarazem pewna, że właśnie je szuka. Czuła, że musi być gdzieś niedaleko, czekając na okazję, by odzyskać ją i Mercy. Zginie, próbując je ratować, a winny temu będzie nie kto inny, tylko ona. Nie potrzebowała żadnych duchów, żeby wszystko zrozumieć. Zaciśnęła pięść i przycisnęła do ust, jakby pragnąc cofnąć wszystkie kiedykolwiek wypowiedziane słowa, które doprowadziły do takiej sytuacji.

- Co się dzieje, Dianno? - odezwała się Mercy z buzią zarumienioną od snu i gorączki. - Co się stało?

- Nic, kochanie, nic się nie dzieje - odpowiedziała z trudem. Tymczasem, jakby na przekór jej słowom, za ścianą namiotu rozległy się odgłosy prowadzonej po francusku gwałtownej sprzeczki. Dianna chwyciła Mercy w ramiona i przyciągnęła do siebie.

Skóra zasłaniająca wejście znowu się uniosła i do wnętrza wigwamu wsunął się ubrany na czarno wysoki, tęgi mężczyzna. Czerwoną twarz

okalała starannie przycięta broda, pod wielkim nosem jeżył się wąs. Za nim wszedł Mattasoit. Dianna dostrzegła przede wszystkim białą kolo-ratkę i srebrny krzyż. Serce zabiło jej z radości: sługa Boży! Są uratowane!

- Więc to ty, córko, jesteś tą Angielką, która ma rozmawiać z duchami, tak? - zaczął ksiądz tonem chłodnej dezaprobaty. - Protestantkie sztuczki. Wierząc w takie bluźnierstwa, Mattasoit, skazujesz swoją duszę na wieczne potępienie.

- Uważaj, ojciec - odezwał się Indianin. - Ona mówi twoim językiem.

- Tak, panie, i nie wstydzę się niczego, co zrobiłam - odezwała się Dianna, nie wypuszczając Mercy z objęć. - A jeżeli w swoich słowach oddaliłam się od prawdy, to tylko po to, by uratować życie tego dziecka.

Ksiądz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Nic mi nie mówiłeś, że jest z nią dziecko - zwrócił się znów do Indianina. - Pułkownik do niczego nie potrzebuje tego niewiniątka.

- To dziecko jest moim jeńcem, tak jak jego matka. Będzie żyło wśród mego ludu.

- I zaprzepaści swą duszę. - Z wyrazem głębokiego namysłu na twarzy ksiądz ujął w palce srebrny krzyż. - Chodź do mnie, dziecko. Twoja matka wybrała drogę do piekła, ale twoją duszę ciągle jeszcze można ocalić. Siostry zakonne nakarmią cię i nauczą prawdziwej wiary.

Mercy tyle tylko zrozumiała ze słów Francuza, że chce oddzielić ją od Dianny. Przerażona, przylgnęła mocniej do dziewczyny.

- Nie możesz mi jej odebrać, księżu! - krzyknęła Dianna. - Katolik czy nie, pozostajesz chrześcijaninem, a żaden uczciwy chrześcijanin nie odbierze matce jej dziecka!

- Jeżeli naprawdę ją kochasz - odezwał się surowo - to powinnaś być mi wdzięczna, że uratuję jej nieśmiertelną duszę. Siostry zadbają o nią lepiej niż ty.

Rozgniewany Mattasoit chwycił duchownego za ramię.

- Powiedziałem ci już, że obie należą do mnie!

Ksiądz spojrział na rękę Indianina i nagle, jakby na dany znak, wejście do wigwamu odchyliło się jeszcze raz i do środka wsunęły się lufy dwóch muszkietów, należących do żołnierzy we francuskich mundurach. Dłoń Mattasoita opadła.

- Oczekujesz wynagrodzenia za swoje trudy, synu - odgadł ksiądz i wyciągnął z kieszeni garść monet. Rozżłoszczony Indianin nie nadstawił dłoni i miedziaki posypały się na wyściełające wigwam skóry. - Niech się dzieje wola nieba - dokończył z westchnieniem duchowny.

Z zaskakującą prędkością chwycił Mercy w pasie i wyrwał z objęć Dianny. Dziecko wrzasnęło, a dziewczyna natychmiast poderwała się na nogi. Nim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, ksiądz wypadł z wigwamu, a żołnierze zatarasowali przed nią wyjście. Przez ich ramiona Dianna widziała, jak ksiądz, nie puszczając wierzgającej dziewczynki, dosiada konia i sadza ją przed sobą. Żołnierze popchnęli dziewczynę w głąb namiotu, a potem także wsiedli na konie.

Patrzyła za odjeżdżającymi mężczyznami, a kiedy zniknęli jej z oczu, wybuchnęła głośnym płaczem, nie zwracając uwagi na otaczających ją Indian. Straciła ojca, dom, a teraz jeszcze Mercy, nic jej już nie pozostało.

Mattasoit chwycił Dianę za ramię i brutalnie nią potrząsnął.

- Wstawaj, jedziemy.

- Za nimi? - spytała, całkowicie zdezorientowana, patrząc na niego przez łzy.

- Po co? Powiedziałem ci już, że dziecko do niczego nie jest mi potrzebne. - Twarz Indianina wykrzywiła wściekłość. - Anglicy, Francuzi, wy, biali, wszyscy kłamiecie. Mam tego dość. Kiedy tamci biali przyjadą po ciebie, będziemy już daleko. Wtedy to ja się będę śmiał!

Palce Indianina zacisnęły się na ramieniu Diany, a ostre paznokcie naznaczyły jej skórę sińcami.

- Gdybyś była prawdziwą *metulin*, ksiądz nie dałby ci tak łatwo rady. Ale ty mnie oszukałaś, tak jak wszyscy. Zanim dojedziemy do mojej wsi, będziesz mnie błagała, żebym cię oddał Francuzom.

Kit i Attawan czekali niemal całą noc. Dopiero na godzinę przed świtem, w porze gdy wszyscy śpią najgłębszym snem, ruszyli w stronę wsi. Księżyc skrył się za chmurami i noc była ciemna, ale Kit na wszelki wypadek ukrył swe jasne włosy pod kapeluszem, a twarz uczernił popiołem z ogniska. Choć Attawan zapewniał go, że mie-

szańcom wioski nie zależy na Mercy i Diannie, i nie będą narażać życia, by je zatrzymać, Kit wołał nie zdawać się tylko na ich dobrą wolę. Zamierzał zabić porywaczy, zabrać ich ofiary i zniknąć w mroku nocy, nie budząc nikogo. Zostawili więc muszkiety, zabierając ze sobą tylko noże, broń, która morduje szybko i cicho. Kit nigdy nie lubił zabijać ludzi, niezależnie od koloru ich skóry, ale też nigdy nie wahał się, jeśli nie miał wyboru.

Gdy przemykał wraz z Attawanem między wigwamami, z trudem zmusił się, by przestać myśleć o Diannie. Skupił się wyłącznie na długim nożu, który trzymał w ręku. Jednak gdy znaleźli się u celu, od razu wiedział, że stało się coś złego. Przed wskazanym przez Attawana wigwamem nie było wartowników. Indianin mruknął coś, czego Kit nie zrozumiał i wsunął się do środka. Kita dobiegły odgłosy szamotaniny i zduszone szepty. Wsunął się za przyjacielem do ciemnego wnętrza. Attawan rozmawiał ze starą kobietą. Potem odwrócił się i wyszedł z wigwamu, ciągnąc Kita za sobą.

- Co ona ci powiedziała? Mów, na miłość boską! Gdzie jest Dianna?

- Opuścili obóz przed zachodem słońca. Francuski ksiądz i dwóch żołnierzy zabrało córkę Toma Winga, a Abenaki twoją kobietę.

Cios był silny. Znów się spóźnił, znów popełnił błąd.

- To dziwne, że się rozdzielili - powiedział nieswoim głosem. - Czy wiadomo, dokąd pojechali?



Attawan pokręcił głową.

- Musimy się rozstać. Ja pojedę za księdzem. Do ciebie należą Abenaki. Znajdziesz ich i pokażesz swojej kobiecie, że jesteś jej wart. Ruszaj, Sparhawk!

Kosz, który Mattasoit założył Diannie na ramiona, był ciężki, wąskie paski wrzynały się boleśnie w jej ciało. Starła się nie myśleć o bólu, który dodatkowo utrudniał jej marsz po nierównym gruncie. Ilekroć zwalniała kroku, Mattasoit szturchał ją i obrzucał wyzwiskami. W pewnym momencie potknęła się o korzeń, straciła równowagę pod ciężarem kosza i upadła. Rozcięła sobie wargę i od tej pory czuła w ustach metaliczny smak krwi. Gdy z trudem podnosiła się z ziemi, Mattasoit splunął tylko w jej stronę i poszedł szybko dalej. Dianna wlokła się teraz za nim, z trudem odgadując kierunek, w którym się udał, popędzana przez Quabauga. Kiedy ruszyli pod górę, miała ochotę paść na kolana i płakać. Zaciśnęła zęby. Przy każdym kroku modliła się, by starczyło jej sił na następny.

W pewnym momencie ciszę lasu przerwał huk wystrzału. Quabaug zwałił się na Dianne i swoim ciężarem przewrócił ją na ziemię. Przez moment leżała oszołomiona, potem uniosła głowę i rozejrzała się dookoła. Daremnie usiłowała strząsnąć z siebie martwe ciało Indianina, który opadł na kosz. Nie miała pojęcia, skąd padł strzał.

I wtedy ujrzała Kita. Wskoczył spomiędzy kamieni i biegł do niej. Jego złote włosy zdawały

się płonąć w słońcu. W rękę trzymał strzelbę. Nad nim, spomiędzy porastających wzniesienie krzaków, wyłonił się Mattasoit. Indianin znieruchomiał, uniósł muszkiet i zmrużył oczy, celując w plecy biegnącego mężczyzny.



Dopiero gdy zobaczył Dianę na własne oczy, Kit poczuł, ile naprawdę znaczyła dla niego groźba, że jej nie odzyska. Jakby jakaś część jego serca, która w obawie przed bólem wyrzekła się nadziei, teraz na powrót ożyła. Widząc Dianę zrozumiał, że gdyby rzeczywiście ją utracił, jego życie straciłoby wszelki sens.

Zaczajony między głazami widział siniak na jej policzku, poszarpane ubranie, ogromny kosz, pod którego ciężarem jej drobna sylwetka zginała się do ziemi. Maszerujący za Dianą Abenaki szedł lekkim krokiem. Nic dziwnego, nie niósł niczego, poza muszkietem Asy. Zginał w momencie, gdy kula przeszła mu pierś, szybką, lekką śmiercią. Kit czuł, że zbyt szybką i zbyt lekką, jak na to wszystko, czego się dopuścił. Ale to nie miało w tej chwili znaczenia. Liczyło się wyłącznie uwolnienie Dianny. Biegając ku niej, Kit nie myślał o niczym innym, tylko o tym, by wziąć ją w ramiona, całować i błagać o wybaczenie za to, że pozwolił jej tak cierpieć.

Ku jego zaskoczeniu jednak, twarz dziewczyny nie wyrażała radości. Usta Dianny wykrzywiło przerażenie, a zalęknione oczy patrzyły gdzieś za jego plecami.

To nie rozum, to instynkt kazał mu paść na ziemię. Kula gwizdnęła Kitowi nad głową i ugrzęzła w liściach. Usłyszał bojowy okrzyk wojownika Abenaki. Momentalnie przekreślił się na plecy i poderwał na nogi. Mattasoit z uniesionym wysoko tomahawkiem był o krok przed nim. Unosząc oburącz muszkiet, Kit zasłonił się przed ciosem, ale pod ciężarem ciała rozpędzonego mężczyzny stracił równowagę i obaj potoczyli się po zboczu. Tomahawk świsnął w powietrzu. Kit uchylił się przed morderczym ciosem, lecz w miejscu, gdzie topór wbił się w ziemię, pozostał pukiel jego złotych włosów. Odepchnął Mattasoita i błyskawicznym ruchem wyciągnął długi nóż.

Mężczyźni stali naprzeciw siebie. Obaj byli równego wzrostu, równie silni i wprawieni w walce. Przez chwilę krążyli wokół siebie, dysząc żądzą krwi. Dianna wciąż nadaremnie usiłowała wydobyć się spod ciężaru zwłok Quabauga i ogromnego kosza. W trawie nie opodal niej leżał muszkiet Asy. Gdyby tylko mogła go dosięgnąć... Kit pierwszy podjął atak. Rzucił się na Mattasoita i w tym momencie było już za późno, by Dianna mogła cokolwiek zrobić. Mężczyźni zwarli się w ostatecznym starciu. Zamknęła oczy. Nie pozostawało jej nic innego, niż czekać na wynik. Nie trwało to długo. Usłyszała straszny krzyk ginącego człowieka, brzmiący tak dziko i obco, że nie potrafiła odgadnąć, kto go wydał.

- Boże miłosierny - modliła się drżącymi usta-

mi, nie śmiejąc otworzyć oczu. - Pozwól, by to Kit zwyciężył, pozwól, by przeżył, a nigdy już nie poproszę cię o nic więcej!

Chwilę później Sparhawk odrzucił już zwłoki Quabauga i ściągał z jej ramion kosz. Dianna słyszała własny płacz, czuła, że po policzkach płyną jej łzy i z całych sił tuliła się do Kita.

- Kit, och, Kit, tak się bałam, że już nigdy cię nie zobaczę - szeptała, wtulona w jego pierś. - Mój ukochany, mój jedyny, mój najdroższy!

Nagle uświadomiła sobie, że Kit nie odwzajemnia jej uścisków i w jakiś dziwny sposób wydaje się ciężko na niej wspierać. Zaskoczona chciała się odsunąć, aby spojrzeć mu w oczy, gdy naraz stał się jeszcze cięższy i zorientowała się, że stoi tylko dlatego, że to ona go podtrzymuje.

- Za wzgórzem... - szepnął urywanym głosem - tam jest kryjówka. Musisz odpocząć, najdroższa, musisz...

Nie dokończył i zawisł na niej całym ciężarem ciała. Patrzył jej w oczy niewidzącym wzrokiem, a jego opalona twarz dziwnie zbladła. Teraz dopiero Dianna zauważyła, że krew, plamiąca jego koszulę, to wcale nie krew Mattasoita. Włosy za uchem i szyja Kita były lepkie od krwi.

- To ty musisz odpocząć - powiedziała, ze wszystkich sił starając się nie dopuścić, by upadł. Na miłość boską, pomyślała, zrozpaczona, dlaczego akurat ja muszę być taką małą kobietą w świecie pełnym ogromnych mężczyzn? Zarzu-

ciła sobie ramię Kita na szyję i zaczęła go prowadzić.

- Słuchaj, kochanie! Musimy dotrzeć do twojej kryjówki, ale sama nie dam sobie rady. Pomóż mi! Proszę, nie mdlej, Kit!

Miał wrażenie, że głos Dianny dobiega z bardzo daleka, śmieszyła go myśl, że miałby zemdleć. Cóż to za pomysł, mężczyźni nie mdleją! Czuł się tak, jakby wypił kilka kieliszków whisky, ale to nic strasznego... Zaraz, zaraz, przecież byli w lesie, dlaczego nagle znaleźli się na zabawie... Nic nie szkodzi, szumi mu w głowie, ale za chwilę zatańczy z Dianną, żeby tylko mógł ją wziąć w ramiona... Miał wrażenie, że dziewczyna uchyla się przed jego objęciami. Jak ona może tak się z nim droczyć? Nic nie rozumiał.

Dianna sama nie wiedziała, jak jej się udało przeprowadzić Kita na drugą stronę wzgórza. Rozglądała się wokół, bojąc się, że nie zauważy kryjówki, o której mówił. Na szczęście okazało się to dużo prostsze, niż się spodziewała. Na polanie, nad niemal wyschniętym strumieniem, znajdowały się resztki indiańskiego obozowiska. Odchodząc, Indianie zabrali ze sobą skóry, które, po rozpięciu ich na wygiętych półkolistych żerdziach, tworzyły wigwamy. Pozostał tylko jeden wigwam, zapewne zbyt stary, by opłacało się go związać razem z resztą obozu. Ostatkiem sił wciągnęła tracącego przytomność mężczyznę do środka. Tam, jakby czując, że wreszcie może sobie pozwolić na słabość, Kit mruknął coś niezrozumiale i runął na ziemię, jak kłoda.

Dianna odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po wnętrzu wigwamu. W ścianach były dziury, na podłodze nie było trzciniowych mat ani skór. I tak jednak było to lepsze, niż mieszkanie pod gołym niebem. Szybko pomaszerowała na miejsce niedawnej walki. Najpierw przydźwigała do wigwamu kosz z zapasami, jakie Mattasoit otrzymał od Pocumtucków - dwie derki, rondel, wędzone mięso, orzechy, suszoną kukurydzę i jagody. Wróciła raz jeszcze i podeszła do zabitych. Z trudem przezwyciężyła przerażenie, jakie budziły w niej martwe ciała i wyciągnęła tomahawk ze sztywniejących palców Mattasoita, a potem odcięła rzemień, na którym miał zawieszony na szyi woreczek z prochem i kulami. Później tak samo postąpiła z Quabaugiem i z rękami pełnymi broni wróciła biegiem do wigwamu.

Kit leżał tam, gdzie upadł. Dianna nie miała pojęcia, czy to dobrze, czy źle. Napełniła rondel wodą ze strumienia i podarła starą koszulę Asy na bandażę. Zagotowała wodę, uklękła obok mężczyzny i zadarła jego zakrwawioną koszulę. Pierwsza rana ciągnęła się od obojczyka w dół, druga wzdłuż przedramienia. Na szczęście żadna z nich nie była naprawdę poważna. Delikatnie odsuwając ciemne włosy, porastające tors Kita, przemyła ranę i założyła opatrunek. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na liczne blizny, pokrywające jego muskularne ciało. Przyłożyła ucho do piersi i posłuchała serca. Biło regularnie i spokojnie, równie regularny był oddech Kita. Zadowolona z wyników oględzin, opatrzyła ranę na

przedramieniu i zajęła się głową Sparkawka. Nie miała wątpliwości, że ta rana jest poważniejsza. Opatrunki szybko przesiąkały krwią. Zanim udało jej się zatamować krwawienie, zapadł już zmierzch. Szukanie leczniczych ziół trzeba było odłożyć do rana. Nakryła Kita kocem i zaczęła się przygotowywać do noclegu.

Nazbierała gałęzi i rozpałała w wigwamie małeńkie ognisko. Na wszelki wypadek naładowała wszystkie muszkiety i usiadła przy wejściu ze strzelbą w rękach. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Dianna czuła się rozpaczliwie samotna. Kit był wprawdzie obok niej, ale spał lub był nieprzytomny.

Zdawała sobie sprawę, że ich sytuacja wcale nie jest dobra. Choć Sparhawk był wyjątkowo silnym mężczyzną, jego rana, nawet po zatamowaniu krwi, pozostawała niebezpieczna. Nie miała pojęcia, kiedy odzyska świadomość ani jak daleko znajdują się od jakiegoś angielskiego osiedla. Bała się, że do obozu, w którym znaleźli schronienie, mogą powrócić zamieszkujący go czerwonoskórczy. Liczyła się także z tym, że ich śladem mogą wyruszyć Francuzi, z którymi umówiony był Mattasoit. Na myśl o biednej małej Mercy, którą francuski ksiądz uwoził na zawsze do Montrealu, chciało jej się płakać. Dorzuciła następną gałąź do ognia i zawinęła się szczelniej w koc. Rok temu była z ojcem w Paryżu i wystąpiła, śpiewając w pełnym luster i złocień salonie księcia de Thavenet...

Gdy się zbudziła, było już koło południa.



Kit mruczał coś niespokojnie. Dianna sporządziła wywar z ziół, ale wieczorem chory dostał wysokiej gorączki, a okolice rany obrzmiały i zaczerwieniły się silnie. Nie poznawał jej ani nie wspominał jej imienia. Mamrotał coś pod nosem, wzywał matkę i ojca, i jakichś nie znanych jej ludzi. Przykładała mu do czoła zmoczone w strumieniu bandaże i starała się napić wywarem z ziół. Nie mogąc pomóc mu w żaden inny sposób, układała sobie jego głowę na kolanach i śpiewała mu cicho. Wydawało się jej, że to go uspokaja.

Mimo braku doświadczenia, zdawała sobie sprawę, że jest z nim źle, że z każdą chwilą oddala się od niej i od życia. Na razie silny organizm ciągle walczył, ale jeśli zakażenie zwycięży, wówczas nie pozostanie jej nic innego, jak towarzyszyć mu do śmierci i pochować go w pobliżu porzuconego indiańskiego obozu.

Wszystko jedno, jak zaczynał się sen, koniec zawsze był taki sam.

Jechał na starym gniadoszu, jesienne słońce przyjemnie grzało go w plecy. Obaj tyle już razy jechali drogą do Wickhamton, że mogliby dotrzeć na miejsce z zamkniętymi oczami. Nieuważnie rozglądał się po okolicy, myślał o rudowłosej córce oberżysty z Nowego Londynu i zastanawiał się, czy ojciec pozwoli mu popłynąć w dół rzeki z towarami. Gdyby się zgodził, znów mógłby się spotkać z tą dziewczyną. Nie pamiętał dokładnie jej imienia, Neli czy Nan, ale to nie miało wię-

kszego znaczenia. Całym swoim dwudziestodwuletnim sercem zakochany był w rudowłosej i to, jak się nazywała, nie odgrywało żadnej roli.

Tuż przed zakrętem drogi, nad rzeką, koń nagle zarżał i stanął jak wryty. Kit nazwał starego gniadosza tchórzliwym bałwanem i klepnął go mocno po zadzie. Koń niechętnie zrobił parę kroków i wtedy Kit zobaczył ciało matki. Na jej spódnicy rozgniotły się ciemne winogrona, które musiała trzymać w ręku. Ojciec leżał twarzą do góry, jakby wypatrywał czegoś na bezchmurnym niebie. Na końcu dojrzał Tamsin, która widocznie zaczęła uciekać przez łąkę. Na szyi dziewczynki widać było czerwoną pręgę, powstałą w chwili, gdy któryś z napastników zerwał jej korale. Ręka cały czas przyciskała do piersi lalkę z porcelanową buzią.

Powinien tam być. Powinien był ich uratować. To nigdy już się nie odstanie. Nic, cokolwiek zrobi, tego nie zmieni.

Powinien był ich uratować...

- Uratowałeś mnie! - odezwała się Dianna ochrypłym głosem. - Bez ciebie zginęłabym. A teraz nie mogę zrobić nic, żeby ci pomóc.

Kit, zmieszany, otworzył oczy. Na twarz kapały mu gorące łzy dziewczyny. Usta miał wyschnięte, jakby wędrował przez pustynię, ale zmusił się, by wyszeptać kilka słów.

- Powinienem był pojechać z nimi. A skoro nie umiałem ich uratować, sam powinienem był zginąć.

- Nie! Nie mów tak! - krzyknęła, starając się powstrzymać płacz. - Byłeś chory i... myślałam... Tak się bałam... Ale teraz wreszcie odzyskałeś przytomność i będziesz żył. Będziesz żył!

Z trudem zbierał myśli. Twarz, która się nad nim pochylała, była twarzą Dianny. Jej szarosrebrzyste oczy patrzyły spod ściągniętych brwi z wyrazem troski. Była zmęczona. Wokół oczu miała sine obwódki, twarz szczuplejszą, niż pamiętał ostatnio. Na policzku widniała żółta plama, ostatni ślad po siniaku. Bardziej od niego potrzebowała opieki.

Dianna delikatnie uniosła głowę Kita, tak by mógł napić się wody z kubka, który przysunęła mu do ust. Zirytowany swoją haniebną słabością, odsunął jej rękę i spróbował wstać. Ledwie jednak klęknął, ściany wigwamu natychmiast zawirowały wokół niego, a żołądek ścisnął gwałtowny skurcz. Zacisnął zęby i z całych sił starał się zmusić niesforne ciało do posłuszeństwa. Kiedy świat wokół niego przestał się kołysać, jak statek w czasie burzy, wyciągnął rękę po kubek.

- Jak długo byłem chory?

Dianna policzyła na palcach.

- Pięć dni.

- Niech to diabli porwą - powiedział łagodnie.

Unióśł dłoń i potarł szorstką szczecinę, której obecność potwierdzała słowa dziewczyny. Potem sięgnął wyżej i dotknął bandaża, spowijającego jego głowę. Powoli przypominał sobie wszystko,

co zaszło. Dał się podejść, jak dziecko. Niewiele brakowało, a ten rozwścieczony Abenaki rozłupałby mu głowę jak orzech.

- Niech to diabli porwą - powtórzył, zawstydzony własną głupotą.

- Nie denerwuj się, Kit - odezwała się łagodnie Dianna. - Jesteś jeszcze taki słaby.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

Odpowiedział zbyt szorstko i w jej oczach pojawił się ból. Zrobiło mu się jeszcze bardziej wstyd. Powinien był jej dziękować, a nie irytować się, że troszczy się o niego. Ale nie potrafił znieść tego, że patrzyła na niego z miłością. Nie zasługiwał sobie na jej uczucie. Stracił do niego prawo, kiedy po raz kolejny ją zawiódł.

- Niewielką masz ze mnie pociechę. Miałem cię uratować, a tymczasem niewiele brakowało, a sam skończyłbym z rozłupaną głową. Może lepiej byłoby, żebyś trafiła do Francuzów.

- Francuzi niczego ode mnie nie chcieli, Kit. Może poza jednym z nich, Robillardem. Zależało im tylko na tobie.

Opuściła głowę. Znowu czuła się nieswojo. Chciało jej się płakać. Czy jeszcze nie dość napłakała się z powodu tego mężczyzny? Perswadowała sobie, że przez Kita przemawiają ból i choroba, że gdyby w pełni panował nad sobą, nie powiedziałby jej czegoś podobnego, a jednak jego opryskliwość znowu zadała jej ból.

- Mówiłam im, że nie będziesz za mną jechał, ale zdaje się, że znali cię lepiej ode mnie.

- Na to wygląda - powtórzył tępo.

Gdyby tylko miała pojęcie, jakim głupcem i tchórzem się okazał, nie zostałaby przy nim ani minuty, nie wspominając już o pięciu dniach czuwania. Zastanawiał się, jak to możliwe, że Dianna jeszcze nie odkryła prawdy, skoro nawet Francuzi szydzili sobie z niego. Cóż wart jest mężczyzna, który nie potrafi obronić swoich najbliższych?

Znów miał przed oczami pulchną rączkę Tamsin, zaciśniętą kurczowo na łodydze ptasiego ziała...

- Gdzie jest Mercy? - zapytał nagle.

- Zabrał ją francuski ksiądz, gdy byliśmy w wiosce. Próbowałam go powstrzymać, przysięgam, ale...

- Asa mylił się, sądząc, że będziesz w stanie upilnować dziecko. Teraz, gdy nie żyje, na mnie spadł obowiązek odnalezienia Mercy. - Urwał i Dianna zauważyła, że zacisnął pięści. - Zabili go, wiesz o tym?

Skinęła głową, lecz zauważyła, że Kit ma znów zaciśnięte powieki.

Tym razem scena wyglądała trochę inaczej. Dziecko było chudsze, sukienka prostsza, a na miejscu lalki widział białego kotka, który miał na imię Lily. Obraz był tak wyraźny, że mężczyzna aż wstrzymał oddech. Nie, to się nie może powtórzyć. Mercy nie może tak skończyć!

Dianna przeraziła się, że gorączka wraca i położyła mu dłoń na czole.

- Nawet o tym nie myśl! - warknął i nie otwierając oczu, strząsnął jej rękę. - Nawet o tym nie myśl!

Cofnęła się i bezradnie opuściła ręce. Kit marząc, pomyślała, ona go w ogóle nie zna. Nic nie rozumiała. Dwa dni temu, gdy znalazła w jego kieszeni koronki i resztki rozetek, którymi znać miała drogę, sądziła, że zbierał je, gdyż ją kocha. Teraz już nie była tego pewna. Zaczęła podejrzewać, że uratował ją tylko po to, by po raz kolejny dowieść sobie i innym, że on, pułkownik Sparhawk, jest panem tej ziemi i gwarantem bezpieczeństwa zamieszkujących ją ludzi. Przypomniała sobie, że w gorączkowych majaczeniach ani razu jej nie zawołał. A może po prostu chodziło mu o Mercy? Może tylko przypadek sprawił, że stracił trop dziewczynki, a uratował ją?

- Kto to jest Tamsin? - spytała cicho. - Tak często ją wołałeś...

Kit spojrzał na nią takim wzrokiem, że słowa uwięzły Diannie w gardle.

- Ktoś bardzo mi bliski - odrzekł ochrypłym głosem.

Zbladł, a jego czoło pokryły kropelki potu i dziewczyna przeraziła się, że znów straci przytomność. Ale nie mogła już teraz zrezygnować, musiała poznać prawdę.

- Ktoś, kogo kochasz, tak?

- Jak mógłbym jej nie kochać? Od dnia, w którym przyszła na świat, była najdroższą częścią mojej istoty. A potem... utraciłem ją w taki sposób, że... Boże wielki, ona miała wtedy tylko siedem lat!

- Tamsin? - zapytała, przestając już cokolwiek rozumieć.

Nigdy nie chciał Diannie o tym powiedzieć i wydawało mu się, że zawsze zachowa to przed nią w tajemnicy, ale teraz po prostu nie miał wyjścia.

- To było po zakończeniu wojny. Podpisaliśmy traktaty z Indianami. I wtedy Mohikanie... zabili moją matkę, ojca i siostrę. Wszystkim zdarli skalpy. Wyjechałem im naprzeciw, ale już było za późno. - Głos mu drżał, a szeroko otwarte oczy zdawały się po raz kolejny wpatrywać w straszliwą scenę sprzed lat. - Gdybym był z nimi, uratowałbym ich. Indianie pewnie by nas nawet nie zaatakowali. Ale nie było mnie i zginęli. Z mojej winy.

Dianna słuchała go w kompletnym osłupieniu. Dręczące zagadki wyjaśniały się jedna po drugiej, ale prawda, która zajęła miejsce niepewności, była od niej jeszcze straszniejsza. Asa i Hester, wszyscy wokół wiedzieli. Tylko ona, ona która tak go kochała, nie miała pojęcia o cierpieniu, jakie w sobie nosił.

- Och, Kit, kochany. Powinieneś być dawno mi o tym powiedzieć.

Opuścił głowę.

- Wiem, Dianno. Już wiem. Ale tak się bałem, że mógłbym cię utracić. A teraz spójrz, do czego doszło. Zawiodłem ciebie i Mercy, tak samo jak zawiodłem wtedy rodziców i moją maleńką Tam-sin...

Głos mu się załamał i zobaczyła, że po policzkach Kita płyną łzy. Zarzuciła mu ramiona na szyję z całych sił i przyciągnęła go do siebie.

- Nigdy, przenigdy nie mów, że mnie zawiodłeś, Kit - powiedziała, tuląc go do piersi i kołysząc jak dziecko. - Nigdy tego nie mów i nigdy tak nie myśl. Odnalazłeś mnie i uratowałeś. Gdyby nie ty, zginęłabym wśród Indian. Pomyśl o tym, co było wcześniej. Gdyby nie było cię wtedy w nocy, w Londynie, sir Henry mógłby mnie najzwyczajniej w świecie zabić. Miałam wówczas wrażenie, że jesteś postacią nie z tego świata. Księciem z bajki. Uratowałeś mnie. Zobaczysz, odzyskamy Mercy, choćbyśmy mieli pojechać za nią do samego Montrealu.

Kit słuchał Dianny, nie pojmując w pełni jej słów. Nie one były teraz najważniejsze. Sam ton jej głosu niósł mu spokój. Mógłby jej tak słuchać w nieskończoność. Rozumiał tylko tyle, że ona ciągle go kocha, ufa mu, że czuje się przy nim bezpieczna.

- Pomyśl tylko, kim ja jestem, Dianno - mruknął, zawstydzony. Biednym, bezradnym głupcem, który nie potrafi nawet zapewnić bezpieczeństwa ludziom, których kocha najbardziej w świecie.

- Och, Kit. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Czy ty nigdy nie zrozumiesz, że jesteś najwspanialszym mężczyzną na świecie? Twoi rodzice musieli cię bardzo kochać. Myślę, że wcale by im się nie podobało, że nieustannie się obwiniasz.

Tak bardzo pragnął jej wierzyć. Tak długo żył ze swoim bólem, że czuł, jakby cierpienie wrosło mu w serce. Słowa Dianny nie mogły tego zmienić, a jednak niosły mu pociechę. Być może,



z czasem, nękające go obrazy przestaną być tak jaskrawe? Jak to możliwe, pomyślał, że ta drobna dziewczyna ma w sobie tyle siły? O wiele więcej od niego.

- Nie opuszczaj mnie, Dianno. Bóg wie, że nie mam prawa prosić cię o to, ale też on tylko wie, co czułem, gdy myślałem, że ciebie też utraciłem.

- Cicho, kochanie - szepnęła i pocałowała go w czoło. - Przysięgam, że nigdy cię nie opuszczę. Spojrzała na niego. Już spał.



- Twoja kobieta próbowała mnie zabić, Sparhawk - odezwał się Attawan z oburzeniem, podchodząc do siedzącego nad strumieniem Kita.

Dianna szła o krok za Indianinem, z wycelowanym w jego plecy muszkietem.

- Wiem, że to niewielka pociecha, ale ona mówiła mi to samo o tobie - odpowiedział Kit, z trudem zachowując powagę.

Nie wiedział, kogo bardziej uraziłby, wybuchając śmiechem, Dianne czy Attawana. Możliwe, że najgorzej zniosłaby to jego własna głowa. Każdy nie dość ostrożny gest powodował, że pod czapką Kita rozlegał się bolesny huk, a świat wokół niego zaczynał się kołysać. Ale widok Dianny ubranej w strzępy najbardziej fantastycznej sukni, jaką kiedykolwiek widziało (lub może raczej nie widziało) Wickhamton, trzymającej na muszce zirytowanego Attawana, był tak komiczny, że nie umiał się pohamować.

- Opuść broń, Dianno - poprosił, trzęsąc się ze śmiechu. - Attawan jest naszym przyjacielem, najlepszym sprzymierzeńcem, jakiego mamy w tych lasach, i roztropniej będzie zachować go przy życiu.

Dziewczyna, wciąż nieufna, zabezpieczyła mu-

szkiet i zarzuciła go na ramię. Nie spodziewała się, że zastanie Kita przytomnego i w dodatku myjącego się nad strumieniem. Pożałowała, że nie zaczęła dnia od toalety lub przynajmniej nie przyczesała włosów. Przywykła do tego, że Sparhawk jest nieprzytomny lub śpi. Widok wpatrzonych w nią zielonych kocich oczu sprawił, że przebiegły ją dreszcze. Pomimo wczorajszej rozmowy, lub może właśnie z jej powodu, czuła się dziwnie onieśmielona. Miała wrażenie, jakby między nimi wszystko zaczynało się od nowa. Postanowiła odwrócić uwagę Kita od swojej osoby i podjąć rozmowę z Attawanem.

- Przypuszczam, że muszę poprosić pana o wybaczenie, panie Attawan - zaczęła sztywno - ale moje ostatnie doświadczenia sprawiły, że trudno mi zdobyć się na zaufanie wobec pańskiego ludu.

- Nie mojego. Abenaki to nie moje plemię - poprawił ją, trochę poirytowany. Dotknął bandażu na głowie Kita. - Czy twoja kobieta oprócz muszkietu używa także tomahawka? - zapytał z ledwo wyczuwalną ironią w głosie.

- Nie, Attawan. Dianna uratowała mi życie.

Uśmiechnął się do niej z tak wyraźną wdzięcznością, że nie mogła powstrzymać rumieńca. Attawan zmierzył ją sceptycznym spojrzeniem, jakby nie w pełni wierząc w jej umiejętności.

- Mam nadzieję, że dobrze cię kurowała, bo pora ruszać w dalszą drogę. Łatwiej było wytropić francuskiego księdza, niż cię tu znaleźć. Straciłem trzy dni, błąkając się po okolicy.

- Odnalazłeś Mercy Wing? - zapytał Kit i na-

gle spoważniał. - Czy nic jej się nie stało? Nic jej nie zrobili, prawda? Nie mogliby...

Attawan pokręcił głową.

- Gruby ksiądz i żołnierze zawieźli ją do misji w Deux-Rivieres i zostawili pod opieką ojca Verneta. Chcą, żeby dziewczynka przyszła do siebie przed podróżą do Montrealu, ale nie wiem, kiedy zamierzają tam jechać. Czy wiosną, czy za tydzień. Możliwe, że już ich nie ma. - Spojrzał na Dianę, jakby to ją winił za spóźnienie. - Nie możemy zwlekać.

Kit wstał i odczekał chwilę, aż świat wokół niego przestanie wirować. Dianna objęła go ramieniem.

- Czy na pewno możesz jechać? - spytała niepokojnie. - Dopiero wczoraj minęła ci gorączka.

- Nie mamy wyboru, kochanie. - Próbował się uśmiechnąć, ale Dianna widziała ból w jego oczach. - Musimy odzyskać Mercy, nim zabiorą ją dalej na północ.

- Misja jest o dzień drogi stąd, Sparhawk, to niedaleko. - Attawan przyjrzał się Kitowi krytycznym spojrzeniem. - Ale czy z ciebie będzie jakiś pożytek? Czy twoja ręka odzyskała dawną pewność?

- Nic się nie martw, przyjacielu. Przysięgam, że nie zawiodę. Nie ma innego wyjścia. Nie oddadzą nam Mercy po dobroci.

- Dlaczego nie? - wtrąciła się Dianna. - Być może znajdzie się lepszy sposób, by odzyskać Mercy, niż szturmowanie misji z bronią w ręku.

- Nie będziemy niczego szturmować, Dianno. Nie masz pojęcia, jak robi się takie rzeczy.

- Zaraz, zaraz, posłuchaj, co chcę powiedzieć - odezwała się pośpiesznie. - Będziemy udawać, że jestem Francuzką. Powiem, że Mercy porwali Indianie, którzy nas napadli. Tak schudłeś, że nikt cię nie pozna.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał Kit z powątpiewaniem, pocierając brodę. Zdawał sobie sprawę, że nie byłoby z niego wiele pożytku, gdyby trzeba było walczyć, a jednak nie potrafił spokojnie przyznać się do tego wobec Attawana, a tym bardziej wobec Dianny. - Może to i dobry pomysł. Więc chcesz mnie za męża, tak?

Roześmiała się z jego żartu. Pomimo niebezpieczeństwa związanego z realizacją jej pomysłu, myśl, że wystąpią jako małżeństwo, wydała jej się bardzo przyjemna.

- Attawan, pozostaniesz na zewnątrz - ciągnął Kit. - W razie, gdybyśmy zostali uwięzieni w misji, pojedziesz po pomoc do fortu Northfield.

- To dobry pomysł - odezwał się Indianin, pocierając w zamyśleniu głowę. - Może ta twoja kobieta, Sparhawk, jest rozsądniejsza, niż wygląda na pierwszy rzut oka.

Dianna westchnęła, zirytowana, i ruszyła w stronę wigwamu, aby spakować dobytek. Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał Indianina po ramieniu.

- Lepiej uważaj, przyjacielu. Nie tylko jest rozsądna, ale w dodatku świetnie strzela z muszkietu.

Ojciec Vernet patrzył na dwoje stojących przed nim ludzi i zastanawiał się, co ma począć. Misja w Deux-Rivieres kryła się w głębi lasów, toteż bywało, że całymi miesiącami nie widział żadnego białego. A tym razem w ciągu niespełna tygodnia miał już drugą wizytę. Najpierw przybył do niego opat klasztoru św. Gilberta, a teraz tych dwoje, angielski osadnik z żoną Francuzką. Młoda kobieta nawet w rozpaczliwie podartej sukni sprawiała wdzięczne i zarazem dystyngowane wrażenie, ale mężczyzna nie budził w księdzu zaufania. Wysoki, z owiniętą bandażem głową rozglądał się nieufnie dookoła, a jego ręka raz po raz chwytała za rękojęść zatkniętego za pas długiego noża. Z drugiej strony jednak, musiał przyznać ojciec Vernet, jeżeli ich smutna historia była prawdziwa, mąż jego rozmówcy miał wszelkie powody do niepokoju.

Z zakłopotaniem pomyślał o śpiącej w kuchni dziewczynce. Opat opisał jej matkę jako angielską heretyczkę i ojciec Yernet bez oporu podjął się opieki nad dzieckiem do czasu, gdy będzie można odesłać je do zakonnicy w Montrealu. Ale łzy młodej kobiety poruszyły go silnie, a łatwo przecież rozstrzygnie, czy dziecko należy do niej, kiedy ujrzy ich spotkanie.

Gdy ruszyli za księdzem w głąb domu, Kit chwycił Dianę za ramię.

- No i co ci powiedział ten mały spryciarz? Ma Mercy?

- Mówi, że trafiła do niego jakaś sierota - szepnęła niespokojnie. - To musi być Mercy, Kit. Musi!

- Attawan nie popełniłby omyłki - odpowiedział.

Starał się nie pokazać, jak bliski jest omdlenia. Cudem przeszedł tego dnia blisko trzydzieści kilometrów, przez większość drogi wsparty na ramieniu Attawana, i na nogach trzymał się już wyłącznie siłą woli.

- Jak tylko ją dostaniemy, podziękuj mu i zmykamy. Nie mam specjalnej ochoty zakosztować francuskiej gościnności.

Ksiądz zaprowadził ich do kuchni, w której stara Indianka z wielkim srebrnym krzyżem na piersi cerowała koszulę. Obok pieca leżał na podłodze siennik. Dianna natychmiast poznała wysuwające się spod koców loki. Z okrzykiem radości podbiegła do śpiącego dziecka i porwała je w ramiona. Zaspana Mercy tarła zapuchnięte od snu oczy i mruczała coś do siebie, jakby nie wierząc w to, co widzi. Kiedy jednak obok Dianny uklęknął Kit, dziewczynka odzyskała przytomność i kurczowo chwyciła swoją opiekunkę za szyję.

Ojciec Vernet czuł, że długo nie zapomni słodczy, jaką napełniła jego serce ta scena. W milczeniu modlił się do Boga, dziękując mu za pomoc w podjęciu słusznej decyzji. Radość zacnego duchownego byłaby jeszcze większa, gdyby nie zmaćcił jej przykry incydent - ojciec małej, osłabiony raną zadaną mu przez czerwonoskórych i wzruszony odzyskaniem dziecka, runął w pewnym momencie jak długi na podłogę.

Dianna rozebrała się i wsunęła pod sztywną kołdrę. Starła się nie szeleścić słomą w sienniku i nie obudzić Kita. Dwóch Indian służących w misji, z trudem wniosło Kita po schodach do przeznaczonej dla gości sypialni na piętrze. Kiedy go rozbierała, na moment uchylił powieki i spojrzął na nią nieprzytomnym spojrzeniem. Położyła się obok niego i słuchała równego oddechu. Nigdy jeszcze nie spała z kimś w jednym łóżku i zastanawiała się, czy może go dotknąć. Ale w pokoiku było zimno, więc chcąc nie chcąc przysunęła się w końcu do Kita i objęła go ramieniem. Natychmiast się obudził, każdą cząstką swego ciała świadomy jej obecności. Czując dotyk Dianny, nie mógł powstrzymać jęku.

- Och, Kit, obudziłam cię - szepnęła wystraszona i poczuł, że się odsuwa. - Przepraszam, tak tu zimno. Już ci nie będę przeszkadzać.

- Zostań - szepnął.

Nie mógł zrozumieć, jak dziewczynie może być zimno. On sam, gdy tylko poczuł jej obecność, miał wrażenie, że łóżko stanęło w płomieniach. Dianna przytuliła się do niego z westchnieniem ulgi. Tak dobrze było znaleźć się znów obok Kita! Oparła głowę na jego piersi i wsunęła palce między porastające ją bujne kędziory. Wiedziała, że jest osłabiony, ale nie mogła się oprzeć bliskości jego ciała. Daremnie napominała własną dłoń, jej ciało chciało przywrzeć do Kita i obsypać go pieścizotami.

- Czy naprawdę zemdlałem, jak jakaś panna?  
- zapytał niepewnym głosem. Był zawstydzony.



Dianna przytulała się do niego z zimna, a on od razu miał ochotę się z nią kochać. Pozostawała mu tylko nadzieja, że dziewczyna się nie zorientuje, co się z nim dzieje.

- To nie twoja wina, Kit. W kuchni było tak gorąco, a ty byłeś zbyt wyczerpany. Ojciec Vernet wcale nie był zdziwiony. A co do tego drugiego księdza, tego, który odebrał mi Mercy, to zjawi się tu nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Więc na razie jesteś bezpieczny. - Bezpieczny przed Francuzami, dodała w myśli, zawstydzona własnymi pragnieniami, ale nie przede mną. - Wysłałam tę starą z kuchni, by uprzedziła Attawana, że wyjedziemy stąd rano.

- Zadbałaś o wszystko, prawda? - zapytał ją łagodnie i w jego głosie było tyle zadowolenia, że Dianna uśmiechnęła się w ciemności, dumna z siebie.

- Śpiewałaś mi, kiedy leżałem nieprzytomny, prawda? Teraz sobie przypominam. Śpiewałaś mi stare angielskie pieśni.

- Czy chcesz, żebym ci teraz zaśpiewała?

- Nie. Chcę, żebyś mnie poślubiła. O ile nie powiedziałaś temu księdzu na dole, że jesteśmy małżeństwem, to jeszcze dziś. A jeśli nie teraz, to natychmiast po powrocie do Plumstead.

Dianna znieruchomiała, pewna, że się przesłyszała.

- Nic mi nie jesteś winny, Kit. A w każdym razie nie małżeństwo. Wszystko, co robiłam, robiłam tylko dla ciebie i niczego w zamian nie oczekuję.

Z prędkością, której się po nim nie spodziewała, poderwał się i przygwoździł jej ciało do siennika. Pochylił się nad nią i gorączkowo szeptał jej prosto w twarz namiętne słowa miłości.

- Posłuchaj mnie, Dianno. Kiedy cię straciłem, poczułem, że nie będę mógł spokojnie żyć, jeśli cię nie odzyskam. Pragnę, byś była przy mnie w nocy i w dzień, nie chcę nigdy więcej się z tobą rozstawać. Nigdy, rozumiesz? Chcę ci oddać wszystko, co tylko mam - nazwisko, dom, serce - czy można chcieć więcej? Żebyś wiedziała, jak cię kocham, Dianno, gdybyś tylko mogła to wiedzieć!

- A ja ciebie, Kit - wyszeptała z gardłem ściśniętym napięciem. - Pokochałam cię od pierwszej chwili, gdy tylko cię ujrzałam. Zawsze cię będę kochać, zawsze, zawsze... Och, Kit...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Dalsze słowa nie były im już potrzebne, wszystko stało się jasne i proste.

- Twoja głowa, Kit - zaprotestowała Dianna słabo. - Rana...

- Niech ją diabli porwą - odpowiedział niecierpliwie. - Za nic cię już teraz nie wypuszczę.

Ściągnął jej koszulę z ramion, nie mogąc znieść myśli, że cokolwiek mogłoby oddzielać ich od siebie, i Dianna przyłgnęła do niego z całych sił. Po raz kolejny zastanawiała się, jak zdumiewająco ich ciała wzajemnie się dopełniają. Kit był twardy i silny, nawet teraz, osłabiony chorobą, zdawał się Diannie tysiąc razy silniejszy od niej. Nie umiała tego pojąć. Być może, taka była po prostu natura

rzeczy. A przy tym jego silne, szorstkie ręce dotykały jej z nieoczekiwaną delikatnością. Pierwsze pieszczoty były łagodne i niemal niewinne. Dopiero potem łagodność ustąpiła miejsca namiętności i ich ciała przywarły do siebie, splotły się i złączyły ze sobą, szukając spełnienia. Kit powtarzał raz po raz jej imię, dla niego najdroższe w świecie.

- Płynąc rzeką, za siedem dni będziemy w domu, w Plumstead - szepnął, gdy ich oddechy już się uspokoily.

Odgarnął włosy Dianny i pocałował ją w ucho. Dziewczyna czuła szczęście niepodobne do niczego, co dotąd znała. Po raz pierwszy w życiu będzie miała własny dom. I męża, wspaniałego Christophera Sparhawka.

Drzwi otwały się z hukiem. Pokój wypełnił się mężczyznami. Dianna zamarła, przytulona do Kita.

- Sam widzisz, ojczu, jak dalece ci nędznicy nadużywają gościnności, z jaką ich podjąłeś - odezwał się tryumfalnym tonem Francpis Robillard, unosząc w górę latarnię. - Ale ja ich nauczę chrześcijańskiej cnoty, ojczu. Nauczę ich na pewno!



Dianna niespokojnie krążyła po maleńkim pokoiku, który zeszłej nocy służył jej za sypialnię, a teraz za więzienie. Dębowe drzwi zamknięte były na klucz, a kraty w oknach zbyt wąskie, żeby mogła marzyć o ucieczce. Miała na sobie prostą szarą suknię, którą przyniosła jej Indianka, służąca u ojca Vernet, suknię stosowną dla pokutnicy. Dianna nie odczuwała jednak potrzeby pokuty i w najmniejszej mierze nie wstydziła się swoich uczynków. Czuła wyłącznie wściekłość na zdradzieckiego księdza i lęk o los Kita.

Kiedy usłyszała na schodach ciężkie kroki, zatrzymała się koło okna. Nie odwróciła się, słysząc odgłos przekręcanego w zamku klucza. Ktokolwiek do niej przyszedł, nie ujrzy niczego, poza jej hardo wyprostowanymi plecami. Patrzyła na padający z pochmurnego nieba śnieg. Był dopiero październik, a jednak w Nowej Francji zaczynała się już zima.

- Spójrz na mnie, *mademoiselle* - zażądał surowym tonem Robillard. - Pokaż mi swoją słodką twarzyczkę, *ma chere*, o ile chcesz, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi! - odwróciła się gwałtownie

w jego stronę, zaciskając pięści. - Ja mam być twoją przyjaciółką, nikczemny gadzie?

Porównanie było trafne. Z nalanej twarzy patrzyły na nią maleńkie gadzie oczy. Gniew wywołany odpowiedzią Dianny walczył w Robillardzie z pożądaniem. Był teraz podobny do sir Henry'ego. Dianna wiedziała, że nie może spodziewać się po nim niczego dobrego, a jednak nie zamierzała wdawać się z tym łajdakiem w żadne układy. Należała do Kita i tylko do niego.

- Jeżeli nie podoba ci się to słowo, możemy znaleźć inne - rzucił Robillard wściekłym tonem. - Mogę cię nazwać moją dziwką, ładacznicą, kochanką, jak chcesz. Będiesz robiła wszystko, co ci każę. Myślisz, że w przeciwnym razie trzymałbym cię w spokojnym, ciepłym pokoiku, oszczędzając ci losu tego łajdaka Sparhawka?

- Co zrobiłeś z Kitem? - krzyknęła, przerażona. - Przysięgam, jeśli cokolwiek mu się stało...

- To co mi zrobisz? Tym razem nie masz muszkietu, którym mogłabyś mnie nastraszyć. - Śmiech Francuza przypominał szczekanie psa. - Na razie jeszcze nie musisz płakać. Sparhawk nie ma może równie wygodnych warunków jak ty, ale jeszcze żyje.

- Gdziekolwiek jest, po stokroć wolałabym być z nim niż z tobą!

- Oj, nieładnie, *ma petite filie*. - Kiedy pokręcił głową, w jego uchu błysnął złoty kolczyk. - Może kiedy dowiesz się więcej na temat tego, jaka przyszłość czeka twojego faworyta, zmienisz zdanie. Obiecałem Sparhawka towarzyszącym mi

Mohikanom. Jego śmierć będzie dla nich prawdziwą ucztą. Już teraz zastanawiają się, ile znieśie, zanim zaczną krzyczeć. Oni uwielbiają zadawać ból! Pewnie spalą go żywcem albo wyrwą mu język, albo rozprują brzuch i wyciągną...

- Dosyć! - krzyknęła Dianna i zasłoniła uszy rękami. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej!

- A czy wiesz, ma *chire*, że Mohikanie jedzą ludzkie mięso?

- Dosyć! Przestań! - Drżała na całym ciele. Wiedziała, że Robillard nie fantazjuje i nie mogła znieść myśli, że wszystko, co mówił, może stać się rzeczywistością. - Dlaczego tak nienawidzisz Kita? Co on ci zrobił?

- Nienawidzę go nie za to, co zrobił, *mademoiselle*, ale za to, kim jest: Sparhawkiem i Anglikiem. Sparhawkowie doprowadzili mnie do ruiny. Ściągają tu swoich dzierżawców, uprawiają zboże, hodują wielkie stada bydła, tną las i przede wszystkim płoszą bobry. Odkąd zasiedlili okolice Wickhamton, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów zniknęły wszystkie bobry!

- To niemożliwe. Kit mówił mi, że w tych stronach nie było bobrów od przeszło trzydziestu lat.

- A co ma powiedzieć? - warknął wściekłym tonem Robillard. - Ten łajdak jest jeszcze gorszy od swego ojca. Nasyła na mnie Indian, nachodzi mnie w moim własnym domu, grozi mi angielskimi żołnierzami. Nie chce nawet walczyć ze mną jak mężczyzna z mężczyzną, tylko obraża mnie, a potem ucieka do swojego wielkiego dwo-

ru w Plumstead. Ale to się już skończyło. - Uśmiech wrócił na twarz Robillarda. - Wystarczy jedno moje słowo, a Wickhamton pójdzie z dymem, jak Deerfield. Dom Sparhawków będzie od tej pory moim domem i ich ziemia stanie się częścią Nowej Francji. A na początek i na dobrą wróżbę mam ciebie!

Francuz był coraz bliżej Dianny. Mogła się teraz wyraźnie przyjrzeć jego nalanej twarzy, wyblakłym oczkom, grubym dłoniom z krótkimi brudnymi paluchami, na których błyszcząły złote pierścienie.

- Jesteś w błędzie! - powiedziała tak zdecydowanym tonem, że wyciągnięta ku niej ręka Robillarda zawisła nieruchomo w powietrzu. - Nie masz mnie! I nigdy nie będziesz miał ani mnie, ani Plumstead, ani Wickhamton.

- Przekonasz się już niedługo, jak bardzo się mylisz, *ma filie*. Kiedy usłyszysz pieśń Mohikanów, będziesz mnie błagała, żebym tylko zechciał cię wziąć ze sobą.

Dianna wyprostowała się dumnie i złożyła ręce na piersi.

- Nigdy nie będę cię o nic błagała, *monsieur*.

- Nie? Nawet o życie Sparhawkka?

- Nawet o życie Kita. Wiem, że on by tego nie chciał. A poza tym świetnie zdaję sobie sprawę, że nic by to nie dało.

Robillard odwrócił się i wyszedł bez słowa. Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, Dianna padła na kolana i zaczęła się modlić. Jeżeli jeszcze istnieje jakiś sposób, aby ocalić ją, Kita i Mercy, to na

pewno niewiele czasu zostało jej na to, by go odkryć.

Kit starannie obmacał dłońmi kamienne ściany. W kompletnej ciemności dotyk stał się jego jedynym przewodnikiem. Nie odkrył niczego szczególnego. Lodowato zimne, wilgotne kamienie, zaśmiecona podłoga, w kącie jakieś beczki. Nie znalazł nic, co mogłoby pomóc mu w ucieczce.

Zniechęcony, przykucnął w kącie i oparł głowę o mur. Deski nad jego głową trzeszczały pod nogami chodzących na górze ludzi. Od czasu do czasu dobiegały go odgłosy rozmowy, nie był jednak w stanie zrozumieć poszczególnych słów.

W każdym razie nie słyszał wśród nich głosu Dianny. Domyślał się, że dziewczyna pozostała na górze i modlił się w duchu, by Robillard nie wyciągnął po nią swoich brudnych łap. Gdy przypominał sobie spojrzenie, jakim Francuz mierzył Dianę w nocy, gdy pośpiesznie wciągała na siebie ubranie, dłonie same zwierzały mu się w pięści.

Miał ochotę zabić Robillarda. Próbował to zrobić już wczoraj i udałooby mu się, gdyby nie towarzyszący temu łajdakowi Indianie. Walczył z nimi wściekle i przez dobrą chwilę nie było pewne, kto zwycięży. Dopiero gdy trzej Mohikanie rzucili go do piwnicy i cisnęli za nim ubrania, Kit poczuł rozdzierający ból i zawroty głowy. Zanim był w stanie pozbierać swoje rzeczy i wciągnąć je na siebie, przez długą chwilę klęczał



na ziemi, walcząc z własną słabością. Potem, pomimo napięcia, zapadł w niespokojny, pełen koszmarów sen. Odzywała się jego niedawna choroba. Kiedy się wreszcie ocknął, pozostało mu tylko kontemplowanie goryczy własnej klęski. Miał wrażenie, że całe jego życie składa się wyłącznie z błędów. Szczególnie jaskrawo widział te, które przywiodły go tutaj. Powinien był skorzystać z rady, jakiej udzielił mu podczas wspólnej wyprawy Attawan i raz na zawsze zakończyć swoje rachunki z Robillardem. Tymczasem jemu wydawało się, że osiągnie coś przez rozmowę! A teraz postąpił jeszcze gorzej. Powinien był uprzeć się przy natychmiastowym wyjeździe z misji, a on pozostał i... W tym momencie przypomniał sobie, jak kochali się z Dianną tuż przed napadem. Nie, tego nie chciałby za nic cofnąć! Nigdy w życiu nie czuł czegoś takiego, jak tej nocy. To nie była kwestia fizycznego pragnienia, to nie była nawet kwestia miłości. To było coś więcej, coś, co wykraczało poza granice pojmowania, co w żaden sposób nie dało się nazwać. Dianna była częścią jego samego, tak jak on stał się częścią jej. Nic już nie mogło tego odmienić.

Czuł, że to, co zrodziło się między nimi, nie może się tak nagle, bezsensownie urwać. Świat nie mógł być aż tak okrutny. Wiedział, że musi w jakiś sposób uwolnić Dianę i Mercy z rąk Robillarda, wrócić z nimi do Plumstead, poślubić ukochaną i zacząć normalne życie.

Na razie jednak były to tylko pragnienia.

Ojciec Vernet siedział przy stole naprzeciwko Francois Robillarda i z każdą chwilą czuł się gorzej. Im więcej drogocennego burgunda znikało w nienasyconym gardle gościa, tym trudniej było w nim rozpoznać dżentelmena, jakim z początku się wydawał, i tym bardziej ksiądz żałował swojej gościnności.

- I powiadam ci, *mon pere*, sam pułkownik Hertel de Rouville jest żywo zainteresowany całą sprawą - coraz bardziej pijany grubas nie potrafił powstrzymać się od przechwałek. - Ty tu pewnie, w takiej dziurze, nie masz o niczym pojęcia, ale powiadam ci, w Montrealu liczą się ze zdaniem pana pułkownika! Kiedy zamelduję mu, że rozprawiłem się z tym całym Sparhawkiem i odzyskałem jego posiadłości dla Nowej Francji, pułkownik będzie bardzo zadowolony... Co tam zadowolony, zachwycony, mój ojcie, zachwycony!

Ojciec Vernet nie odrywał spojrzenia od własnych rąk, ułożonych równo na stole.

- Jestem, jak powiadasz, tylko księdzem z zapadłej dziury, ale muszę powiedzieć, że ten Sparhawk nie wydał mi się wcale takim potworem, jakim go malujesz.

- Nabrał cię, *mon pere* !- wykrzyknął Robillard i dla nadania swoim słowom większej wagi, uderzył butelką o stół. - Nie ciebie jednego, zresztą - dodał, jakby na pociechę. - Słuchaj, ojcie. Po pierwsze, jest Anglikiem, a to już wystarczy, by był śmiertelnym nieprzyjacielem naszego dobrego króla Ludwika. A poza tym, to chciwiec, rabuś

i okrutnik bez zasad. Sam widziałeś, że nawet pod twoim dachem nie potrafił powstrzymać lubieżnej żądz!

Ojciec Vernet milczał. Dużo żywiej, niż to, co ujrzeli w nocy, zapisała się w jego pamięci inna scena. Matka obejmująca cudem odzyskane dziecko i opiekuńczy, kochający ojciec, który nachyla się nad tą dwójką z wyrazem najszczerzej radości na twarzy. A co gorsza, choć ksiądz niewielkie miał pojęcie o grzechu lubieżności, to nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego gość, nie zważając na świętość sakramentu małżeństwa i szacunek należny misji, sam chętnie zająłby miejsce Sparhawka.

- Cała jego ziemia trafi w moje ręce - odezwał się znowu Robillard i prosto z butelki wlał sobie resztkę wina do ust. - Calutka, *mon pere*

- Więc ty sporo skorzystasz, *monsieur*, na nie-szczęściu tego Anglika?

- A jakże! No i, oczywiście, Nowa Franq'a! - Robillard z trudem podniósł się od stołu. - No ojczulku, pora na mnie, mam...

Zachwiał się, zatoczył i runął na podłogę, skąd po chwili dobiegło głośne chrapanie. Ojciec Vernet obszedł stół i zatrzymał się nad swoim gościem. Złożył ręce i zagłębił się w rozważaniach. Zemsta, myślał, należy do Boga. O ile w ogóle można w tym widzieć zemstę. Coraz bardziej podejrzewał, że nie ma tu co mówić o sprawiedliwej zemście, natomiast jego obowiązkiem jest naprawienie krzywdy, jakiej sam się mimowolnie dopuścił.

Kiedy wreszcie podjął decyzję, zawołał starą

Indiankę, wydał jej jakieś polecenia i pośpieszył po schodach na górę. Zanim przekręcił klucz, zastukał do drzwi.

- *Mademoiselle* - szepnął w głąb ciemnego pokoju. - Proszę pani, czy pani śpi?

W ostatniej chwili, wiedziony jakimś niejasnym impulsem, cofnął głowę. Gdyby tego nie zrobił, spadłaby na nią gliniana miska, w której Dianna dostała zupę.

- Odejdź, księżu! - ostrzegła go, unosząc oburącz krzesło. - Zdradziłeś nas i nie zawaham się odpłacić ci tym samym.

- Tak, *mademoiselle*, przyznaję i proszę o wybaczenie. Ale jeśli tylko chce pani uratować siebie i swoją rodzinę, to lepiej nie wdawajmy się teraz w dyskusję.

- Dlaczego miałabym ci uwierzyć, ojcze?

- Bo i tak nie ma pani innego wyjścia - zasugerował ksiądz ostrożnym tonem. - Chodźmy, musimy uwolnić pani męża, dopóki ten człowiek, Robillard, śpi.

Nie zwlekając dłużej, Dianna ruszyła za księdzem. W jadalni zatrzymała się na moment i spojrzała na chrapiącego Francuza. Ogromne brzuszysko unosiło się i opadało równomiernie. Jak długo będzie spał?, zadała sobie pytanie. Przeszedł ją dreszcz i czym prędzej ruszyła do kuchni.

Ojciec Vernet otworzył już klapę w podłodze i zaglądał do ciemnego wnętrza.

- *Monsieur?* - odezwał się niepewnym głosem. - Panie Sparhawk?

Dianna ujrzała tylko ręce Kita, który chwycił duchownego i momentalnie wciągnął go do piwnicy. Przykucnęła i zajrzała do wnętrza. W padającym z góry świetle świecy zobaczyła, że Kit trzyma bezradnie machającego rękami księdza za gardło.

- Nie, Kit, puść go! - krzyknęła, przerażona.

- On chce nam pomóc!

- Dianno! - Sparhawk momentalnie puścił księdza i zerwał się na równe nogi. - Dzięki Bogu! Nic ci się nie stało?

Potrząsnęła głową. Ksiądz z trudem podniósł się z ziemi. Kit pomógł mu wdrapać się na górę, a potem sam podciągnął się na rękach i natychmiast stanął obok Dianny.

- Musimy uciekać, dopóki Robillard śpi! rzucił.

- Mamy czas, jest kompletnie pijany.

- Chwała Bogu, w takim razie nie jesteśmy bez szans.

Dianna odwróciła się w stronę księdza.

- Ojciec - odezwała się po francusku - dziękujemy ci za to, że nas wypuściłeś. Bóg mi świadkiem, że uczyniłeś słusznie.

- Nie mówmy już o tym - mruknął ksiądz, pocierając obolałe gardło i patrząc z lękiem na Kita. - Zabierzcie dziecko i cały swój dobytek. Idźcie wzdłuż brzegu rzeki do rozwidlenia. Tam będą czekali na was Indianie z łodzią. Możecie im zaufać, zawiozą was na terytorium Nowej Anglii.

- Jeżeli kiedykolwiek trafisz, ojciec, do Nowej Anglii - odezwał się z szacunkiem i serdeczno-

ścią Kit - zawsze będziesz u nas mile widzianym gościem. Żegnaj i jeszcze raz przyjmij nasze podziękowania.

Stara Indianka wprowadziła Mercy i cała trójka wyszła przed dom. Znowu padał śnieg. Wielkie płatki leniwie spływały w dół, osiadając na trawie i opadłych liściach. Choć czekała ich długa, ciężka podróż w otwartym kanoe, Dianna nie mogła opanować uczucia szczęścia. Uciekli! Byli uratowani! Gdyby nie okoliczności, zaczęłyby głośno śpiewać...

- Nie sądzicie chyba, że tak łatwo mi się wymkniecie, co? - rozległ się w mroźnym powietrzu donośny głos Robillarda.

Nie wiadomo, w jaki sposób Francuz zdołał odzyskać przytomność i teraz wyłonił się spośród krzaków, mierząc w nich z dwóch pistoletów.

Kit natychmiast podjął decyzję. Nie myślał o sobie, ale jedna z dwóch kul groziła śmiercią Diannie lub Mercy. Takiego ryzyka nie mógł podjąć.

- Puść kobiety, Robillard - odezwał się. - Nic ci nie zawiniły.

Dianna spojrzała na jego spokojną twarz. Na ubraniu Kita i rondzie jego kapelusza osiadały płatki śniegu.

- Nie pójdę - powiedziała miękkiem głosem. - Jeżeli nawet on nas puści, to nigdzie bez ciebie nie pójdę.

Robillard zarechotał radośnie.

- Nie musisz się bać, *ma chere*. Nie mam zamiaru cię puścić! Zostaniesz tutaj i będziesz się przyglądać, jak daję nauczkę temu łajdakowi!

- Ciagle jeszcze jesteś pijany, prawda? - zapytał łagodnie Kit.

- Dziękuj za to Bogu, Sparhawk. Wino poprawia mi nastrój. Tylko dlatego jeszcze cię nie zastrzeliłem. A teraz rzuć broń w krzaki. Nóż też. Znam twoje sztuczki. No, na co czekasz?

Kit spokojnie odrzucił na bok oba muszkiety i długi nóż.

- To jak będzie, Robillard? Zastrzelisz mnie, tak jak stoję?

- Tego byś właśnie chciał, Sparhawk! - odparł Francuz. - Ty, a przed tobą twój ojciec, nigdy nie chcieliście traktować mnie jak szlachcica, jak dżentelmena, jak kogoś równego sobie. Okradaliście mnie i krzywdziliście, a przy tym nieustannie obrażaliście moją godność.

- I żeby ją odzyskać, od dwudziestu lat prześladowałeś i napadałeś moich ludzi. - Kit starał się zapanować nad gniewem, ale kiedy przypomniwał sobie nieszczęścia i cierpienia, jakie sprowadził na osadników z Wickhamton gruby Francuz, czuł, że wzbiera w nim fala nienawiści. - Zabijałeś mężczyzn, porywałeś kobiety, paliłeś farmy, a w dodatku zawsze robiłeś to cudzymi rękami. Jesteś zbyt wielkim tchórzem, by stanąć do uczciwej walki.

- Zaraz zobaczymy, kto jest większym tchórzem, Sparhawk.

Robillard zatknął pistolet za pas i wydobyl z przewieszanej przez ramię długiej torby dziwny podłużny pakunek. Położył go na ziemi, rozwinął i podniósł dwie szable. Jedną wręczył Kitowi, a drugą wziął do ręki.

- Sam widzisz, Sparhawk, że daję ci równe szanse! - zawołał, podniecony, i machnął swoją szablą w powietrzu. - Dam ci okazję, byś umarł jak szlachcic. A wtedy twoja ziemia, twoja kobieta, twój dom, wszystko to będzie należało do mnie.

Dianna położyła rękę na ramieniu ukochanego.

- Posłuchaj, Kit. Nie możecie tego ciągnąć, przecież to szaleństwo.

- A czy mamy inne wyjście? - spytał niemal pogodnym głosem, wążąc w rękę szablę. Rękojeść była drewniana, a jelec poobtłukiwany jak stary garnek, ale ostrze było w dobrym stanie, a broń nieźle wyważona. Kit nigdy nie używał szabli, która tylko zawadzałaby w lesie, ale dobrze pamiętał lekcje, jakich przed laty udzielał mu dziadek. Pocałował Dianne w czoło i poczuł się dziwnie spokojny.

- Odejdźcie teraz z Mercy na bok. To nie będzie trwało długo.

Dianna ze łzami w oczach przyciągnęła Mercy do siebie. Spojrzała na małą. Dziewczynka była zalana łzami. Dianna zawstydziała się własnej słabości.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała, ocierając dziecku łzy. - Jest młodszy i silniejszy, i... i za bardzo nas kocha, żeby nas tak zostawić!

A poza tym, ale tego już nie powiedziała na głos, miała zamiar mu pomóc. Niech diabli porwą męski honor! Pamiętała, gdzie leżą muszkiety i zamierzała skorzystać z jednego z nich. Powoli przesuwała się wzdłuż krawędzi polany do miejsca, gdzie znajdowała się broń.



Nie wyobrażała sobie nigdy, ile hałasu czynią szable. Odgłos metalu uderzającego w metal brutalnie rozdzierał ciszę lasu. Robillard sapał głośno jak byk i walił oburącz, wznosząc szablę. Kit za każdym razem unikał ciosu lub skutecznie go parował.

W pewnym momencie Robillard odsłonił się i Kit jednym pchnięciem trafił go w prawe ramię. Francuz zawył z bólu i chwycił się za zranioną rękę. Między palcami pociekły mu strużki ciemnej krwi i zrosiły śnieg.

Sparhawk opuścił broń i otarł spocone czoło. Spodziewał się, że przeciwnik się podda, tymczasem Robillard przerzucił broń do lewej ręki i natarł na niego z nieoczekiwaną furją. W jego zadadłości było coś przerażającego, ale ruchy miał coraz mniej pewne, a nogi wyraźnie się pod nim chwiały. Kit uniósł szablę, by zadać mu ostateczny cios.

- Twój ojciec był taki sam, jak ty! - warknął Francuz, wpatrując się w niego rozszerzonymi z wściekłości i lęku oczami. - Ale i tak nic mu to nie pomogło, kiedy jego kobiecie zdzierali skalp, a *jeune filie* próbowała uciec przez pole!

Te nieoczekiwane słowa omal nie odjęły Kitowi przytomności. Znów miał przed sobą skapaną w słońcu drogę, na której Robillard patrzył na śmierć jego najbliższych. Więc to on stał za tym morderstwem. Przez tyle lat udało mu się ujść kary!

Kit nie zorientował się, kiedy został raniony przez przeciwnika w ramię, nie usłyszał huku

wystrzału. Cała jego świadomość skupiła się na tym jednym ostatecznym pchnięciu, które przebiło pierś Robillarda.

Potem dopiero ujrzał biegnącą ku niemu z muszkietem w dłoni Dianę, nadjeżdżających przez polanę angielskich żołnierzy, których prowadził Attawan i podskakującą z podniecenia Mercy.

Dianna objęła go mocno. Kiedy podniósł ręce, by odwzajemnić jej gest, zobaczył spływającą mu po ramieniu krew, ale ani on, ani ona nie zwrócili na ranę większej uwagi.

- Już po wszystkim, kochanie - odezwał się ochrypłym głosem. - Teraz już jest naprawdę po wszystkim.



## POSŁOWIE

*Plumstead, lipiec, rok 1705*

- Kiedy wypływałem z Nowego Londynu w listopadzie, mogłem pocałować na pożegnanie tylko twoją żonę, a teraz widzę, że prócz niej mam tu do całowania jeszcze śliczego chłopaka - odezwał się Jonathan, patrząc na niemowlę w ramionach brata. - Nie traciliście czasu.

Kit roześmiał się na głos i rzucił spojrzenie w stronę Dianny Jej policzki pokryły się rumieńcem, ale nie była zła. Jonathan delikatnie pocałował bratanka. Wsparta na stosie poduszek, Dianna z przyjemnością przyglądała się braciom pochylonym nad liczącym sobie zaledwie trzy dni Joshua Sparhawkim. Na podłodze obok łóżka siedziała Mercy, skulona nad koszem, w którym leżała Lily z pięcioma kociętami.

Kobieta z wysiłkiem poprawiła się na poduszkach. Poród nie był łatwy, Joshua zapowiadał się na takiego samego olbrzyma jak jego ojciec, ale Dianna zapomniała o wszystkich cierpieniach w chwili, gdy położna podała jej noworodka. A Kit - nigdy jeszcze nie widziała równie dumnego z siebie mężczyzny!

- Tylko nie daj sobie wmówić, że jesteś szczerem lądowym, mój chłopcze. Zabiorę cię na morze i pokażę, co znaczy wolność. Już teraz widzę, że będziemy do siebie pasować.

- Uważaj, Jon, bo przy takim chłopaku żadna kobieta nie rzuci na ciebie okiem. Popatrz tylko, jakie ma włosy. To złoty Sparhawk. Żadna mu się nie oprze!

- Sam byłem taki jako dziecko, Kit - prychnął brat. - A jak teraz wyglądam? I damy wcale nie narzekają, prawda, mój panie?

Obiecujący młodzieniec, do którego zwrócił się z pytaniem Jonathan, skrzywił się w odpowiedzi i rozplakał. Stryj cofnął się, przerażony tym, co narobił, a ojciec czym prędzej przekazał Joshuę matce.

- Nic się nie martw, wujku - pocieszyła Jonathan Mercy. - Jest głodny i tyle.

- Wobec tego najlepiej zrobimy, nie przeszkadzając mu w kolacji. Chodź, Mercy, my też zobaczymy, czy Hester upiekła już ciasto.

Dziewczynka poderwała się i poszła za Jonathanem. Dianna rozchyliła koszulę i przytknęła niemowlę do piersi. Joshua natychmiast zrezygnował z dalszych skarg i zaczął łakomie ssać. Kit przysiadł na krawędzi łóżka.

- Nie słuchaj Jonathana, Kit, mały jest dokładnie taki jak ty. Ma twoje włosy i oczy, nawet uszy. Chociaż broda jest moja - dodała po chwili namysłu, gładząc palcem ociekającą mlekiem buzię dziecka. - I może brwi.

Kit objął ją lekko i pocałował w czoło.

- Może mieć twoją brodę i brwi, i co tylko jeszcze chcesz. Nic mi to nie przeszkadza tak długo, jak długo moje będzie twoje serce.

Spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

- Moje serce - szepnęła, by nie zbudzić niemowlęcia, które właśnie zasnęło - jest i zawsze będzie twoje.